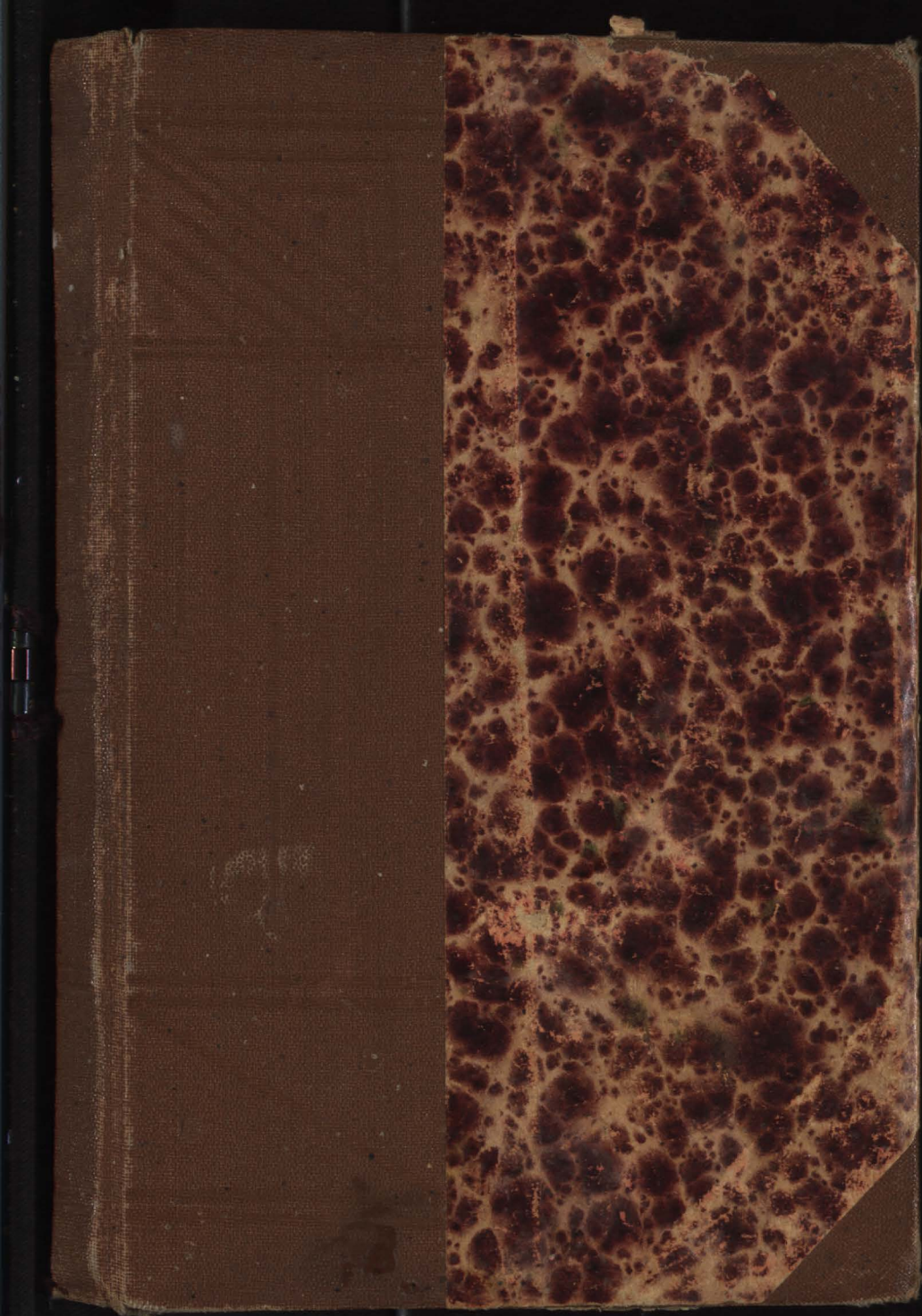




Gimnazjum im. J. I. Kraszewskiego
w Białej.
Księgozbiór:
№ 760

PAMIĘTNIKI

Franciszka Karpińskiego.

Z PRZEDMOWĄ



Piotra Chmielowskiego.

Dziś. H 92

Znak 965

№ inw. 1975

Wł. Wł.

WARSZAWA.

DRUKARNIA

Granowskiego i Sikorskiego.

47. Nowy-Świat 47.



Karpińska
Pemis

1915

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Октября 1898 года.



Franciszek Karpiński.

„Poeta serca” — tak nazwano Karpińskiego już od bardzo dawna — był typowym przedstawicielem jednej z faz uczuciowego nastroju, który się u nas wytworzył w drugiej połowie XVIII wieku pod wpływem „ogłady” francuskiej.

Wprawdzie nie mieliśmy wówczas takich salonów jak paryzkie, a więc nie czuliśmy i tego skrepowania konwenansami, jakie w stolicy gustu i mody istniało; to też i oddziaływanie przeciwko niemu nie posiadało u nas tych cech jaskrawych, krańcowych, które się we Francyi ujawniły wybitnie. Istniała u nas atoli, może w wyższym niż we Francyi stopniu, pewna surowość obyczajowa, zwłaszcza we wzajemnych stosunkach rodzinnych — jak to czytelnicy zobaczą w samych *Pamiętnikach* Karpińskiego; — surowość ta przechodziła niekiedy w srogość. Otóż pod wpływem miękkich, łagodnych, sentymentalnych usposobień, będących wynikiem nowego zwrotu obyczajowego w Europie, surowość ta zaczęła tracić swe naprężenie, gdyż „ogłada” wymagała pewnej pobłażli-

wości, pewnej grzeczności i uprzejmości, aby się „dziki” obyczaje Sarmatów wypolerowały. Rubaszość, gwałtowność i popędliwość zaczęto ganić, wyśmiewać, wyszydzać, zalecając natomiast wytworny dowcip, umiarkowanie w słowie, słodycz i wyrozumiałość. Niebawem wskutek łagodnienia charakterów, przeczulenia nerwów, nadeszła tkliwość, rzewność i łzawość, uwielbienie dla prostoty, szczerości, dla jakiejś wsi idealnej, jakichś szczęśliwych i dobrych pastarzy i pasterek.

Na taką chwilę przetwarzania się obyczaju staropolskiego przypadło urabianie się charakteru Karpińskiego. A że z natury był skłonny do uczuć łagodnych i tkliwych, nie mając wcale usposobienia do animuszu rycerskiego, więc tem silniej i tem żywiej odczuł wpływy nowego prądu.

Urodził się 4 października 1741 roku w zapadłej prowincyi na Pokuciu, we wsi Hołoskowie, w powiecie Kołomyjskim. Rodzice jego, Jędrzej i Rozalia, nie byli wykształceni i podzielali wyobrażenia, nalogi, przesady i zabobony niezamożnej warstwy szlacheckiej; ale odznaczał się surowem pełnieniem wziętych na się obowiązków. W ósmym roku życia Franciszek, umiając już czytać i trochę pisać, wszedł do pobliskich szkół jezuickich w Stanisławowie, gdzie nawet wyższe studia filozoficzne w duchu średniowiecznym odbywał, które w starości bardzo lekko cenił i potępiał.

Pierwsze żywsze uczucie w sercu studenta obudziła Maryanna Brösellówna, córka kapitana saskiego. sierota bez matki i ojca, uważana za najpiękniej-

szą i najcnotliwszą pannę na Pokuciu. W walce uczucia z rozsądkiem, rozsądek zwyciężył. Karpiński zadowolnił się utrwaleniem miłości swej w pieśni. Napisał pierwszą sielankę swoją, a raczej pieśń tkliwą, p. t. „Tęskność na wiosnę do Justyny,” a i później niejednokrotnie pod tem przybranem imieniem ją wysławiał.

Sam wyjechał do Lwowa na kurs teologii w kolegium jezuickim; księdzem jednak nie został, choć go do tego Jezuici namawiali. Pociągał go ku sobie światek; niebawem zakochał się w żonie Ponińskiego z Zahajpola, która się stała dla niego drugą „Justyną.” Do Konfederacyi Barskiej nie wszedł, choć się wybierał; pojechał natomiast w r. 1770 do Wiednia, jako towarzysz młodego Puzyny, który z guwernerem swoim, Jezuitą, miał wstąpić do *Theresianum*, sławnego wówczas zakładu naukowego w stolicy austriackiej. Karpiński przepędził tu półtora roku, zapoznając się prawdopodobnie z literaturą francuską, z której najwięcej przemówiły do jego serca utwory Roussa, pełne uczuciowości.

Do kraju wrócił r. 1771 przez Węgry. Zapomniony od Ponińskiej, zadzierżawił wioskę Wierzbowice, potem kolejno inne, w końcu Żabokruki. Śmiało się z niego początkowo, iż gospodarował z książką, ale on się tem nie zrażał i uczył się gospodarkę od chłopów, z którymi żył w zgodzie najlepszej. Zabierał dużo znajomości, ale i pisania nie zaniedbywał, chociaż wogóle płodność jego autorska nie była wielka.

Słyszac dużo o krolu, jako opiekunie literatów

wości, pewnej grzeczności i uprzejmości, aby się „dzikie“ obyczaje Sarmatów wypolerowały. Rubasność, gwałtowność i popędliwość zaczęto ganić, wyśmiewać, wyszydzać, zalecając natomiast wytworny dowcip, umiarkowanie w słowie, słodycz i wyrozumiałość. Niebawem wskutek łagodnienia charakterów, przeczulenia nerwów, nadeszła tkliwość, rzewność i łzawość, uwielbienie dla prostoty, szczerości, dla jakiejś wsi idealnej, jakichś szczęśliwych i dobrych pasterzy i pasterek.

Na taką chwilę przetwarzania się obyczaju staropolskiego przypadło urabianie się charakteru Karpińskiego. A że z natury był skłonny do uczuć łagodnych i tkliwych, nie mając wcale usposobienia do animuszu rycerskiego, więc tem silniej i tem żywiej odczuł wpływy nowego prądu.

Urodził się 4 października 1741 roku w zapadłej prowincyi na Pokuciu, we wsi Hołoskowie, w powiecie Kołomyjskim. Rodzice jego, Jędrzej i Rozalia, nie byli wykształceni i podzielali wyobrażenia, nalogi, przesady i zabobony niezamożnej warstwy szlacheckiej; ale odznaczał się surowem pełnieniem wziętych na się obowiązków. W ósmym roku życia Franciszek, umiając już czytać i trochę pisać, wszedł do pobliskich szkół jezuickich w Stanisławowie, gdzie nawet wyższe studia filozoficzne w duchu średnio-wiecznym odbywał, które w starości bardzo lekko cenił i potępiał.

Pierwsze żywsze uczucie w sercu studenta obudziła Maryanna Brösellówna, córka kapitana saskiego. sierota bez matki i ojca, uważana za najpiękniej-

szą i najcnotliwszą pannę na Pokuciu. W walce uczucia z rozsądkiem, rozsądek zwyciężył. Karpiński zadowolnił się utrwaleniem miłości swej w pieśni. Napisał pierwszą sielankę swoją, a raczej pieśń tkliwą, p. t. „Tęskność na wiosnę do Justyny,“ a i później niejednokrotnie pod tem przybranem imieniem ją wysławiał.

Sam wyjechał do Lwowa na kurs teologii w kolegium jezuickiem; księdzem jednak nie został, choć go do tego Jezuici namawiali. Pociągał go ku sobie światek; niebawem zakochał się w żonie Ponińskiego z Zahajpola, która się stała dla niego drugą „Justyną.“ Do Konfederacyi Barskiej nie wszedł, choć się wybierał; pojechał natomiast w r. 1770 do Wiednia, jako towarzysz młodego Puzyny, który z gubernierem swoim, Jezuitą, miał wstąpić do *Theresianum*, sławnego wówczas zakładu naukowego w stolicy austriackiej. Karpiński przepędził tu półtora roku, zapoznając się prawdopodobnie z literaturą francuską, z której najwięcej przemówiły do jego serca utwory Roussa, pełne uczuciowości.

Do kraju wrócił r. 1771 przez Węgry. Zapożyczony od Ponińskiej, zadzierżawił wioskę Wierzbowice, potem kolejno inne, w końcu Żabokruki. Śmiało się z niego początkowo, iż gospodarował z książką, ale on się tem nie zrażał i uczył się gospodarkę od chłopów, z którymi żył w zgodzie najlepszej. Zabierał dużo znajomości, ale i pisanie nie zaniedbywał, chociaż wogóle płodność jego autorska nie była wielka.

Słyszając dużo o krolu, jako opiekunie literatów

oraz o księciu Adamie Czartoryskim, generale Ziem Podolskich, który sam był także autorem, zebrał Karpiński pisma swoje i wydrukował we Lwowie 1780 roku p. n. „Zabawki wierszem i prozą,” dedykując je księciu Czartoryskiemu. Niebawem miał sposobność poznania księcia osobiście, który zapraszał go usilnie do Warszawy.

Wybrał się Karpiński do stolicy w 1780, lecz żyć się z nią nie umiał; obyczaje dworskie nie mogły pociągać ku sobie człowieka, który chciał iść „prawdą” na świecie i prawdę tę bez obsłonek głosić. Powrócił tedy w r. 1783 do Galicyi, a swoje zawiedzione nadzieje, żal do „panów,” zrezygnowane postanowienie pracy na roli i przygarnięcia biednej rodziny, przedstawił w słynnej elegii „Powrót z Warszawy na wieś.”

Niedługo jednak mógł teraz na roli pracować; lubo narzekał na Warszawę, tęsknił do niej, bo tam było ognisko literatury. Porzucił dzierżawę i zjechałszy do stolicy ponownie, bawił w niej lat cztery, biorąc piórem udział w rozprawach, obudzonych obradami sejmu czteroletniego. Wreszcie, wyrobiwszy sobie przywilej 50-letni na osadę Kraśnik w gubernii Grodzieńskiej, powiecie Prużańskim, na seryo oddał się gospodarce, mało w towarzystwie bywając. Pracą i oszczędnością dorobił się po 20-tu latach 130,000 złp. Za 100,000 kupił wieś Chorowszczyznę, tam na stare lata się przeniósł i tam zmarł 16 września 1825 roku. Pochowany został w Łyskowie; nad mogiłą wzniesiano mu grobowiec z napisem, wziętym z „Powrotu na wieś” — *oto mój dom ubogi!*

Karpiński, jako poeta, nie bawił się w wytworność, czy to pod względem stylu, czy wiersza, dbał jeno o to, ażeby czułość oddać jaknajponętniej, zgodnie z wymaganiami ówczesnego sielankowego nastroju. W ubieganiu się o wyrażenie czule i tkliwe, często przesadził; jak dla nas, jest w jego sielankach za dużo żalów jałowych, łez i omdleń. Ponieważ jednak wszystkie te cechy czułości niezwyklej, która wszelakó nikogo w chorobę, ni rozpacz nie pogrążała, były pochwalane przez modę, więc współczesnych nietylko nie raziły, lecz stanowiły powab istotny. „Poeta serca” uchodził za wzór prostoty, naturalności i szczerości w wyrażaniu uczuć serdecznych. Popularność jego „Laury i Filona” świadczy wymownie, w jakim rodzaju pożądanio karmu dla serca. Dla nas dzisiaj najpiękniejszym utworem Karpińskiego są „Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta,” w których streszcza się jego usposobienie i talent.

W życiu politycznem Karpiński nie brał czynnego udziału, ztąd w jego „Pamiętnikach” nie należy szukać szczegółów do dziejów narodu; szczupłe wiadomości, jakie pod tym względem podaje, niewielką posiadają wartość. Natomiast jako źródło do poznania obyczajów z drugiej połowy XVIII w. są one nader ważne. Przymiotem głównym Karpińskiego, jako pamiętnikowca, jest zupełna szczerość. Nie stara się on ukryć wad swoich, lecz się z nich spowiada otwarcie; czasami zdaje się nam, jakby nie czuł niewłaściwości pewnych postępów swoich i obcych, czasami znów okazuje się aż zanadto drażliwym i zbyt mocno przekonanym o usługach, jakieby mógł oddać krajowi, gdyby z jego talentów chciano skorzystać,

gdyby, jak mówi, był „popłatnym.” Obrazki, z życia wzięte, są wszystkie bardzo znamienne, a jako świadectwo społecznika, który nie zamierzał nic obwijać w bawełnę, zasługują na wiarę. Często z jego opowiadania nie możemy się zbudować, ale zawsze możemy się czegoś nauczyć.

Piotr Chmielowski.

Urodziłem się w r. 1741 dnia 4-go 8bra w ziemi halickiej na Pokuciu, w pow. kołomyjskim, we wsi Hołoskow, 3 mile od Stanisławowa, z rodziców Andrzeja i Rozalii Karpińskich. Zdarzenie osobliwsze w domu rodziców moich w tym dniu przytrafiło się: Kozłowski, sąsiad i przyjaciel ojca mego, przestrzegł go kilka godzinami przed moim urodzeniem, że w nocy sławny na Pokuciu rozbójnik, Olexa Doboszczuk, dokazujący w tamtych stronach, razem z dwunastu swoich małojców, miał dla rabunku napaść na dom rodziców moich. Już moją matkę boleści rodzenia napadły, a ojciec dom z bojaźni może zatracenia życia porzuciwszy, z czem mógł naprędce do pobliskiego lasu schronił się, zostawiwszy rozporządzenie, ażeby okropnemu temu gościowi z towarzyszami jego, chleb, ser i gorzalka najobficiej na stole rozstawione były. Może w godzinę po urodzeniu mojem, przyszedł z swoimi Doboszczuk; matkę tylko moją leżącą i babę, która mnie odebrawszy, omyła i na rękę trzymała, nikogo więcej w całym domu nie zastał. Matka nic mówić nie mogła dla bólu i strachu, ale baba, przystąpiwszy ze mną na rękę do Doboszczuka: „Oto (powiada) godzina, jak to się dziecię urodziło, miej pamięć na Boga, na tę matkę jeszcze cierpiącą i na to niemowlę, nie rób tu żadnej przykrości, kiedy cię, jak dobrego gościa, przyjmujemy.” Zmiękczyło to serce rozbójnika i małojcom swoim skromnie obieć się przykazawszy, do ied-

nia i wódki obficie dostarczonej zasiadł, babie potem dał trzy czerwone złote, a matki mojej prosząc, ażeby nowo-narodzonemu dziecięciu, na pamiątkę bytności jego w tym czasie w domu naszym, Olexy (jak się i Doboszczuk nazywał) imię na chrzcie nadano, bez szkody najmniejszej z swoimi odszedł.

Czego pamięć moja nie zasięga, a co mi matka powiadała, 5 lat może wieku mojego, brat mój rokiem starszy, Kajetan, umarł; kiedy wszyscy śmierć dobrego tego chłopca (jak powiadano) oplakiwali, ja jeden wesół byłem, że sukienki po nim pozostałe, a lepsze od moich, mnie się dostawały, tak od dzieciństwa miłość własna mocniejsza w ludziach nad wszystko! Ale to już dobrze pamiętam, jak w rok może potem matka nasza ojcu i wszystkim nam powiadała, że syn jej nieboszczyk, Kajetan, widocznie się jej po śmierci pokazał i kiedy go wypytowała się, na jakiej drodze umarła jej siostra była, Kajetan odpowiedzieć miał: „Wielkiż to tam świat mamusi i ciężko każdego obaczyć!“ To dowcipne ratowanie się, ażeby i prawd tamtego świata nie objawiać i matce pytającej się odpowiedzieć, dało cechę prawdy snowi zapewne, że pokazaniu się Kajetana powszechnie wierzone w okolicy. Ale wiek dzieciństwa wiekiem był wiary zabobonej i przywidzeń. Taż pobożna matka moja dobrą jakąś duszę po północy widziała (bo duchy tylko przed północą ukazywały się), białą ubraną, z cierniem po przyściece dla kaleczenia umyślnie bosych nóg idącą, która potem przez szczelinę w oknie do izby weszła i za obicie skryła się. Kosztowało to widzenie ojca, dzieci wszystkie i czeladź, bośmy wnet przebudzeni, pacierze, klęcząc przez trzy godziny, przy obiciu, za tę duszę, potrzebną ratunku, odmawiać musieli. Ojciec nasz słyszał, jak św. Józef z obrazu swego, który był w izbie, wymówił to słowo: „Cnota;“ widział w wigilię Bożego Narodzenia, także po północy, Najświętszą Pannę, na niebie w złotym robronie, widział upiora, pokazywał nam

wielu włóczących się, opętanych od dyabła, powiadał wiele historyj o zaczarowanych ludziach i urodzajach, o zapisujących się dyabłom, o czarownikach, o babach na Łysą-Górę na ożogu kominem wylatujących, również jak o lunatykach, którzy kiedy przypadkiem na nich promień księżyca uderzył w nocy przez szczelinę, przez sen przez tę szczelinę po promieniu księżyca na dwór wychodzili; wierzył ślepo przepowiedniom, pod jakim planetą kto się urodził, równie i przepowiedniom kalendarza, a cyganki włóczące się i wróżące z rąk, z oczu, z fasolów na stół rzucanych, albo z wosku roztopionego i wylanego na wodę najchętniej w dom przyjmował. Z tych wszystkich zabobonów im bardziej im w tamtych czasach wierzone i obawiano się, tem więcej my z nich dzisiaj śmiejemy się. Ojcowie nasi zaś, jak dawniej grecy albo rzymianie, wszystko w urojonych cudach widzieli.

Matka i ojciec mój byli to razem ludzie najcnotliwsi i najsurowiej powinności chrześcijanina wypełniający. Kłamstwo w dzieciach najsrożej karane było, artykuły wiary najwcześniej nauczone, skromność, szanowanie się wzajemne i miłość między rodziną nakazywane; a mimo to starszą siostrę moją, że była po oście ślepa trzy lata, rozgniewawszy się, czasem ślepą nazywałem, o co ukarany w czasach kiedy mi się naraziła, to słowo „ślepa“ nie wymawiałem, alem tylko oczyma na nią mrugał. Mścić się i dla swego pożytku oszukać znowu i to z urodzeniem naszym rodzi się z nami. Z drugą siostrą moją, kiedyśmy po pacierzu codziennie na śniadanie mleko lub piwo jedli, żem więcej, bo prędzej jedząc zjadał, na co się ona skarżyła, kazałem jej łyżką na połowę mleko przedzielić, ażeby sobie swoją połowę trzymała, a ja tymczasem jedzący, jej połowę, jak lejką przechodzącą na moją stronę zjadłem. Krzyżyk bursztynowy z szyi jej śpiącej odwiązałem i kobiecie z jagodami przechodzącej za kwartę jagód zamieni-

lem. Ale niedługo udawało mi się oszukiwanie moje; kiedy zmłoczek w stodole naszej nożyk swój prosty na progu położył, a jam go ukradkiem schował, postrzeżony potem od ojca mego, że nim coś strugał, i spytany, z kądbym go wziął, do zwyczajnego wykretu, że go znalazł, udałem się. Zwołani domowi wszyscy i spytani, czyjby był nożyk, kiedy się zmłoczek do niego przyznał, dodając, że ja byłem w stodole, gdy on ten swój nożyk na progu położył, kazał naprzód ojciec mój, abym padł do nóg wieśniakowi, przeprosił go, że go tą moją kradzieżą zmartwił. Rozumiałem, że się już na tem mojem upokorzeniu skończyło, ale kazano przynieść różgę i surowy ojciec temuż samemu zmłoczkowi kazał mi 10 różgę wyliczyć, nad którym stał z laską, ażeby w biciu mnie nie folgował, wziął potem sam różgę i za wstyd swój (jak powiadał) jeszcze mi 10 różgę swoją ręką przyczynił, a po skończeniu rękę sobie, która karała, całować kazał. O święta rękę ojca mego (choć cię już nie masz od tak tak dawnego czasu), jeszcze ja cię i teraz w myśli mojej całuję. Tem to ja surowem ukaraniem wziąłem wstręt największy w dalszem życiu mojem, co jest cudzego tykać. Karałeś, ojciec, i każdy upór, i każde łgarstwo surowo, a że pierwsze z dziecięciem obchodzenie się największe w niem czyni wrażenie, o jakże często, wyszedłszy na świat, przypominały mi się nakazy twoje!

W roku moim ósmym, już umiając czytać i trochę pisać, oddał mnie ojciec do blizkich szkół stanisławowskich, gdzie dobrze starszy brat mój, Antoni, już od lat kilku uczył się, ażeby i ja pomału do szkoły przywykał; było to odwiezienie moje w porze zimowej i kiedy ojciec po obiedzie mnie zostawując, do domu odjeżdżał, ja uprzedzony, bojąc się nad wszystko szkoły, za wrotami stancyi, gdy nikogo za saniami nie było, przysiadłem cicho z tyłu i dopiero w pół drogi odkaszlnieniem wydałem się. Tak zaraz

nazad do Stanisławowa zawróciliśmy i kilkanaście różg, danych mi przez ojca na zadatek dalszego rozumu, interes ten zakończyło.

Może po roku bawienia mego w szkołach był sławny w Stanisławowie pogrzeb Józefa Potockiego, hetmana w. kr. Pierwszy raz wtenczas widziałem świat (jak nazywają) wielki, i prawdziwie podobnej ludności to miasto i potem nie widział i może widzieć nie będzie. Kilkadziesiąt senatorów, między którymi kilku biskupów, cóż dopiero sam dom Potockich w tyłu gałęziach między najświetniejszymi natenczas, cóż dopiero wojska pozgromadzone, które w tamtym wieku na koronacjach tylko królów albo cudownych obrazów i na pogrzebach dowodziły, cóż dopiero niepolicone obywateli mnóstwo, z dalekich nawet województw dla ciekawości pozgromadzone, tłumem wszystkie domy i ulice napętniło! Ojciec mój mieszkał wówczas w Stanisławowie i mogłem na tym pogrzebie widzieć wszystko, z czego poczęści już się nawet zgorszyć umiałem. Kościół cały adamaszkiem od wysokich gzymsów aż do dołu wybity, gęsto lampami oliwnymi oświecony, miał ogromny w środku katafalk, aksamitem pąsowym, ze złotemi frędzlami, światłem, portretem, herbami, bogatemi znakami władzy po wezłowiach położonemi przyozdobiony, od drzwi kościelnych, aż do katafalku, na kroków kilkadziesiąt, posadzka z tarcie umyślnie dana, ażeby bohaterowie wojskowi, na koniach wpadając, łoskotu więcej czynili. Jużem miał tyle poznanja, że przed ojcem żałowałem się na krzywdę Bożą, kiedy dla człowieka-hetmana z domu Bożego stajnię zrobiono. Wjeżdżali w największym końskim biegu wybrani rycerze po jednemu, i ten z nich kruszył kopią przy herbie będącym u nóg trumny hetmańskiej, inny łamał szpadę, inszy rzucał pałasz, inszy strzały, inszy chorągiew, inszy buńczuk, inszy sztandar i t. d. Każdy zaś, złamawszy swoje narzędzie, przy nogach trumny spadał z konia, niby żal

po hetmanie swoim udając, a dwom z tych bohaterów nie udało się wyrządzić skruszenia chorągwi i sztandaru, bo świece na katafalku porozrzucali, ale udał się lepiej niby żal i spadnienie z koni, bo byli dobrze pijani.

Blisko dwóch niedziel odbywa się ta uroczystość trupowa, a może do ćwierci roku niektórzy goście, przyjmowani przez syna zmarłego hetmana bawili w Stanisławowie.

Mieszkając wtenczas w tem mieście rodzice nasi, do siostry mojej starszej, która miana była za piękną, liczni się, najbardziej trzech oficerów różnych, schadzali konkurenci; zaczął bywać z kapelą nadworną i Potocki, Starosta Gurowski, ale ojciec mój za trzecią pańską bytnością, widząc, w jakim celu panicz przychodzi, bez ogródki prosił go, ażeby w domu jego nie bywał, coby dało przyczynę do obmowiska i krzywdę dziecięciu jego zrobić mogło; wszelako kilkunastu oficerów (między którymi był i Gadomski, co potem tak wysoko wzrósł) stale koło panny Maryanny kręciło się, a ojciec mój Zańkowskiemu, mającemu małe dziedzictwo, ale pocziwemu człowiekowi, który się także o siostrę moją starał i w tym tłumie zwyczajnie zdaleka tylko patrzył, mawiał: „Stój tymczasem z daleka, panie Aleksandrze, oni ztąd powychodzą, a ty przyjdiesz na środek” i to się z czasem ziściło.

Pierwsza, którą w tych czasach widziałem, egzekucya kryminalisty w Stanisławowie wielkie mi uczyniła wrażenie; był to rozbójnik, nazwiskiem Bajurak, który na plac śmierci idąc, kazał sobie podać fujarę, czyli ulubioną piszczałkę góralską, na której smutne dумы góralskie przygrywał. Ojciec mój umyślnie na tę egzekucyę za rękę mnie przyprowadziwszy, stanął ze mną tak blisko, ażebym widział ścięcie zbrodniarza, które, gdy się dopełniło, tak do mnie widziałem tym pomieszanego rzecze: „Moje dziecię, Bajurak zapewne zaczął od kradzieży małych

rzeczy i może tak, jak ty, w dzieciństwie nożyk u kogo ukradł, co, że mu wcześni nie zganiono, postąpił do rzeczy większych, a że ludzie zwyczajnie po domach strzegą się od złodzieja, widząc, że tą drogą żyjąc między ubogimi, nie tak łatwo z bogacić się, puścił się na rozbój, który prędzej spanoszyć może; moje dziecię! złe każde jest jak mała gadzina, której jad z czasem o śmierć przypawi.” Powiadał nam potem ojciec, jako po zginieniu wyżej wspomnianego zbójcy Doboszczuka, ten Bajurak, jeden ze dwunastu jego mołojców, naczelnikiem zbójckiej bandy obrany i tylko rok jeden dokazywał. Doboszczuk zaś takim zginął sposobem: Blisko lat trzydzieści ze dwunastu swoimi na Pokuciu rozbijając mołojcami, kiedy rotmistrz Przyłuski z półtora ludzi, kilkanaście lat za nim po górach chodząc, rady mu dać nie mógł, kiedy nawet górami do Transylwanii przechodząc i tam ścigany przez wojsko węgierskie, a nigdy nie dogoniony, za zgodą panów dziedziców naszych w górach dobra mających, w powiecie kołomyjskim obwołać po wszystkich miasteczkach kazało, ażeby któryby z wieśniaków tamtejszych zabił Doboszczuka, miał z następcami swoimi wolność i grunt, który trzyma, wiecznem dziedzictwem posiadać. Chłop Górski, którego żonę Doboszczuk kochał, umówił się z żoną, a to dla zysków przez dziedziców obiecanych, która pozwoliła, aby mąż, w sieniach z dobrze nabitą fuzyą w nocy zasiadł i przychodzącemu Doboszczukowi w piersi o kilka kroków wystrzelił. Uszedł jeszcze postrzelony zbójca ćwierć mili w góry, mógł (jak zwyczajnie robił) na swoich, po górach śpiących mołojców świsnąć, z których gdy kilku przybiegło, prosił ich i żądał, aby z bliskiej wsi popa mu sprowadzili. Spytany o skarby, które wielkie zgromadził, gdzieby je pochował, to tylko odpowiedział, że jedna „Czarna góra o nich wiedziała.” Ale kosztowny krzyż dyamentowy, który zawsze na piersiach nosił, a który przed kilku latami napadłszy na

miasteczko Bokoroczany, rezydencję kasztelaństwa Kossakowskich, ze skarbcza ich z innemi droższemi rzeczami wzięty, ten krzyż przez popa odebrany, do właścicieli odesłany był.

Już byłem w szkole gramatyce, kiedy na wakacje przyjechawszy do domu, brat mój starszy, będąc retorem, a mający skłonność do stanu duchowego (co potem ziścił) w blizkiej izdebce kazania przy rodzicach miewał, kiedy raz żartując ojciec, zapytał mnie, czyli też i ja mógłbym powiedzieć kazanie, z ochotą wstąpiłem zaraz na miejsce, które się niby amboną nazywało, gadałem z półgodziny same słowa, nie mające związku żadnego, tak ręką w stolik przed sobą bijąc, tak gości wszystkie kaznodziejskie udając, jak się napatrzyłem na kazaniach w Stanisławowie, ale co ojca najwięcej zastanowiło, że w tym słów niezwiązanych natłoku nigdy się nie zastanowił; zyskałem od rodziców daleko więcej za moje kazanie, jak brat starszy, bo on tylko zimne pochwały, a ja rodzyńki i gruszki.

Dzieckiem będąc, w szkołach, już ja ciebie słodka przyjaźni, poznałem. Do 400 studentów było w Stanisławowie, czemuż ja do dwóch tylko, Sosnowskiego i Malickiego, tak jak oni do mnie, przylgnąłem? Trzeba wyznać, że prócz szacunku wspólnego, który najgruntowniej przyjaźni ludzkie umacnia, a na którym natenczas małośmy się podobno znali, jest coś w wieku, twarzy, w sposobach obchodzenia się i myślenia podobnego, co przyjaciół połączyć zwykło; z Sosnowskim, który był w niższej szkole odemnie, do takiej przyjaźni przyszło, żeśmy nie tylko sobie w kościele przysięgli, że się do śmierci kochać będziemy, ale nawet kartkę małą z podpisami nas obudwóch napisaliśmy, w której prócz poprzysiężenia przyjaźni, była i obietnica wspólna, że któryby z nas pierwsi umarł, ten drugiemu ma się po śmierci (jak na ten czas wierzone możliwości takie uiszczenia) widocznie pokazać i o stanie swoim na

światym świecie powiedzieć, co żeby tem mocniejsze było, kartkę napisaną pod obrus ołtarza w miejscu, gdzie ksiądz konsekruje położyliśmy, do mszy księdzu obadwaj służyli i dla utwierdzenia tych naszych układów, na tejże samej mszy obadwaj komu-nikowali.

W pół roku potem, pojechawszy na święta do rodziców, mój przyjaciel Sosnowski umarł; przy-growadzono ciało jego do Stanisławowa i w grobie kolegiaty tamtejszej pochowano. Okna domu, w którym ja mieszkalem, były obrócone na kraty grobów kolegiaty. Cóż tam było bojaźni, ażeby do mnie mój Sosnowski, według mi danego przyrzeczenia nie przyszedł, jak długo bezsenne noce w strachu trawione, póki wypowiadawszy się i komunię świętą przyjąwszy, śmiały potem, w nocy nawet ku kracie grobowej szedłem i ducha przyjaciela nadaremnie wywoływałem, bo mi się nigdy nie pokazał, tak usłużna i drobnym dzieciom religia, spokojnemi ich i szczęśliwemi czyni.

I z drugim przyjacielem moim, Malickim, raz przyjaźni mało mi na złe nie wyszła; starsze klasy, jako to poetowie, retorowie i filozofowie, w ławkach siadywali, a młodsze przed ławkami modliły się. W dzień jakiś świąteczny, stojąc obok z przyjacielem moim Malickim, podczas kazania śmieliśmy się i lok-ciami, żartując z drugih, potracali. Ojciec mój nie-spodziewanie dla mnie przybywszy na nabożeństwo, widział z ławek nieprzyzwoitą w kościele swawolę moją i zaszedłszy poza ławką, z tyłu stanawszy za mną, ciężki mi wyciął policzek, przydawszy głośno: „złego i w kościele biją,“ a potem poszedł do swojej ławki i spokojnie kazania słuchał; prawda ze strony ojca, a wstyd z mojej strony, przypominały mi się potem skromność w kościołach.

Raz podczas wakacyj wziął mnie ojciec na sejmiki do Halicza, widziałem tam w kościele kilka razy

dobyte szable, a potem pijanych, siekających się po ulicach, a potem na rynku szlachcica, który padł na kolana przed sławnym zabójcą Mikołajem Potockim, starostą kaniowskim, i wołał na niego: „Ty jesteś Bóg w Trójcy Świętej jedyny, weź syna mojego do konwiktu!” Śmiał się z tego magnat i syn szlachcica, wzięty do burzackiego konwiktu, pewnie za to, że ubóstwiał despotę; ale ojciec mój i te szable w kościele i to rąbanie się po ulicy i to bluźnierstwo Potockiemu na pijaństwo zważył i do jakiego końca przyprowadza, przestrzegł. Był to natenczas w obradach sejmikowych, jako i wszędzie, nieład największy i było upodlenie uboższej szlachty przez parów, co nas na końcu do zguby ostatniej przyprowadziło.

Jużem miał lat ze dwanaście, kiedy ojciec mój, wyzwany na pojedynek od towarzysza przedniej straży, Janiszewskiego, nazajutrz rano na tę walkę wychodzić miał, i mimo najsurowszego nas przez ojca naszego trzymania, tak się we mnie gorąca dla niego miłość odezwała, że długo w noc pokryjomu szabelkę moją ostrzył, ażebym nazajutrz w czasie rozpoczęcia pojedynku, z tyłu Janiszewskiego w głowę uderzył, choćby mi i zginąć przyszło. Ale zawzięci pogodzili się bez bitwy, a ja zyskałem na tem, kiedy się ojciec dowiedział, bo mi piękniejszą szabelkę kupił. W szkołach mniejszych najpierwszy byłem między kolegami moimi do swawoli; jakże to wiele żydom okien powybijanych? koło domu, gdzie stałem, pozwudzonych ludzi przechodzących porzucenym wśród drogi szóstakiem, przywiązany przez dziurkę do długo skręconej włosieni białej, a patrząc przez okno, kiedy się przechodzący do zdjęcia szóstaka schylał, pociągawszy nagle przez okno włosień, szóstak z nią razem ku mnie uciekał; wieleż to, bijąc się w kije (jak był natenczas zwyczaj na rekreacyach), z ręki drugiej piaskiem oczy zasypałem, a potem go kijem w głowę do woli natłukłem. Krew

żywa, która do takich i tym podobnych swywoli poruszała, była mi razem pomocą, że mi i naznaczonych mi na pamięć pensów najłatwiej zawsze nauczył, a tę pilność i honor jakiś sprawował, żeby w szkole nademnie lepiej się uczącego nie było. Dyrektor mój, Nadziejowski, zwyczajnie przed pójściem z rana do szkoły, pensów na pamięć wydawanych słuchający, raz mnie słuchać nie chciał, bo (powiedział), że słyszał w nocy, jak przez sen doskonale wszystkie pensa wydałem. Ale też sama żywość zrobiła mnie do mojej religii, wpojonej przez ojca, gorąco przywiązanym; nasłuchawszy się z żywotów św. pustelników, wzięwszy torbę jakąś i dwa chleby, ukradkiem od naszej gospodyni uciekłem w nocy do blizkiej Stanisławowa dąbrowy, chcąc odtąd mieszkać na pustyni i żyć żołądźnią, pomału do niej przy chlebie przyzwyczajając się. Trzy dni mnie szukano, czwartego sam przyszedłem, zreflektowany, że nie będę mógł do żołądźi przywyknąć. Różga nauczyła pustelnika, że żyjąc między ludźmi, więcej bliźniemu przysługi zrobić można, którego kochać na puszczy, jest tylko to mówić, a nie czynić. Widząc w ołtarzu obraz św. Sebastjana strzałami pokłutego, przyszła mi znów myśl być męczennikiem dla wiary; wiedziałem, że Chocim, miasto tureckie na Wołoszczyźnie, nie tak od Stanisławowa odległe, umyśliłem tam się koniecznie dostać i w środku tego miasta Mahometa, proroka muzułmanów, ostatnimi łzami wyrazić; tak obrażeni Turcy pewnieby mnie za wiarę moją zamordowali. Myśląc o sposobach wypełnienia projektu tego, przyszło mi do głowy doświadczyć pierwej, jak też na cierpienie ran jestem wytrzymały; dużą szpilkę utkwilem sobie w udo, z bólu krzyku narobiwszy i widząc się tak niecierpliwym i szpilkę i myśl zostania męczennikiem porzuciłem.

Lubiąc muzykę, najbardziej na skrzypcach, chciałem się jej uczyć najusilniej, ale ojciec z przesądów wieku tamtejszego, jak i mówić po francusku, na

skrzypcach uczyć się także zakazał. Znow żle zrozumiana religia, połączona z chęcią nauczania się na instrumencie, wyganiała mnie z domu do Częstochowy, ażebym ucieklszy z domu tam, służąc przy kapeli kościelnej, razem N. P. Częstochowskiej przez kilka lat służył. Ale ten układ ksiądz mi na spowiedzi odradził, nie czynić źle (jak mówił), martwiąc rodziców, ażeby się działo dobrze.

Okolo tych czasów osobliwsze zdarzenie na Podolu trafile się. Ubogi szlachcic, służąc za ekonoma u pana (ktorego nazwiska zapomniale), człowiek pocziwy, ale w zapisywaniu ekspensow niedbaly, gdy przyszlo do rachunkow, tysiac kilkaset złotych zostal winnym; nie bal się zaboru, bo nad kontusz, żupan i kilka koszul, nic więcej nie miał, ale bojąc się kar albo więzienia, uciekl nocą i o mil kilkanaście od dawnego pana przystal do drugiego na taką funkcyę. Po półroczu dowiedzial się pan stary, gdzie się jego zbieg znajduje i poslal podlug prawa woźnego i dwóch szlachty, ażeby zbiega aresztowali. Dniem przed ich przybyciem umarl zbieg ów u nowego pana na folwarku, pokazano tedy woźnemu i dwom szlachcie, do aresztowania przybyłym, już trupa w tym samym kontuszu i żupanie, w którym uciekl od dawnego pana, na katafalku złożonego, z wyznaniem urzędowym, że nic się po nim nie zostalo, prócz kilku koszul. Woźny i szlachta powrócili nazad do pana, opowiadając o śmierci zbiega i że zapewne nic po nim nie zostalo się, a tymczasem tegoż dnia, że kościół łaciński był o kilka mil odległy, ciało zmarłego podwódka dworską chłopom wieść do pogrzebu kazano. Już blisko byli kościoła, kiedy trup mniemany (a ktorego pewnie krisis choroby uspiła była) ruszać się poczał, a wreszcie i wieko od trumny zrzucil.—Czasy to były, w których najwięcej w upiory wierzone i biedni chłopi, zlekiszy się, w blizkie krzaki pouciekali. Trup mniemany tymczasem podniósł się i usiadł w trumnie, a widząc, co

się z nim było stalo i z trumny miarkując, że go do grobu wieziono, postrzeglszy razem w krzakach chłopą kryjacego się, na Boga zaklinać poczał, ażeby do niego przystapil; póki mu nie przyszlo do głowy przeżegnać się, póty mu chłopie nie dowierzali, ale potem zbliżywszy się i poznawszy, że istotnie żyje, z nim nazad do domu powracali, gdzie on przybywszy, prosil naujusilniej tego nowego pana, ażeby go nazajutrz do starego odeslal, „bo ja (powiadal) przed moją tą niby śmiercią, największy na duszy ciężar czulem, że od pana dawnego uciekl, nie wypłaciwszy się mu, przynajmniej służąc za jego szkody.“ Dal się łatwo pan uprosić i nazajutrz rano odeslal go do swojego starego pana, u ktorego stanawszy, wszedł mniemany trup do pokoju w tym samym kontuszu, w którym był uciekl, właśnie wtenczas, kiedy pan jego dawny, w tymże pokoju przed zwierciadłem naprzeciwko drzwi będącem, na stoliku list pisal. Widząc w zwierciadle przychodzącego dawnego ekonoma zmarłego, a obróciwszy się jeszcze na niego i potwierdziwszy, że ten sam jest, z krzykiem uciekl do drugiej izby, gdzie się i zamknal. On biedny przede drzwiami prosić poczał, ażeby mu ciężki na duszy zaciagniony dług darowal. A pan z za drzwi krzyknie zalękniony: „Ale wyjdź mi z domu, ale wyjdź mi z domu, ale precz!“ Poznano po wszystkich postrachach co się stalo i pocziwy ekonom słuzył panu do śmierci, która w kilka lat nastapila.

Już dwa roky odbyłem na retoryce i kilka kazań w niedziele postne na nabożeństwie studenckiem w kongregacyi miałem, kiedy przyjechawszy do księdza brata do Oleśni miasteczka, gdzie był komendarzem i gdzie rodzice moi, już starzy na dewocyi mieszkali, zastalem tam zjazd obywatelów na pogrzeb Aleksandra Roszczyca, porucznika chorągwi pancernej hetmańskiej (co natenczas wiele znaczyło), nazajutrz się odprawiać majacy. Przypadkiem przyszedłem do księdza Wójcickiego, scholastyka stani-

ślawowskiej kolegiaty, przyjaciela rodziców moich, który na tym pogrzebie miał celebrować, a ten mi o swoim zmartwieniu powiedział, że na zjazd taki wojskowych i rodzin mowy żadnej pogrzebowej nie będzie, kiedy ksiądz, co mówić miał, zachorował. Proponowałem sobie za mówcę, nade wszystko, że Roszczyk nieboszczyk był mi dobrze znany i kochał mnie. Z ukontentowaniem ofiarowanie się moje przyjęte od scholastyka, a ja nie bawiąc, powróciwszy do domu, tę mowę sobie napisaawszy, uczyłem się jej na pamięć, bo wtenczas nie było zwyczajem z karty czytać. Noc była widna, chodząc po miasteczku, mowę sobie swoją w pamięć wbiąłem, zdybawszy kilku stróżów nocnych (co po ulicach „ostrożnie z ogniem“ wołali), obiecałem im pół złotego na wódkę, byle razem, co mają siły, ostrożnie z ogniem zawołali. Było to przy jednym domu miejskim, gdzie pułkownik przedniej straży, Cieński, z żoną, z rodziną i z wielu towarzystwa gospodą stali. Okrzyk gwałtownie pod oknem zrobiony obudził wszystkich i kiedy ja na zeplacenie krzykaczów półzłotka dobywałem, wypadli z kijami towarzystwo i moich wołaczów dobrze wybili, a ja z półzłotkiem i ze strachem uciekając, przecie ocalałem. Przyszli na koniec dzień pogrzebu; gdy już do grobu trumnę spuszczać mieli, zacząłem mowę swoją, w której po wielu zmarłego pochwałach, po pożegnaniu wojskowych i sąsiadów, kiedy do pożegnania żony pozostałej i dzieci przyszło, dzieci, które s. p. matce oddaje, żeby ją cieszyły, miasto niego, a kiedyś obaczywszy się z żoną, którą teraz opuścił, pytać się będzie przed Bogiem o pozostałych sierot wychowanie i obyczajność ich, tak to mocnymi wyrazami i tklwym tonem głosu wyraziłem, że matka głośnem szlochaniem na czas mnie zastanowiła, niżeli ją utulić mogła. Po tym pogrzebie nastąpił wielki obiad, na którym, że mi pogrzebowa mowa moja zrobiła powszechną tam wziętość, między osobami u stołu najpierwszymi byłem

posadzony, co moją miłość własną najmocniej najpierwszy raz łechtało, co trochę mię nawet pęchła nadeło.

Po skończonym dwuletnim kursie filozofii przyjechałem na wakacje do brata i rodziców. Mieliśmy zawsze największe dla matki naszej, a najbardziej dla ojca groźnego uszanowanie, nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet o ścianę, stojąc przed nim oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem, bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja z kimś rozmawiając, wszystkie wspomniane ostrożności zachowałem względem ojca, kiedy razem, przystąpiwszy do mnie, ciężki mi on wyciął policzek i znowu po izbie, jak przedtem przechodził się. Kryminałem byłoby spytać się za co to, w milczeniu skromnem, z oczyma w ziemię spuszczone, czekałem końca; wtęm ojciec mój rzucił mi się na ramiona i mówić ze łzami począł: „Synu mój! ja symplak, bo czytać tylko i ledwo co napisać umiem, a ty już filozof, doświadczałem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od ojca twego, ale kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mnie w starości mojej szanujesz (wtęm ukląkł w pośrodku izby i podniosłszy ręce do góry), Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba pobłogosław to dziecię moje, niech żyje długo, zdrowo i szczęśliwie.“ Padłem mu do nóg rozrzewniony i wzruszony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku, który odebrałem, a on klęczący do klęczącego, mówił rozrzewniony: „Synu mój! szanuj ludzi, a będziesz szanowany, ten policzek, który odebrałeś od ojca, niech będzie ostatni, który ci w życiu dany, a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, krew tylko nieprzyjaciela twego wżgardę takową zmasać może.“

Niedługo potem, bo może w pół roku, ten srogi, ale razem najczotliwszy ojciec, pożegnał nas; przed skonaniem po kilka razy ze mną mówić żądał

i widząc się blizkim zgonu, matce tylko zalecił: „powiedz tam Franciszkowi, niech prawdą idzie na świat” i to już ostatnie jego słowa były, bo po nich skonał; po daniu mi znać o trzy mile oddalenia, przyjechawszy, już go ułożonego na katafalku zastałem; żalu mego nie wyrażę, bo był niezmierzny, teraz nawet, kiedy to w starości mojej piszę, przyjmij te łzy moje, najlepszy ojcie, które, na wspomnienie o tobie, rozrzewniony wylewam i jeżeli tam, gdzie pewnie szczęśliwszy bawisz, pociecha jaka do was z ziemi przychodzić może, u was pewnie takie łzy nasze milsze, niżeli marne radości nasze!

W rozpaczę prawie, widząc trupa ojcowskiego, wkradłem się w trumnę, która blisko dla niego przygotowaną była, prosząc i zaklinając, ażeby mnie razem z ojcem pogrzebano, że gwałtem mnie z tejże trumny wyciągnąć musieli, i już mię w osobności kilku naszych przyjaciół trzymali, żem nawet pogrzebu ojcowskiego nie widział.

Cztery lata uczyłem się filozofii głupiej, a natenczas powszechnej, perypatetycznej, traciłem czas młodości mojej najlepszej. Powiedział ktoś: „Ucz się tego za młodu, co ci na całe życie potrzebne będzie.” Moja perypatetyka jak nikomu, tak i mnie pożytku w życiu nie zrobiła. Porzucił ją z czasem świat oświecający i kiedy świeżo uczony Kant w Królewcu gwałtem znowu do szkół wprowadzić perypatetykę pismami swojemi usiłował, sobie tylko uczynił krzywdę, że użyteczną terazniejszą filozofią na doświadczeniach fizycznych, geometryi zasadzoną, do dawnego powrócić chciał.

W przeciągu kursu filozofii mojej, ciebie ja to miłości najpierwszy raz poznałem; napróżno Jezuiti słodkimi namowami przynęcali mnie, abym do ich nowicyatu poszedł i był Jezuitą, mocniejsza natura nad wymowne przekonywania swoją pójść drogą wolala. Jeżeli żyjesz jeszcze, najpierwsza kochanko moja, zdrowie ci i szczęście!..... więcej stem mil

oddalony, przegrodzony od Pokucia kordonami, obcym ja się dla mojej ziemi zrobiłem, żyjący teraz w Litwie. Maryanna Brösellówna, córka kapitana saskiego, z Turkułówny urodzona, sierota bez matki i ojca, za najpiękniejszą i najcnotliwszą pannę miana na Pokuciu, najpierwszą była, do której się w życiu przywiązałem. Moja do niej miłość była niewinna, jak ona, po całych prawie nocach, ze mną rozmawiać i bawić lubiła, ale kiedym ją raz w piersi pocałował, ze dwie niedziele gadać ze mną nie chciała. Obyczajność i skromność jeszcze mi od ojca mojego wpajane, jakże daleko mocniej ta niewinna panna we mnie ugruntowała. Ona to jest moja Justyna, do której tę najpierwszą z moich sielanek: *Tęskność na wiosnę do Justyny* napisałem, i którą pod tem imieniem tyle razy potem wspominałem. Długo się można kochać, ale długim głodem, nie nasyceniem się; lat kilka i ja w mojej niewinnej i ona we mnie kochała się, ale nakoniec, kiedy jej zyskowne trafiło się zamęcie, bo prędeż przybiega szczęście, kiedy go pięknej a cnotliwej kobiety oczy zawołały, a ja ubogi, wzięwszy tę szanowną pannę, chybałbym z nią na służbę poszedł, ze łzami oświadczyłem jej, ażeby za mego rywala poszła. W początkach łzami mi tylko odpowiadała, a potem rzecze: „ja się dla ciebie prąść nauczę i grzędę kopać będę;” jużem się do niej wracał i byłbym tego nie żałował, ale jej i moi przyjaciele przemogli, którzy mi zyskowniejsze chcieli obmyśleć małżeństwo. A tak skończywszy drugi rok mojej filozofii, żebym się nawet od miejsc tych, gdzie ona była, usunął, porzuciłem Pokucie i do Lwowa na słuchanie teologii odjechałem razem z Maurycym Cieńskim, Wojciecha Cieńskiego, pułkownika synem, który pod dozór mnie oddany był.

Nowy dla mnie w tej ruskiej stolicy świat się otworzył; blisko przypaść kontrakty lwowskie narobiły mnie wiele znajomości, między którymi pierwszy był Wacław Rzewuski, hetman natenczas polny ko-

ronny, pan słodki, skromny, najlepszy obywatel, najlepszy mąż i ojciec, któremu, jako piszącemu wiersze, ja także piszący i już cokolwiek z tej strony znany, przez Jezuitów prezentowany byłem. Zaproszono nas na obiad, gdzie między innymi i mój profesor teologii, Starzeński Jezuita, razem z sociuszem braciszkiem u stołu siedział. Wszczął się dyskurs o Rzymie, gdzie Starzeński dawniej czas jakiś bawił, którego hetman zapytał, jak też daleko może być prostą linią do Rzymu ze Lwowa? a ten odpowiedział, że nie wie dokładnie, braciszek w głos odezwał się: 30 mil pełna. Wszyscy rozśmiali się i umyślnie o czym inszem dyskurs hetman rozpoczął. Kiedy po obiedzie ksiądz Starzeński i ja z nim razem pożegnaliśmy hetmana, i ksiądz, wyszedłszy z domu, sociusza braciszka kurtać zaczął, że się tak głupio u stołu z swymi 30-stu milami do Rzymu wyrwał, on mu odpowiedział: „jużci lepiej zrobiłem, jak waszeć dobrodziej, żeś odpowiedział nie wiem, bo to brzydko dla Jezuity, ażeby czego nie wiedział.“ Takie to w tym zakonie było powszechne prawie o sobie mniemanie, że Jezuita wszystko wiedzieć powinien, i chociaż przyznać potrzeba, że naukami wszystkie inne, których tyle we Lwowie znajdowało się, zakony przechodzili, przecież to im zawsze krzywdę czyniło, że wszystkim głośno pogardzali.

Okolo dziesięciu było w tamtym czasie studiów zakonnych we Lwowie i w końcu kursu nauk, profesorowie zakonnicy zapraszali profesorów Jezuitów na publiczne dysputy z filozofii albo teologii, co wzajemnie i Jezuita, zapraszając na takie dysputy profesorów zakonników, czynili. Jezuita, czyli on zaproszony, opugnował, to jest zadawał pytania studentowi zakonnikowi, czyli u siebie bronił się, podobnie opugnującemu profesorowi zakonnikowi, zawsze starał się lub upokorzyć zakonnika, że dysputa, która zwyczajnie trwać miała dwie godziny po drugim albo trzecim argumencie kończyć się musiała, kiedy

mnich, tak student, jako i profesor jego, nic odpowiedzieć nie umieli, a to nas samych studentów jezuitskich prawdziwie pogorszało. Nowo przybyły profesor teologii u Bazylianów, Misturski nazwiskiem, oduczył trochę pychy Jezuitów, kiedy zaproszony od nich na dysputę teologiczną, do podobnego stanu zamilczenie ich przyprowadzić umiał, do jakiego oni innych profesorów mnisich przyprowadzali, ale skromny bazylian w swoich krótkich zarzutach razem potraçał sposób, jakby się jezuita ratować mógł i nie był publicznie zawstydzonym, a razem o ludzkim z ludźmi postępowaniu tem samem przestrzegł.

W drugim roku teologii mojej podnieśli Jezuita lwowscy szkoły swoje na akademię, a między innymi studentami świeckimi i mnie także nauk wyzwolonych i filozofii doktorem, a św. teologii bakalarzem zrobili. Na dzień umówiony publicznej pierwszej procesji akademickiej, tłumni goście do kościoła jezuitskiego zgromadzili się. Ja, doktor, ubrany byłem po wierzchu polskich moich natenczas sukien, w płaszcz czarny po pas, z błękitną grodeturową podszewką, z takiegoż koloru obszlegami naokoło, z pętlczkami srebrnymi na przodzie, w rękę berło wyślacane, a na głowę (jak wtenczas była moda golić się) zupełnie prawie ogolonej i tylko kilka włosów na samym wierzchu mającej, biret mi włożono. Rektor akademii Jezuitów, w pasowym aksamitnym ze złotymi fręzlami płaszczu i inni doktorowie prawa i teologii Jezuita w płaszcze także poubierani. Ledwie co zaczęliśmy po kościele procesją, akademik zamojski, w ławkach siedzący, umyślnie przysłany na to z Zamością, ogromnym głosem zawołał: „Protestuje się nieważność tego aktu.“ Jezuita strwożeni i zagniewani w rozruchu niezmiernym akademika protestującego się z kościoła wytrącić kazali, a ja pewniejszej się rzeczy chwytając, berłem mojem w głowę go uderzywszy, dobrze go przygłuszyłem, drugi zaś kolega mój, nowy doktor, także filozofii, już go był

za łeb zahaczył, i byłoby może co gorszego nastąpiło, gdyby Jezuici, w płaszczach akademickich przybiegłszy, nie ratowali protestującego się, który spokojnie tylko za drzwi kościelne wyprowadzony, a my tymczasem po otrzymanem zwycięztwie swoim *Te deum laudamus* kończyliśmy; przyczyną miała być tej protestacyi zgwałcone dawne prawo akademii zamojskiej, którem warowano, ażeby o 20 mil od Zamościa żadna akademія podnoszona nie była. Prawo zapewne nieprawne, jak gdyby to więcej oświecenia w narodzie szkodliwszem być miało narodowi.

Bawiąc we Lwowie, poznałem się także z Ignacym Cetnerem, wojewodą belzkim, najczęściej tam przebywającym, i o kilka mil ode Lwowa dobra swoje, Krakowiec zwane, mającym. Już żony, z domu Potockiej, u siebie nie miał, która się z nim ustawicznie kłóciła, a on z nią nigdy. Był to jeden z ludzi najpocziwszych i najgrzeczniejszych dla każdego, nierządem w dobrach swoich i zbyt czułym urzędnikom swoim pobłażaniem ich pozbogacał, a swój ogromny majątek do więcej połowy zmniejszył; kochał się w ogrodach, w których przez całe życie sam nawet pracować rydłem lubił często, ziola zaś i krzewy tak miał rzadkie, że kiedy potem cesarz Józef ogród botaniczny we Lwowie fundować chciał, wielu ziołami od Cetnera zapomagać się przykazał. Ten słodki człowiek, który mnie prawdziwie kochał i dla zmartwień jego w czasie kontraktów lwowskich, gdyby można, co dzień chciał mnie mieć u siebie na obiadach. Miał prawdziwie chrześcijańską religią, w tłumie mających z nim interesa, wielu mu przykrości głośno mówili, a on często do blizkiego gabinetu wychodził i znowu do zgromadzenia powracał. Raz przez ciekawość wszedłem za nim do tegoż gabinetu i znalazłem go spłakanego przy nogach krucyfiksu; kiedym go cieszyć zaczął, on mi odpowiedział: „przy tych nogach mam zawsze najpewniejsze pocieszenie, a ten, który mi dopiero tak ostro, publicznie gadał

bóćki mu kiedyś sprawiałem, do szłości go dawałem, bo był synem mojego ekonoma i w mojej służbie spanoszył się.“ — Najwięcej ten zacny człowiek takiego rodzaju miał kredytorów, którzy niewdzięczni znęcali się nad dawnym panem swoim, że panem ich być nie umiał.

W tym czasie słynęła we Lwowie pobożnością i wiadomością pisma św. Tamburini; była ona Polką, a mąż jej Włoch, od dziada u nas zasiedziały mieszczanin tamtejszy, on tylko pocziwy człowiek, a ona tylko niby nabożna. Zapraszana bywała do pierwszych domów i chociaż na czas krótki zgodziła przecież z mężem niespokojną Cetnerową. Miewała kazania u siebie w kamienicy, na jednym z których i ja byłem. Wyznać potrzeba, że mowy jej były pełne ognia, rozumu i ducha chrześcijańskiego, była do tego młoda, piękna, oczy miała zawsze spuszczone na dół, a nic nigdy (jak powszechnie fałszywie głoszone) nie jadała. Ja młody, pisma także cokolwiek jako już teolog umięjący, a mający reputacyę nierozpustnie żyjącego młodziana, znalazłem łaskę u świętochny, ta mi pozwalała częściej bywać u siebie. Raz ją zagadnałem: „którzy też to są błogosławieni ubodzy w duchu“, kiedy mi ona prawdziwe znaczenie wyrazu tego tłómaczyła, ja jej odpowiedziałem, iż myślałem, że to są ludzie, będący w łaźni, ubodzy bez koszuli, a w duchu, bo w gorącym powietrzu; zganiła mi żartowanie z pisma, wszelako łaski u nabożnisi nie straciłem. Prawie zawsze kilku mnichów u niej zastawałem, ale raz, znalazłszy ją samą i z piersiami na pół odkrytymi, po nabożnym przegrywku, zacząłem piękne jej piersi chwalić, a ona mi rzecze: „Grzeszniku, jak śmiesz to ciało chwalić, które niebawem trupem i pastwą robactwa będzie?“, a ja jej na to: „niżeli te piersi będą trupem, kwapmy się i całujemy je żywi i żywo.“ Chociaż moje pocałowania były przedłużone, nie nadto się nabożnisia moja bronila mi, i słodko na mnie, nie w ziemie, iak zawsze, da-

trzeć zaczęła. Ale para mnichów nadszedłszy, nie dali skończyć dzieła rozpoczętego, i ona rzecze do nich, wskazując na mnie: „Oto i ten młody człowiek, drogą naszą zapuścił się.“ Przyszedłszy do przytomności i o drodze zbawienia nieco z mnichami pomówiwszy, wyszedłem, myśląc mniej dobrze o świętochnie, a nie o sobie, którym ją do tej trochę słabości przywiódł. Niedługo potem arcybiskup lwowski, Sierakoński, sławny starzec z przykładnego życia i sprawowania urzędu swego bez nagany, przyjechał do Lwowa i dowiedziawszy się o kazaniach i o poście ustawicznym bez jedzenia żadnego pani Tamburini, kazał jej przyjść do siebie na obiad i koniecznie, pod posłuszeństwem, winnem biskupowi swemu, jeść mięso. Ze łzami jeść je musiała, a co dla niej przykrzejszem jeszcze było, kazania nawet jej mieć zakazał. On już o wszystkim wiedział, a my potem powszechnie we Lwowie dowiedzieliśmy się, że ta fałszywa dewotka zrana codziennie kilka filiżanek kawy wypijała i dużą bułkę chleba ukradkiem zjadała. Tak to fałsz, niedługo w przybranej na siebie cnoty sukience ludzi, bo poznać łatwo, że nie na niego zrobiona była.

Skończyłem kurs mojej teologii, odbywszy publicznie niezłe dysputę, na której, prócz innych gości, był i arcybiskup lwowski. Ten po kilku dniach wezwał mnie do siebie na obiad i dając mi pochwały z niedawnej mojej dysputy, obranie stanu duchownego radził mi; kiedym mu odpowiedział, że powołania do tego stanu nie czuję, radził mi post przez trzy środy, prosząc Boga, aby mnie oświecić i natchnąć raczył.—Pamiętał znów dobry ten pasterz, po trzech niedzielach znowu mnie do siebie wezwać, aby o natchnieniu mojem dowiedzieć się. Powiedziałem mu, jak było, że widząc, jakiej doskonałości stan duchowny potrzebował, wolę być znośnym człowiekiem, niżeli niedobrym księdzem. Takeśmy skończyli z arcybiskupem, który, mimo odmówienia mojego, był

potem na mnie zawsze łaskaw i rad mnie w domu swoim przyjmował. Pochlebne dla mnie między ludźmi znaczniejszemi przyjęcie zrobiło mi wiele o sobie rozumiejącym, a te wszystkie względy dla mnie przypisywałem mojej biegłości w filozofii i teologii.

Bawiąc we Lwowie, miałem sposobność poznać księżnę z Sapiechów Jabłonowską, wojewodzinę braciawską. Ta pani wielu umiejętnościami sławna, a nawet łaciński język umiejąca i książki łacińskie czytająca, przyjmowała mnie w domu swoim z tą dobrocią, która jej była wrodzoną. Raz bawiąc u niej, nadjechał z swoim sociuszem, przeszły mój pierwszej lekcji teologicznej profesor Starzeński, Jezuita. Ja, co Boga w doskonałości kładłem najpierwej, po nim zaraz Starzeńskiego, a po Starzeńskim siebie, zadziwiłem się niezmiernie, kiedy księżna, tak w dyskursie, po kilka razy zagadnęła tę pierwszą, podług mnie, po Bogu osobę, mego naocznego naczelnika, że jej odpowiedzieć nie umiał, dopiero wtenczas ja o sobie zacząłem skromniej przemyśliwać i co pycha prędko mi dała, to powolniejsza roztropność i poznanie sił moich, które jedna kobieta zmocować może, pomалу mi odbierały.

Będąc ubogim, a widząc zyskowny stan jurystów, wkrótce po skończeniu teologii do Palestry udałem się. Umiejąc niezłe język łaciński, w którym ekspedycje sądowe w Koronie wychodziły, jeszcze roku na tej drodze nie doszedł, już znany byłem ze zręczności i dokładności pisywania pozwów albo manifestów, co mi zazdrości, w innych młodych kolegach narobiło. Jam niedbał o zazdrość, kiedy mimo niej, gęste mi złotówki przychodziły. Raz szlachcic potrzebny pozwu, kiedy mi krótko sprawę swoją opowiedział i papiery do niej potrzebne pokazał, postrzegłem, że sprawę miał najgorszą i chyba tylko wykreśłami mógłby ją wygrać. Kiedym mu to przekładał a on mi kilkanaście czerwonych złotych na pozew

tylko oddaje, byleby podstępny i mogącym sąd ułudzić sposobem był napisany, uwiedziony zyskiem wziąłem pieniądze i zrobiłem, jak szlachcic żądał. Po krótkiej złota pociesze przyszła zgryzota. Ojciec mój! jakże to wiele razy w życiu mojem, chociaż już cię nie miałem, ty mnie jeszcze prowadziłeś. Gorzko wspominałem ostatnie przed zgonem słowa jego. „Franciszek niech idzie prawdą na świat”, takąż to prawda, pomyślałem sobie, zgubić podstępem niewinnego przeciwnika tego, któremu pozew napisałem? cóż on mi winien, że nie tylko jego, ale i dzieci jego w ubóstwie zostawię? Albo jeżeli jeszcze podstępne pisanie moje odkryje się, jakże ja iść zacząłem przy pierwszym moim wstępie na świat? Takie myśli codziennie mnie trapiły, aż do przyścia kadency sądowej, na który czas i szlachcic, któremu pozew pisałem, i pozwany stawili się. Wtenczas mojemu zwoździelowi pieniądze powróciłem, upominając, ażeby się z przeciwnikiem swoim bez prawowania zgodził, inaczej sam mu szkodzić mogę, choćbym i sobie razem zaszkodził, szlachta się, jakem żądał, pogodził, a ja, bojąc się tej śluzgłej drogi, zwłaszcza kiedy i innymi sposobami na chleb zarobić można, po roku porzuciłem palestrę.

Po kilkoletnim bawieniu we Lwowie, odjechałem na Pokucie dla odwiedzenia matki mojej i rodzeństwa mego. Już brat mój był proboszczem w Chocimierzu, przy którym na dewocyi i matka moja mieszkała. — Dziedzicem tego miejsca był Marcin Koziebrodzki, starosta olchowiecki. Z patrona w trybunałach, jak nam powiadał, nic zgolić nie mając, tylko statek i trochę łaciny ze szkół, przyszedł do sta tysięcy z dóbr dziedzicznych intraty. Ale więcej on miał jeszcze bogatszych kolegów, Worcela, Bukara i innych, z których pierwszy do 300 tysięcy intraty liczył. Takto w tamtych czasach droga palestry złotem była usypana. Nie można sądzić, żeby wszyscy z nich tą ścieżką poszli, na którejby więcej złota zna-

leż można niżeli cnoty, bo mój Koziebrodzki był człowiekiem pocziwym, nie skapo w domu żyjącym, a nadewszystko w posiedzeniach zabawnym. „Świat, większa szkoła niż lwowska” (tak on mi mawiał), a ja sobie potwierdziłem tę prawdę, wspomniawszy na księżną Jabłonowską z Jezuitą Starzeńskim.

O kilka mil od Chocimierza, mieszkali państwo Ponińscy, starostowie ostrowscy, z temi w domu ich Zahajpolu poznawszy się, poznałem razem tak w mężu, jak i w żonie, edukacją wyższą, wiadomość rzeczy większą, niż gdzieindziej znaleźć mogłem. To mnie zachęciło, że w domu ich bawić czas niejaki postanowiłem. Sam był synem wojewody poznańskiego, sama, Kalinowskiego, starosty winnickiego córką. Poniński przy wielu języków i umiejętności posiadaniu, wielki razem samochwał. Żona przy wzroście hożym, ciele najbielszem, twarzy nie wiele przyjemnej, ręce najpiękniejszej i z czytania ksiąg wiadomości niepospolitej, ustawicznie dysputować lubiła; cnotliwa to razem kobieta, była przykładem, czasem nadaremny, mężowi swojemu nienaruszonej wiary małżeńskiej, a sąsiadom grzeczności w społeczeństwie. Bawiąc w tym domu czas jakiś, przyszło mi się rozkochać w jejności, i to była druga moja Justyna, która, jak pierwsza, do wszystkiego, co dobrem jest, powodem była dla mnie. Ona sama początków języka francuskiego uczyła mnie, a ja jej synów łaciny. Ona przestrzegała, jeżeli w kompanii, albo z czem obojętnem i mogącym kogo urazić wywierałem się. Także nauki, sam na sam, jak prawdziwa przyjaciółka, dawała mi, żem uznał niezaprzeczoną rzetelność zwyczajnej przypowieści: „kochaj kobiety uczciwą, a sam staniesz się uczciwym.” Skromność do tego przykładna, młode moje zapędy utrzymująca. Mimo różnicy wieku, bo 14 latami odemnie starsza była, więcej lat 10 trzymała mnie w szczęśliwych więzach, bo najżywszą młodość moją od roz-

pusty zachowała, a za jedno pozwolenie, pocałowania siebie w piersi najpiękniejsze, jakże ona odemnie wiele cnót wypełnienia potrzebowała, niżeli do tego szczęścia mojego przyszło!

Michał Siedlecki był u tych państwa rządcą domu, jakże rzadki taki człowiek na świecie! Gdyby był zwyczaj wielkim cnotom, gdziekolwiek się znajdującym, stawiać posagi, jegoby tak między pierwszymi unieśmiertelnić potrzeba. Ale cnoty, chociaż najczęściej między ubogimi bawić lubią, najmniej ich tam ludzie uważają. Znający świat, bo wojażował, umiał język niemiecki, architekturę, geometryę, a to przy rozumie naturalnym, najczyściejszym, przecież bez żadnej pychy, a nawet miany był za człowieka najskromniejszego w obcowaniu. Dwór, którym rządził, miał go za ojca, a pan patrzył na niego, jak na największego przyjaciela. Rzecz dziwna, że go nikt nigdy rozgniewanego nie widział, co czasem do utrzymania ludzi w bojaźni i dbałości w pełnieniu obowiązków potrzebne; ale to zimnej krwi jakiejś gatunek sprawiał, który go nawet do miłości oziębłym robił. Takim zaś był skrupulatem w pełnieniu powinności swojej, że czasem całą noc nie spał, ażeby co ma być skończone skończył. Krzywdy nade wszystko, aby komu nie zrobił, chronił się, choćby przez zbyteczną sumienność, siebie samego skrzywdził. Tak się trafiło, że mając do dwudziestu tysięcy na rozchód domowy, w rękę swoich corocznie, przyodawaniu regestrów na końcu roku z swoich zasług, kilkaset złotych przez kilka lat przyczyniał, które (jak mi się pocziwie przyznawał) przez zapomnienie zapisania drobniejszych wydatków tracił, co kiedym doniósł pani jego, wszystko mu potem powrócono, a nadal na końcu rejestru dodawać pozwolono zapomnialej ekspensy kwotę. Z takim to ja cnot człowiekiem na serce moje pomieniałem się i dla niego nadwornym niby byłem teologiem, a on dla mnie nadwornym obyczajności przykładem; ale

on się czasem mieszał i do teologii, bo kiedy przed nim płakałem na ostrą kochankę moją a panią jego, on mnie tem łagodził, że była cudzą żoną.

Umarł August III z domu saskiego, król polski, z którego śmierci doniesieniem do wszystkich dworów europejskich wysłany był posłem Poniński, starosta ostrowski. Po jego wyjeździe im mocniej namiętność moja do pozostałej żony wzmagala się, tem więcej cnotliwa kobieta, lubiąc mnie, jakem uważał, siebie i mnie martwić umiała.

Na miejsce Sasa, wstąpił na tron Stanisław Poniatowski, stolnik litewski. Początkiem domu Poniatowskich w Polsce, był włoski szlachcic, nazwiskiem Torelli, który otrzymawszy indygenat przed 200 latami, ożenił się z panną Poniatowską, ostatnią z domu, a to pod tą kondycją, ażeby odmieniwszy włoskie nazwisko, odtąd (jak się to często dawniej dla utrzymania imienia praktykowało) nazywał się Poniatowski, przydomek zaś został mu z jego rodowitego nazwiska Ciołek, bo Torelli we włoskim języku ciołka znaczy. W trzecim sukcesorze zubożał ten dom, w czwartym go podniósł Poniatowski, z księżniczką Czartoryską ożeniony, kasztelan potem krakowski, pierwaj sławny bawieniem przy Karolu XII, królu szwedzkim i robieniem jego interesów, którego syn Stanisław, przez miłość dla niego Katarzyny II, imperatorowej rosyjskiej, królem polskim, pod imieniem Stanisława Augusta ogłoszony. Co wkrótce potem nienawistne magnaty nasze nagłe tego domu podniesienie się w dwóch wierszach polskich znajomych powszechnie wyrazili:

Przedziwne to jest dzieło Boskiej opatrności
Syn królem, ojciec w krześle a dziad Podstarości.

Nie na tem skończyli magnaty nasze, bodło ich to ustawicznie, czemu nie Radziwiłł, Lubomirski albo Potocki królem — jakby narodowi więcej zależało na

tem, kto z domu ten król, niżeli żeby sprawiedliwie panował? Radziwiłł, wojewoda wileński, z Branickim, hetmanem wielkim koronnym, mieli najznacniejszą, bo dwadzieścia kilka tysięcy wynoszącą, przeciwko tej nowej elekcji partya. Ale i Potoccy w kilku województwach mieli po kilka tysięcy ludzi, zebranych w celu zrzucenia z tronu obranego króla, wszelako te wszystkie dywizye łatwo porozpraszań od wojsk moskiewskich i skończyło się na tem, że gniewając się jeszcze na króla, przepaszali go magnaty nasze.

U pani Ponińskiej bawiąc, albo z nią w różnych domach bywając, poznałem się między innymi z Mrozowickim, rejentem partii ukraińskiej, i z Bielskim, łowczym nadwornym królewskim, za którymi były siostry Ponińskiej. Mrozowicki pocziwy ten i piękny Polak, większą część majątku swego na usługach ojczyzny straciwszy, spokojny starzec w domu przesiadywał, lubił słuchać o dziejach dawniejszych, sławnych męstwem Polaków i w całym życiu starał się ich naśladować.—On mi to mawiał: „Mam jeszcze siłę, ale nie trafia się sposobność.“ Piękne syny i córki, wszystko to grzeczne, z sercami najlepszymi, równie jak ich ojciec i matka. Antoni Bielski, z żoną swoją Teklą z Kalinowskich, ludzie bogaci i żyli też najokazalej. Dwór liczny, kapela, błazny nadworne, polowania kosztowne, córki piękne, wszystko to robiło ich dom najzabawniejszym, i wiek mój młody, gdzie dziewcząt wiele, gość ustawiczny, i tańce częste, do Pieniak, Bielskich mieszkania, nęcił mnie najczęściej. Ten zacny i prawdziwie piękny człowiek szczerze mnie sobie upodobał, do wszystkich mnie rozrywek, do wszystkich biesiad używał, najbardziej zaś lubił z filozofii albo z teologii dysputy, które mi łatwo przychodziły. Sposobność zaś dostania bohaterów, którzyby się ze mną potykać mogli, była najłatwiejsza z XX. Dominikanów pobliskiego Podkamienia, gdzie oni mieli swoje studia. Raz u stołu siedząc, gdzie prócz innych gości regent teo-

logii z Podkamienia ze swoim lektorem i nadwornym teolog Bernardyn siedział, wśród najżywszej mojej z niemi dysputy, postrzegłem, że ktoś na koniu nędznym na dziedziniec wjechał, spytałem Bielskiego, siedząc przy nim i zartując, że ten jakiś pauper nierzadko na obiad jego przyjeżdża. Odpowiedział mi, że to Bazylian Nestorski, superyor nad dwoma Bazylianami, którzy w blizkiej wiosce jego mieli swoją cerkiewkę i kilka włók gruntu, a zapewne ten superyor po odebranie procentu kilkaset złotych fundusze jego przyjechał. Ani mi do myśli przyszło, żeby to był ten sam Nestorski, który za mojej teologii we Lwowie, nad wszystkich tam uczących teologii słynął, Jezuitów tyle razy w dysputach przemógł, a przez moc swoją przez skromność zawsze utaić starał się. Kiedy wszedł do sali, poznałem go, że tenże sam był i zdziwiłem się razem, za co tak wielki w zakonie swoim człowiek, na tę nędzę przyszedł, że sam (jakem się wtenczas od Bielskiego dowiedział) czasem nawet rolę ubogą orał. Powiedziałem panu domu, co był za człowiek Nestorski, dano mu miejsce u stołu i Bielski o dysputach zaczętej powiadawszy mu (jak dawniej), skromnie i księdza regenta teologii i jego lektora i Bernardyna nadwornego i mnie równie poprawił. Mnichy z gębami otwartymi dziwili się tylko, a ja pewny zwycięstwa Nestorskiego, w duszy mu winszowałem, któremu moja tam natenczas bytność na dobre wyszła, bo Bielski prócz zwyczajnego procentu, drugie mu tyle pieniędzy na jego potrzeby własne ofiarował. Z tego zdarzenia uważałem, że chociaż jedni z najdawniejszych są mnisi Bazylianie, przecież najmniej od pierwiastkowego swego instytutu odstąpili, i największy u nich człowiek, posłuszny swojej zwierzchności, kiedy kazała, do pluga nawet pójdzie, ale zda mi się, że sami tylko Bazylianie swoich mają Cyncynatów, chociaż w regule nawet św. Benedykta, fundatora tychto najbogatszych mnichów, wyraźnie napisano: „Stary mnich niech

modli się w chórze za młodego, i za siebie, a młody niech rolę orze, ażeby i siebie i starego pożywił.“

Bielski, we wszystkim chwalebny, miał skłonność do wina, i wtenczas, kiedy sobie podpił, najhojniejszym był dla tych, których polubił. Ja, chociaż ubogi, miałem sobie za upodlenie, wtenczas mu się nastęrczać, kiedy on pijany prezenta faworytom rozdawał, dlatego też nic od niego nie zyskałem, bo też on nic nigdy trzeźwy nikomu nie dał. Wszelako i pijany miał uwagę w rozdawaniu darów swoich, raz starego swego kamerdynera Przyjemskiego zawołał do garderoby, i otworzywszy biórko z talarami, pozwolił mu wziąć talarów tyle, ile tylko może naraz dwoma garściami zająć. Przenosząc z biórka do czapki swojej, w garściach talary kamerdynier, kilka mu na ziemię wypadło, które on potem zebrawszy, nazad do bióra położył. Co widząc pan, pochwalił wierność i drugie dwie garści wziąć talarów pozwolił. Wyszedł kamerdynier chwając się przed kolegami słuchającymi z hojności pańskiej i zdarzenie o drugich garściach powiadał. Zawołany wkrótce do garderoby kapelmeister, kiedy mu równie garść talarów wziąć pozwolił, a on w przenoszeniu umyślnie kilka wypuścił, i potem zebrane nazad do bióra włożył, ażeby mu jak kamerdynierowi i drugą garść wziąć pan pozwolił, poznał to Bielski i pierwszej nawet wzięte dwie garści talarów nazad do bióra włożyć kazawszy: „To (powiada) w Przyjemskiego cnotę przybrałeś się.“

Miałem lat około 26, kiedy się konfederacja Barska zaczęła; początkiem jej niby był Krasieński i Pułaski, ale Potoccy i inni magnaci, niekontenci z króla, podnieśli ją, nareszcie jeden z Potockich, podczaszy litewski, naczelnikiem jej, u nas na Rusi ogłosił się. Byłem wtenczas w domu Bielskiego, kiedy szumne uniwersały Potockiego, mające za hasło: „Wiara i wolność“, do Bielskiego, do Pieniak przy-

szły. Z niewymowną radością dzień ten był obchodzony, ja sam cieszyłem się w duszy, że przecież naród poczuł krzywdy i upodlenie swoje, aleć nie rozumiałem, w czym to ta wiara ukrzywdzona!!! Bo chociaż dyssydenci Polacy tej zawieruchy początkiem byli, bo żądali i otrzymali, przez udanie się do Prusaka, potwierdzenia dawnych przywilejów w narodzie, ażeby do wszystkich urzędów przypuszczanymi byli, zdaje się, iż o to katolicy urażać się nie powinni byli; wierz jak chcesz, ale prawa narodu zachowaj, kochaj ojczyznę jak matkę, to już tem samem masz cechę obywatela. Ponieważ podczaszy litewski, Potocki, był już z wojskiem po większej części z pospolitego ruszenia zebraniem, w miasteczku Podhajce, odległem od Bielskiego około mil dziesięciu, pojechałem z nim do tego miasteczka konfederacji barskiej, który Bielskiego na samym wstępie tak przywitał: „Mospanie łowczy, dosyć już tego panowania Poniatowskich“, z takiego przygrywku poznaliśmy, jaki to będzie taniec, i że to ani o wiarę, ani o wolność idzie, jak w uniwersałach swoich popisali, ale był im nieznośny na tronie siedzący Poniatowski. Cóżkolwiek było, Bielski, jako kochający ojczyznę swoją obywatel, ktokolwiek tam królem będzie, byle się lepiej działo narodowi, i byleby od jarzma uwolnić się, powróciwszy do domu, stokonną chorągiew, z ludzi i koni pięknych zebraną, odesłał do obozu konfederackiego. Tymczasem i mój weteran, dawny rejmentarz partyi Ukraińskiej, Mrozowski, z dwoma synami swoimi, Józefem i Mikołajem, kilkanaście przytem ludzi zbrojnych mający, wyjechał do obozu konfederackiego. Inszych prócz tego wielu, tak z Korony, jak z Litwy obywateli, osobiście stawiło się, ale magnaci tajemnie tylko konfederację barską wspierali, czekając okazania się losu jej. Różny ten był w początkach, ale nakoniec kiedy po większej części decydowało się szczęście na stronę moskiewską, i Potocki próżno od starego Wita, komendanta Kamieńca

Podolskiego, napierał się ustąpienia mu tej fortecy pogranicznej, z swoją partją uchylić się musiał na Wołoszczyznę, zkad pomocy tureckiej przeciwko Rosyi, równie także Turkowie różnych konfederacyj, A tymczasem marszałkowie różnych konfederacyj, różnym losem Rosyanom w Polsce opierali się. Byłem przytomny we Lwowie, kiedy do tego miasta, niby do fortecy, czterech marszałków konfederackich, z wojskiem około czterech tysięcy przyszło; chociaż tam Rosyan nie było, ale komendant garnizonowy, generał Korytowski, w kilkaset ludzi swoich oparł się tłuszczy niesfornej i widzieliśmy go jednego poranku, w szlafroku, skutecznie odpierającego konfederatów, wpadających przez dziurę do miasta nieopatrzonego dobrze. Trwoga była powszechna w mieście i wszyscy zgromadziliśmy się do Potockiej, kasztelanowej lwowskiej, której syn był jednym z marszałków konfederackich. Ale po dwóch dniach potem, konfederaci widząc niesposobność swoją do odebrania Lwowa, przedmieścia tylko popaliwszy, gdzie i kościół jeden karmelitański zgorzał, od oblężenia miasta odstąpili. Czas to był, w którym i ja, ruszony patryotyzmem (gdyby, jakem się spodziewał, konfederaci Lwów odebrali), miałem się przyłączyć do nich i już w tym celu wszystkie zrobiłem był przygotowania, ale widząc największą między nimi niesforność, pijaństwa i rabunki, zupełnie tę myśl z głowy usunąłem; najbardziej kościół, dobrowolnie przez nich spalony, przez nich, co za wiarę (jak w swoich uniwersałach ogłaszali) bić się wyszli, oświecił mnie, że to zapewne o wiarę im nie chodziło.

Myślałem odtąd, jakby wyjechać z kraju, a za granicą, nim się rozruchy narodu uspokoją, czego się nauczyć, i z powodu tej przyszłej wędrówki mojej przebrałem się po francusku. Wyjeżdżał po jakimś czasie ze Lwowa do Wiednia młody Puzyna, starościc upitski, z guwernerem swoim księdzem Kobylańskim Jezuitą, znanym potem w Polsce z pięknych

pism swoich i z pięknego myślenia sposobu, przyjaciелеm moim. Z nimi ja zabrałem się do Wiednia, około 200 dukatów mając tylko zapasu w tę podróż. Jakże wiele razy, niżeliśmy do Krakowa dojechali, przejeżdżając pomiędzy różne tłumy niekarnych naszych konfederatów, nie tylko o ubogie pieniądze moje, ale nawet o życie bać się przyszło! Z pomiędzy nas trzech jadących, ja jeden najwięcej byłem przedmiotem wyrzucania ich, że młody i czerstwy wyjeżdżałem z ojczyzny, kiedy ją ratować potrzeba, a wszyscy prawie, którzy mię tak groźnie kurtali pijanymi byli; w takim stanie, ja, nie mając się czego spodziewać z bezrządnej konfederacyi, nie ratowałem prawdą ojczyzny mojej, ale i oni pijani nie wiele ją mogli poratować. W Głogowie u księżny Starościny Bolimowskiej, konfederatki zaciętej, jako to był i brat jej Hetman Branicki, odebrałem z Warszawy patent na kapitana złotej chorągwi, który mi tam miał być i był przysłany z Warszawy, co mi w Wiedniu jak mię przed wyjazdem ze Lwowa nauczono, dało wstęp, mając mundur oficerski i prawo, wchodzenia, kiedym chciał na cesarskie pokoje. Tam u księżny nasłuchałem się modlitw publicznych, ku potłumieniu króla. Tam, prócz innych konfederatów, poznałem i Potockiego, starostę szczyrzeckiego, który potem od konfederacyi był posłem do Konstantynopola, a który wkrótce w Wiedniu będąc, wiele mi dowodów przyjaźni swojej oświadczył.

Do Krakowa przybywszy, przysiągłem Bogu w Jego kościele, żyć najskromniej w Wiedniu, o którym mi powiadano, że był najrozpuśtniejszym. Widziane piękności Krakowa dały mi myśl, jaki też Wiedeń będzie, ta dawna cesarzów stolica? Ale potem tam przyjechawszy, prócz większej nierównie ludności miasta, nic piękniejszego w Wiedniu nie widziałem nad kaplicę w kościele katedralnym, sławną grobami królów polskich w Krakowie.

Jadąc do Niemiec, w Białej, ostatniem miasteczku

polkiem, zastaliśmy wielu marszałków naszych konfederackich, między którymi był sławny pułkownik Paszczowski, już trzymających się umyślnie blisko granicy, ażeby w przypadku uchylić się można do cudzej ziemi. Co też niedługo potem nastąpiło. Zkąd wyjeżdżając do blizkiego miasteczka szląskiego, Bilitz, postrzeżone przy drodze znaki graniczne orłów cesarskich wzruszyły we mnie miłość ojczyzny mojej, którą porzucałem. Postrzegłem w Bilitz zaraz inszy porządek, wiele domów miejskich murowanych i ochędośćwo wszędzie największe, wtenczas, kiedy my, jak we wszystkim, tak około domów i miast naszych niedbali. Szląsk kiedyś był polską prowincją i miło mi było, już kilkanaście mil w tym kraju ujechawszy, spytać się moim językiem wieśniaka po drodze idącego o drogę do Oderberga, a on mi odpowie, że dobrze jedziemy, ale dodał: „Niemcy to nazwali Oderberg, a to miasto zowie się Boguminów po dawnemu.“ Tak to dawność i usiłowanie niemieckie nie mogły wymazać z pamięci pospólstwa nazwisko starożytne miasta tego. Znowu ja na ciebie wspominałem, ojczyzno moja, jak daleko kiedyś rozciągały się twoje osady, które nieładem potraciłaś! A ten mój język, pozostały jeszcze między pospólstwem, potwierdził mi wielkość dawną naszych Słowianów, którzy tak zmarnieli w czasie teraźniejszym.

Przez Opawę, Olomuniec, Brno w Morawii przejeżdżając, moim własnym językiem rozmówilem się, i dopiero do Austrii wjechawszy, już chłopci niemieckim tylko odpowiadali. Wszystkie wsie, miasteczka i karczmy uporządkowane, co tylko wygodę chciała, dostarczały, drogi najlepiej utrzymywane podróz najmielszą czyniły. Ale wjechawszy w Austryę, obrazilo mnie przy stacyach podróznym wybieranie od przejeżdżających myta, po krajcarze jednym więcej od mili, jak dawniej płaciliśmy. Kiedym się o przyczynę mytnika pytał, odpowiedział mi, że ponieważ odesrodka marca zima jest, opłaca się zwy-

czajnie w tych czasach na kozuch dla cesarzowej Maryi Teresy, krajcar na milę jedną od podróznym. Znowu ja pomyślałem, czyliż ja temu winien, że zimno i czyli Marya Teresa niema z czego sobie kozucha sprawić, ażeby aż podróznym w zimie także jadących obdzierała! Tak uważając ślady absolutnego panowania, znowu sobie słodziłem moje, chociaż w kłótlwym, ale wolnym kraju urodzenie.

Przyjechaliśmy nakoniec do Wiednia, do tego miasta tak żadanego odemnie. Puzyna z Kobylańskim zajęchali prosto do Teresianum Collegium, gdzie młody Puzyna w tym konwikcie miał się edukować. Ja przed wyjazdem ze Lwowa poznałem się tamże z Trynitarzem, Niemcem spolszczałym, który miał ojca w Wiedniu, i kiedy proszony od niego, dałem mu na drobne jego potrzeby kilka czerwonych złotych, on mi napisał list do ojca swego, mieszkającego w Wiedniu, pod znakiem złotego Pelikana, na przedmieściu Józełstadt nazwanem, zapewniając, że pewno u jego ojca jego stancję mieć będę. Z takim listem, przenocowawszy w Teresianum, nieumiejący języka niemieckiego, prócz słów najpotrzebniejszych kilkadziesiąt, wyszedłem szukać w tem ogromnem mieście przedmieścia Józeł-Stadt, złotego Pelikana, i bildhauera, czyli snycerza, Szwarcza nazwiskiem. Tak szczęście zdarzyło, że do południa wszystko znalazłem i kiedy list ojcu od syna oddałem, a on go przeczytał, rzucił się na mnie spłakany starzec i z czuciem największem powtarzając syna, o którym od kilku lat żadnej nie miał wiadomości, ścisnął mnie serdecznie, i zaraz porządny alkierz, w którym miał warsztat snycerski, wyprzątnąć kazał, a sprowadzenia się mojego, jakemto mógł wyrozumieć, jak gdyby syna własnego czekał. Nazajutrz sprowadziwszy się do niego, doznałem po ćwierć roku mieszkania tam, że prawdziwie rad mi był w domu swoim, nawet z ciężkością przyjął miesięczną opłatę od stołu i mieszkania mego. Tak mi-

łość syna, którego on dawno nie widział, zrobiła mi przyjaciela w ojcu, którego nigdy nie znałem.

Do Wiednia przybyłem w roku 1769-tym w marcu, którego piękne położenie nad Dunajem, forteca miejska najwarowniejsza, przedmieścia najrozsleglejsze, a ludność do 300,000 mieszkańców mająca, w początkach bawiły mnie. Zaufany w mój mundur oficerski i w portę *épée*, który nosilem, a nauczony jeszcze w Polsce, że w takim ubiorze, choćby gdzie nieproszony na muzyki, które znacznie si ludzie w tem mieście dają, wchodzić mogę, przechodząc raz blisko domu jakiegoś i słysząc muzykę grającą, wszedłem do sali, gdzie światła wiele, obicie adamaszkowe czerwone i gęste zwierciadła, dały mi do myślenia, że tam książę jakiś niemiecki mieszka. Przybiegła do mnie jakaś piękna dziewczyna i mówiła do mnie coś po niemiecku, czegom nie rozumiał, prócz dwóch słów *essen* i *trinken*, ukloniłem się jej tylko domyślając się fałszywie, że mi w tym domu jeść i pić, czyli wieczerzę, dać chciano. Kiedy w taniec kilka par poszło, zdziwiłem się, że jak mężczyźni, tak i dziewczęta w zwyczajnym tam mieszczan ubiorze, co już dobrze znałem, tańczyły. Oświecił mnie wkrótce jakiś koło mnie siedzący Niemiec, a po łacinie cokolwiek umiejący, że to była austerya, gdzie pospólstwo przez cały tydzień, prócz piątku i soboty, bawi się. Tak ja najpierwej, dla pokazania się między Niemcami, mego munduru złotej chorągwi i portę *épée* użyłem.

Po kilku niedzielach bawienia mego w Wiedniu nadjechał tamże ksiądz proboszcz kolegiaty wiślickiej, Strumiński, dobrze po niemiecku umiejący prałat, ale za granicą, jak i ja, niebываły. Z nim według afisza, których tam po bramach pełno, poszliśmy na licytację sprzętów różnych. Wszedłszy do sali licytacji, z ciężkością przecisnęliśmy się przez tłum pospólstwa i widząc tam Niemców po większej części ubogich, nie zdjęliśmy w sali kapeluszy.

Już do stolika przystąpiliśmy, za którym siedzący sprzedawca zawołał: „Dwa kapelusze na sprzedaż!” kiedy go pytano, gdzieby były, pokazał je na głowach naszych i po niemiecku potem do nas rzecze, co mi potem mój prałat wytłumaczył, „że ta licytacja, imieniem cesarskiem odbywa się, i miejsce to powinno być szanowane.” Tak ja znów mój oficerski kapelusz, upokorzony, zdjąć musiałem, co mój prałat przedemną zrobił. Z tymże księdzem, po kilku dniach, poszliśmy na nieszpory, do katedralnego kościoła S. Szczepana, na słuchanie tam najpiękniejszej zawsze muzyki, siedliśmy u stallów kanonicznych przy wielkim ołtarzowi i ku nam idzie jakiś, po wszystkich szwach sukni bogato galowany Niemiec: stanawszy przed nami, grzecznie nam się pokłonił i my powstawszy, ocydwa grzeczniemy mu się odklonili, zaczął mówić do nas po niemiecku, a po skończonej perorze uklonił się, odchodząc, i my się wzajemnie uklonili.—Wytłumaczył mi ksiądz prałat, że to był szwajcar kościelny arcybiskupa wiedeńskiego, który przestrzega gadających w kościele podczas nabożeństwa, ażeby drugich nie gorszyli — a czasem nieposłusznych i wyprowadza. — Znowu ja z moim mundurem w oczach 3,000 może ludzi będących w kościele upokorzony byłem, a mój prałat bardziej, bo szwajcar jako księdzu musiał mu zapewne więcej nagadać. — Tak płaciłem wstydem za nieznamość kraju i zwyczajów jego, tak zapłaci i każdy przyjeżdżający do zagranicznego miasta, nie mający niko, kto by przestrzegał. Ale prócz szwajcara i sam rozum powinien był przestrzegać, że w kościele gadać nie należy.

Że z przedmieścia Józefsztadt daleko było do miasta, gdzie wiele rzeczy uczyć się zacząłem, przeprowadziłem się do miasta, a mój poczciwy gospodarz bildhauer płakał, rozstając się ze mną, i najmniej mnie dwa razy w tydzień nawiedzał. — Tak dobry uczynek mój dla syna jego we Lwowie zro-

bił mi w ojcu prawdziwie przywiązanego. — W mieście wygodniej mieszkalem, u metra francuskiego języka, tańczyć i nauk w uniwersytecie, jakich tylko żądać mogłem, zręcznie uczyłem się. — Najbardziej mnie bawiła fizyka experimentalna, przez sławnego księdza Franz Jezuitę dawana, i chemia przez sławniejszego jeszcze w Europie Jakin, profesora. Zgromadzenie na lekcjach bywało największe z pierwszych nawet w mieście ludzi i dam zacniejszych zebrane. — Szkoła botaniki, anatomii, chemii, jak i medycyna experimentalna w Bürger-Szpital, pod starcem profesorem Antonim Ham głośna. Cesarska biblioteka każdemu otwarta, teatr, hece, widowisk różnych, licytacje różne i fajerwerki tygodniowe na przemiany mnie zabawiały. — Ale skwasilo wkrótce wszystkie te piękne rozrywki jakieś niszczenie ciała mego widoczne, i mimo rady najslawniejszych w mieście doktorów: Van-Swieten, Haena i Humelawra, coraz w gorszym się stanie widziałem. — Byłem wszelako przez półtora roku bawienia mego w mieście chorym chodzącym i może więcej rozrywki różne niżeli doktory przy życiu mnie utrzymały. — Co środa bywałem na obiadach u księżnej Lubomirskiej, wojewodziny krakowskiej, w Wiedniu oddawna mieszkającej, tej kobiety prawdziwie najcnotliwszej, powszechnie w mieście począwszy od cesarzowej Maryi Teresy szacowanej, a matki Polaków wszystkich, przejeżdżających albo bawiących w Wiedniu. Tam poznałem się między innymi z generałem Korticellim, Włochem naszym spolaćcałem. Nie znałem Polaka lepiej tłumaczącego się w naszym języku, pełno słów miał i stosownych i pełno dowcipu wszędzie. Ten człowiek prawdziwie mnie lubił, często na obiady zapraszając, często u mnie bywając, był mi prawdziwie przyjacielem, nauczał mnie (jak blisko lat 20 w Wiedniu mieszkający) miasta tego zwyczajów, ludzi, ducha charakterów poznawać. Razem raz na na fizyce experimentalnej będąc, pokazał mi sławne-

go w Wiedniu Polaka, jak go nazywał, mizantropa Wiesiołowskiego, z nikim on z Polaków, z nikim z Niemców nie żył, na różne tylko w tem pięknym mieście lekcyje albo widowiska uczęszczając. Po niejakiem czasie, po skończonej lekcyi Franza, świeża była o nim anegdota w Wiedniu, że przyszedłszy do rajstzuli cesarskiej, gdzie sam Józef cesarz przytomnym był bawiąc się przejeżdżaniem koni, które mu świeże przysły z Hiszpanii, kiedy tłum panów razem z cesarzem dzielnością koni przejeżdżanych bawił się, nasz Wiesiołowski kamyczki drobne, któremi rajstzula wysłana była, zbierał; pokazano go cesarzowi, jako znanego w Wiedniu mizantropa, przystąpił do niego cesarz, pytając się, czemu by na tak piękne konie nie patrzył, ale raczej kamyczki zbierał? Odpowiedział: „bo widywałem tak piękne konie, a tak pięknych prostych kamyczków rzadko.“ Ten to człowiek osobiwy, po niejakiem czasie, po skończonej sessyi fizyka Franza, sam przyszedł do mnie, z pomiędzy tłumy rozchodzących się i przyjaźń mi swoją oświadczył. zaraz mnie do mojej stancyi odprowadził i prosił, aby codziennie z rana, mógł bywać u mnie, tak też i codziennie bywał, a wtenczas miałem czas poznania, że to był człowiek najcnotliwszy, pelen wiadomości z czytania książek i wojażów nabytych, mówiący zaś językiem francuzkim tak doskonale, że go rozróżnić nie można było od urodzonego Francuza najpiękniej swoim językiem mówiącego. Ludzie go nogą potracali, a to był dyament pyłem pokryty. Gdym go pytał, czemu by z ludźmi (jak to mówią) nie żył, odpowiedział: dlatego, że żyłem i oszukiwany byłem. W mojej chorobie konsumcyi, w mojej osobności, jakież to dar w domu, przyjaciel taki, gość codzienny, a nigdy niesprzykrzony; albo mnie opowiadaniem różnych zdarzeń i wiadomości rozrywał, albo czytaniem coraz ze mną książek użytecznych bawił. Zazdrościł mi tego najbardziej Korticelli, zazdrościł i Rzewuski marszałek,

ale ledwie raz i to z ciężkością pozwolił na to, że był u nich na obiedzie, i tego potem przedemną żałował. „Rzewuski, powiedział mi, magnat pyszny, a ja ubogi, my się nigdy nie zgodzimy.“

W tych czasach księżniczka Antonia, córka Maryi Teresy, ta najpiękniejsza panna w Wiedniu, szła za Delfina natenczas, a potem nieszczęśliwego Ludwika XVI, króla francuskiego; biskup strasburski, kardynał de Rohan, był posłem Ludwika XV do ukończenia małżeństwa tego. Szła do dworu cesarskiego kosztowna z posłem kareta, z piechotą przed nią, 15 liberyi, 2 kamerdynerów i 2 strzelców, wszyscy bogato uszamerowani. Tłumy pospółstwa, patrzące na to (jako Niemcy mają jakąś wrozoną nieprzyjaźń do Francuzów) wołały głośno, że te galony są szychowe; brano wołających do turmy, a oni tam idąc, jeszcze wołali: szychowe.

Gdy był ślub z arcyksiężniczką, imieniem Delfina ukończony, wieczorem była wielka illuminacya miasta, ale najbardziej od Szotter bramy, aż do przedmieścia, na którym stał poseł francuski, cała ta niezamieszkalna odległość, między miastem i tem przedmieściem, miała ulicę szeroką ze słupów nowo zrobionych, na których wierzachach delfiny były snycersko wyrobione. W środku zaś tej rozległości były świeżo zrobione cztery niby baszty, na których muzyka grała najpiękniejsza i z których dla pospółstwa wino austriackie rynnami ciekło i pieczywa różne z chlebami rzucane były. A te cztery baszty czterema nazwiskami różniły się: baszta cesarza, Maryi Teresy, arcyksiężniczki Antonii i baszta Delfina *). Przypadek zrobił, że z baszty Delfina i wino płynąć ustało i pieczywa już nie wyrzucano, wtenczas kiedy z tamtych baszt jeszcze obficie dostarczano; znowu pospółstwo nieprzyjazne Francuzom obruszyło się i najpierwej skapstwo Delfinowi

*) Następcy tronu francuskiego.

wyrzucało, a potem na basztę delfinowską i kamienie rzucać zaczęło, że ledwie żołnierze, biorąc do turmy naczelników swywoli, rozruch uśmierzyli, a biednych muzyków, grających na baszcie delfinowskiej kilku skaleczono kamieniami.

Kiedy arcyksiężniczka z posłem już miała wyjeżdżać do Francyi i dany był wielki obiad pożegnalny w pałacu cesarskim, na ten obiad poszedłem, aby się napatrzeć okazałości dworu i widzieć etykiety jego. Przyszedłem wcześniej do sali jadalnej, że dopiero do stołu nakrywano, szambelan mający nawet mniejszy order Maryi Teresy, tę robił posługę, i do zgorszenia mego, każdą serwetę, na których były dwie litery M. i T., t. j. Marya Teresa, wyszyte, tym literom skłonił się, pocałował i potem dopiero kładł na farfurkę. Generałowie ogromne złote półmiski na stół nosili, a wielki kuchmistrz imperyi laską pokazywał, jak miały być położone na stole. Stół był ustawiony w literę N. Na brzegach w górze zasiedli: cesarz Józef po prawicy, a cesarzowa Marya Teresa, matka, po lewej stronie, koło cesarza Delfinowa, arcyksiężniczka Krystyna, Albrychta Sasa królewicza naszego żona, i Elżbieta arcyksiężniczka. Po lewej stronie, koło cesarzowej wdowy Maryi Teresy, syn jej arcyksiążę Ferdynand, drugi syn jej Maxymilian, a trzeci Albrecht książę saski i już wszyscy, którzy siedzieli u stołu, po brzegach jego, w środek zaś stołu, wchodziła tylko służba, podająca i odmieniająca półmiski. Był to dzień sobotni i Marya Teresa, surowa katoliczka, z postem ten stół zastawić kazała. Cesarz raki tylko i bułkę chleba zjadł, a jam pomyślał: on cesarz, a tyle go obiad kosztował, co i ubogiego jakiego w mieście. Człowiek ten, cierpiał wszelako, żeby mu najpierwsze książęta imperyi na kolanach u stołu farfurkę podawali; — tak służył cesarzowi stary książę Lichtenstein, okryty orderami i trzęsący się z podeszłości wieku swego,

tak służyło i wielu innych pierwszego rzędu panów, stojąc za krzesłem i podając farfurkę, albo wodę na kolanach monarsze swemu, które bałwochwalstwo, na ulicy nawet, dla przejeżdżającej cesarzowej czynić musieliśmy. Muzyka najpiękniejsza w czasie obiadu grała, a gwardya węgierska w koło stół dla uniżenia ścisku okrążała.

W tych czasach arcyksiężniczka Antonia *) wyjeżdżała z Wiednia pomiędzy dwu ploty kilkunastu tysięcy wojska, broń tylko przed nią prezentującego, ale bez żadnych wystaw honorowych, kilkanaście karet za nią jechało. Ona w pierwszej, całej w szklach przezroczystych, na przedzie kardynał poseł i księżna jakaś niemiecka, Delfinową rzewnie płaczącą przez cały ten przeciąg parady widzieliśmy. To było w etykiecie wyjazdu jej osobliwszego jeszcze, że kiedy się (jak powiadano) w pokoju Maryi Teresy z matką pożegnała, gdzie byli razem przytomni cesarz, bracia jej i świty, nikt z nią pożegnawszy się, nawet do drugiego pokoju wyprowadzić ją nie wyszedł, żeby się nie uniżyć, że to poszła za Delfina, a oni byli cesarską familią i ażeby tak natury samej, dla marnej zapomnieć etykiety! ktoby się był natenczas spodziewał, że ta córka, wnuczka, siostra cesarzowa, arcyksiężniczka Antonia, ta jedna z najpiękniejszych kobiet niemieckich, będąc z czasem królową między najpotężniejszymi w świecie, będzie miała przez kata, na publicznym rynku szyję uciętą, jak się to potem najokropniej dla niej zdarzyło wraz z mężem królem, i pokazało się, że sama wysokość stanu nie jest dostateczną szczęśliwym kogo uczynić, co w dalszym ciągu życia mego, prócz niej, i na naszych jeszcze uważałem.

Ja tymczasem w Wiedniu, chorobą mojej konsumcyi niszczonej, jak mogłem pożytecznie dla siebie

*) Marya Antonina, córka Franciszka I i Maryi Teresy. Później małżonka Ludwika XVI. (P. W.)

rozrywałem się. Do tyłu wyżej wymienionych rozrywek tej stolicy przyczynilem jeszcze oglądanie galerii obrazów, jaka jest cesarska, Lichtensteina i innych. Oglądanie także zwierząt różnych dzikich, tak cesarskich, jako i przybyłych, bawiło mnie. Lew, w cesarskiej menażeryi chowany, miał klatkę ogromną, na dwoje środkiem przedzieloną, ze drzwiami wewnątrz z jednego przedziału do drugiego, ażeby kiedy jedną z tych przegród zanieczyści, przepuszczony był do drugiej, już dla niego przeczyszczonej. Zdarzyło się za mojej bytności w Wiedniu, że do próżnej połowy klatki córka dozorczy zwierząt weszła, przypadkiem drzwi od drugiej połowy, gdzie był lew nie zamknięte były, wszedł on tam z rykiem wielkim i porwał dziewczynę. Wybiegł na krzyk nieszczęny ojciec, a widząc już między pazurami lwa krzyczącą córkę, za pierwszym poruszeniem idąc, porwał się do kordelasa, który miał przy boku, ale potem bojaźń go jakaś objęła, ażeby lwa cesarskiego nie zabił, pobiegł prosić o pozwolenie zabicia go do zwierzcznika, w tym domu mieszkającego, kiedy tymczasem córka była uduszona. Tak to despotyzm ustraszca naturę samą, która dla bojaźni jego swego dziecięcia od śmierci nie ratuje.

Biblioteka cesarska, wolna każdemu do czytania, byleby książek do domu nie brać, nad insze rozrywki najwięcej mnie bawiła. Pokazują tam regestr wszystkich książek, żadaną książkę proszącemu zaraz podają — i mnie, kiedym prosił o pokazanie mi kopii dyaryusza wojny przez komendanta natenczas tej fortecy, Sztaremberga, pisanego, kiedy Mustafa czarny, wezyr turecki, Wiedeń atakował, a król nasz Jan Sobieski bronił go, zaraz mi tenże dyaryusz pokazano. W tem jednym piśmie, od Niemca wysłem, prawdziwie doczytałem się, gdzie przecież Sobieskiemu winnych pochwał nie ujęto. Ale w tymże dyaryuszu doczytałem się na końcu, że w tej całej potrzebie więcej nad ośmset kilkadziesiąt Polaków nie zginęło,

Księgozbiór

764

może zaś tyle dwa razy umarło od choroby, z przyczyny wody albo powietrza wiedeńskiego, im nie służącego. I to też mnie nakłoniło, żem umyślił jak najprędzej Wiedeń porzucić, tak dla mnie może, jak dla owych Polaków z przyczyny wody i powietrza samego niezdrowy.

Co się tycze Sobieskiego, kiedy autorowie niemieccy, przez nienawiść dla Polaków, mało przyznają dzielności tego naszego króla w poratowaniu Wiednia, bohater ten ustnie i publicznie przez usta niemieckie pochwalony. Obchodzono corocznie w Wiedniu uroczystość zwycięstwa tego w 7brze ¹⁾. Po skończonem nabożeństwie, w dniu tym, w kościele katedralnym Ś. Szczepana, Korticelli pokazywał mi kosztowne obicie gobelinowe, od gzymsów kościoła aż do dołu powieszane, na którym cała tej wojny historia wyrobiona była jedwabiami, a co najosobliwsza, że portrety osób znaczniejszych, w tę wojnę wchodzących, tak były trafne, że doskonały malarz lepiejby odmalować nie mógł. Kiedy oglądając porządkiem to sławne obicie przyśliśmy do miejsca, gdzie cesarz Leopold, po zwycięstwie wiedeńskim, najpierwszy raz widzi się z Sobieskim naszym, cesarz wyrobiony z głową nakrytą, a król szyszak w rękę trzymający, zastaliśmy przy tem miejscu obicia starca zgrzybiałego, Niemca, otoczonego mnóstwem inszych Niemców, który im o tejże wiedeńskiej wojnie, jako przytomny natenczas w Wiedniu i około 18 lat mający, rozповідаł. Spojrzawszy on na obrazy, jak się dopiero powiedziało, Leopolda i Sobieskiego, rzecze do swoich: „Źle to obicie wyrobione, że Sobieskiego z odkrytą głową, a Leopolda z nakrytą położyli, niechby raczej Leopold zdjął kapelusz, a Sobieski głowę swoją nakrył, bo gdyby nie ten król, jabym w tureckiej niewoli dotąd jęczał i Wiedeń pewnieby się poddał.“ Niemiło pewno było słuchać tego

¹⁾ W wrześniu (w m. wrześniu). (P. W.).

uprzedzonym zawsze przeciwko Polakom Niemcom, ale my z Korticellim z tego publicznego wyznania w duchu cieszyliśmy się.

Kwasiła, prócz słabego zdrowia, mieszkanie moje w Wiedniu i pogarda powszechna Niemców narodu mojego. To prawda, że będąc dla nich rzetelnym w opłacaniu albo w słowie danem, można u Niemca zyskać zaufanie i szacunek, jak ja żyć z nimi starałem się. Ale, że dla mnie grzecznymi byli, nie zaspokajało to mnie, i jabym miał ich kochać, kiedy w magistracie tamtejszym, za mojej bytności, jeden człowiek z pospólstwa z drugim klócił się i majątek tracił, że go tamten Polakiem nazwał, co u nich największym tam gatunkiem jest poławiania. Chociaż najlepiej byłem z moim w kamienicy gospodarzem, że mu najrzetelniej miesięczne jego tak za stół, jako i za stancją opłacałem, przecież i on najlepiej o mnie mówiący zawsze, znalazł przyczynę uszczypliwego gadania o Polakach. Na ostatni zapustny wtorek zaprosiłem kilku Polaków na wieczerzę polską do siebie, była między inszemi pieczenia zrazowa funtów kilkanaście ważąca, którą przy sobie piec kazałem, bo nie wierzył gospodarz mój, aby się kiedy upiec mogła, gdy była tak wielka. Kiedy się moi goście zgromadzili, przytomny między inszemi generał Korticelli, który wieczerzy nigdy nie jadał, dobrocią pieczeni zachęcony, huzarskim, jak nazywamy, sposobem z masłem i cebulą przyprawnej, zjadł jej dwa dobre zrazy, ale jadł ją dobrze i mój gospodarz Niemiec, którego dla poznania polskiej pieczeni zawołać kazałem. Zdarzyło się, że Korticelli, nigdy wieczerzy niejedzący, po jakimś czasie, siedząc jeszcze u stołu, zachorował, i pieczenią zjedzoną wywomitował. Mój dobry gospodarz rozniósł to nazajutrz po mieście, że Polacy w ostatni wtorek mięsa jedli tyle, że aż womitowali i to mi po kilku dniach powiadał Korticelli że od wielu znajomych sobie Niemców słyszał.

Tymczasem w Polsce Barska nasza konfедера-

cya, na której czele był wojewoda wileński, Karol Radziwiłł, więcej serca dobrego niżeli głowy mający, od Moskwy przyciskana, coraz zmniejszała się, a generalność jej, przenosząc się z miejsca na miejsce w kraju, nakoniec za granice uchyliła się i ztamtąd wyroki swoje wysyłała. Po różnem jej za granicą blakaniu się, wreszcie w Preszowie w Węgrzech osiadła, i tam niegodziwe swe pismo detronizacyi Poniatowskiego podpisała, z dodatkiem, że gdyby go kto nawet zabił, nie będzie za to do odpowiedzi pociągniętym. Pismo to polskie, na język niemiecki przetłómaczone, czytała cesarzowa Marya Teresa, i zaraz, że tak bezkarnie konfederacya króla każdemu zabić pozwalała (co wszystkich monarchów obchodzić powinno) już była najgorzej dla naszej konfederacyi dysponowana, i żeby jak najprędzej z kraju jej wyszli żądała. Z inszej strony Turczyń, próżną nadzieją Potockiego, podczaszego lit. Mrozowickiego i inszych barskich konfederatów, jak się wyżej rzekło, do siebie zbiegłych, w Warnie utrzymując ludzi. Poznano nakoniec, że i ztamtąd pomocy żadnej nie będzie, tak najżywiej zaczęty zawód ten słabiej począł w narodzie, zwłaszcza, że magnaci prawie wszyscy, bojąc się o majątki swoje, ażeby je Moskwa nie zniszczyła, niby to przy królu byli.

Tęskność moja do ojczyzny tembardziej pomnażała się, im bardziej ją widziałem nieszczęśliwą, i to wiersze moje zaświadcza, które pod tytułem *Tęskność do kraju* w Wiedniu napisałem. Myślałem sobie, niechbym przynajmniej umarł na gruncie polskim, bo jakimś nadzwyczajnem uprzedzeniem nawet, wzdręgałem się na to, ażebym pomiędzy Niemcami nie był pogrzebiony.

Wybrałem się tedy do Wiednia ku końcu 7bra 1770 roku, bawiąc tam więcej półtora roku, a wybrałem się, przez Węgry powracać, ażebym i ten kraj cokolwiek poznał. Dunajem do Pesztu popłynąłem, a w tej podróży dopływając do Preszburga, miasta

stołecznego Węgier, gdzie na dnie tej rzeki są skały, że Dunaj z większym tam i tak niebezpiecznym płynięciem impetem, że gdyby wiosłami, najżywiej robiąc, nie wstrzymywano impetu, od pędu wody każdyby statek zatonać musiał. Dojeżdżając do tego miejsca, na którym przed dwoma niedzielami kilkunastu ludzi, po większej części pijanych, a tem samem nieostrożnych, utonęło, Włoch kupiec, płynący na tymże ze mną statku na jarmark do Pesztu, wyszedł ze swojej komórki, jakie mieliśmy powyznaczone, i przypatrzył się na górze szifu, czyli statku, położeniu miejsc nad Dunajem. Szifmann, albo rządcą statku, człowiek najpyszniejszy, bo jak oni zawsze dodają, cesarski człowiek, a szewc wiedeński, że jest cesarskim człowiekiem, myśli jakby sam był cesarzem wszystkich szewców na świecie, szifman kazał kupcowi groźnie zejść na dół, do swojej komórki, kupiec uparł się, a szifman bić się z nim zaczął. Tak w miejscu płynienia naszego najniebezpieczniejszem, może o pół mili od katarakty Dunaju, gdzie już woda większym pędem płynęła, przestraszeni wszyscy niebezpieczeństwem utonienia, kiedy szifman, na którym wszystko zależy, wojną był zatrudniony, rozbranialiśmy bijących się, o litość nad nami prosząc, skończyła się walka, zerwaniem z głowy peruki kupcowi, którą w Dunaj szifman wrzucił. A tymczasem kilkunastu ludzi, najżywiej wiosłami robiąc, opierali się pędowi coraz większemu wody, że nakoniec szkodliwe katarakty przebyliśmy. Na tymże szifie płynęło z nami czterech kupców macedońskich; dowiedziawszy się, że jeden z nich umie po łacinie, a widząc właśnie tego samego nici kręcącego, po grzecznym komplementcie, pytałem go, czy kiedy czytał Kurcyusza, dodając, że za czasów Aleksandra W. pewnie Macedończyk nici nie kręcił. Z westchnieniem odpowiedział mi, „że pod Turczyń, cóż ma robić niewolnik — Macedończyk? broni im nawet żadnej nosić nie wolno, a czasem znaczniejszy jaki Turczyń w dom

mój, jak mówił, przyjechawszy, do żony mojej bezkarnie idzie, konia mi tymczasem trzymać kazawszy." Widząc tych czterech kupców, wszystkich wzrostu najpiękniejszego i twarzy coś znaczącej, spytałem się, czy się dobierali umyślnie wzrostem i pięknnością postaci, jadąc z domu do Wiednia, a on mi odpowiedział, że wszyscy prawie Macedończycy tak są urodziwi i dziwił się, że w Wiedniu tak wiele ludzi drobnych niedołęgów widział.

— My to do siebie sami widzimy, że pięknym ludem jesteśmy, ale nie zawsze szczęśliwa piękność.

Presburg, stolica wyższych Węgier, jest miasto piękne nad Dunajem, mające zamek na blizkiej górze mocny, ale w samym mieście gnojów pełno i nieochędstwo wielkie po ulicach. Do lepszej austeryi nocować sprowadziwszy się, przy stole dwóch szlachty węgierskiej pijącej wino i już podpiłych zastałem. Siadłem przy tymże stole, a oni po łacinie z sobą rozmawiając, najgorzej cesarzową Maryę Teresę i cesarza Józefa wspominali. Widząc, że tego za wiele było, odezwałem się nakoniec do nich po łacinie, że mają szczęście, iż nie jestem Niemcem, ale Polakiem, który tych mów swawolnych słucham, bo doniesieni mogliby ucierpieć za to; przybiegli do mnie obydwaj i ściskając mnie serdecznie, polonus, polonus powtarzali. Kiedym im przymawiał o nieochędstwo w mieście i gnoje leżące po ulicach, mając przykład blizkiego Wiednia, gdzie tak wszystko porządne, odpowiedzieli mi: „Wolę, że mi ten gnój śmierdzi, niżeli żeby mnie kto przymuszał, abym go wywiózł"—i to jest wolność. Tak się we mnie potem rozkochali, że mnie nocy pozbawili, nie mogąc wszelako dokazać, ażebym się wraz z nimi upił. Na drodze, Dunajem płynąc, jest nad brzegiem miasta Komoryn, sławne zamkiem nigdy od Turków niedobyty. Jakoż jest tam przy bramie zamkowej panna z kamienia ciosowego wyrznięta, figę pokazująca, co ma znaczyć, że się Turków nie boi. Tamże kościoła murowanego

i wielu domów, świeże zastawszy rozwaliny, kiedym się pytał murujących na nowo, zkad tyle rozwalin w mieście? a oni przeszłoroczne trzęsienie ziemi dali za przyczynę, dodając, że tego często doświadczają, pytałem dalej dziwić się, czemu się na tak niebezpiecznym miejscu znowu murujecie? My tu przywykliśmy do miejsca, bo tu dziadowie nasi mieszkali," odpowiedzieli mi, a ja ich prawdę sercem mojem potwierdziłem, że do mojej ojczyzny chociaż tak nie-szczęśliwej, powracałem, ażeby w niej żyć i umierać.

Przytłynęliśmy nakoniec do Pesztu, tej drugiej stolicy niższych Węgier. Miasto na dole porządne, z domem dla inwalidów najwspanialszym; z drugiej strony Dunaju, na którym most był na łodziach, drugie miasto na górze położone, nazwiskiem Buda, które razem sławną fortecą jest, tyle razy od Turków napadana. Peszt, w czasie jarmarkowym, znalazłem najludniejszym, gdzie i naszych kupców ze Lwowa poznałem, z którymi o powrót do ojczyzny umówiłem się. W tem mieście bawiąc dni kilka, miałem czas napatrzeć się ludu węgierskiego obojej płci i wielu nawet znaczniejszych obywateli widzieć. Powszecznie powiedzieć można, że mężczyźni tam są piękniejsi od kobiet, co przeciwnie można uważać w Wiedniu. Włosy u Węgrów pospolicie czarne i twarze czarniawe, wzrost hoży i skład całego ciała piękny. Serce ich dla nas Polaków najlepsze, może dlatego, że z nas za swoje wina największe pożytki mieli, bo jak sami przedemną wyznawali, większą połowę ich wina Polska zabierała corocznie. Ale najwięcej dlatego, że, jak mówią, nigdyśmy sobie nie byli nieprzyjaciółmi, żeśmy pod jednymi żyli królami, i że nasz i ich razem Władysław, dla ich dobra zginął pod Warną.

Kraj węgierski ze wszech miar jest najszczęśliwszy, powietrze zdrowe, klimat ciepły, rzeka sławna i najrybniejsza, pszenica i bydło najpiękniejsze, ma swoje złoto i wino między najlepszymi w Euro-



pie; krajowi temu nazwisko raju ziemskiego daćby się powinno. Pastwiska tam tak żyzne, że mięso bydła, na nich pasących się, najsmaczniejsze jest i doświadczałem tego w Wiedniu, jedząc z krain innych i z węgierskich wołów mięsiwa. Owoce ogrodowe, zaczawszy od sławnych ich śliwek, najsmaczniejsze. Są zaś niektóre zdroje w górach węgierskich, w które wrzucone żelazo, za kilkanaście lat w miedź się obraca¹⁾; a miedzi i to najlepszej w Europie, najwięcej w tym kraju znaleziono. Taniość zaś wżywieniu się taka, że za 12 groszy polskich kupiony karp dwóch ludzi do sytości nakarmił.

Wieśniak tam tylko w Węgrzech jest nieszcześliwy, bo szlachta dziedzice, zaszczytzeni przywilejami Maryi Teresy, nic sami na skarb monarszy nie płacą i poddani tylko ten ciężar znoszą.

Z Pesztu przez Tokaj, Ungwar na Lisk przebierałem się do ojczyzny. Przeprawiając się przez góry węgierskie, kiedy na największej ich wysokości stanąłem, widziałem Węgry całe i ziemię moją ukochaną Polskę. Jaśnie z tej wysokości poznać mogłem, jak daleko wyżej wzniesiona ziemia polska nad Węgry, że gdyby zalew ziemi następował, kiedy Węgry całe już byłyby zatopione, Polskaby jeszcze nietknięta została. Taka w tem miejscu gór była wyniosłość, że chmury, kawałkami przechodzące, twarz mi odwilżyły. Po kilku godzinach jazdy z gór, ku Polsce spuszczać się, przybyłem nakoniec do komory granicznej polskiej, i całując ziemię, na której się urodziłem, słodkie łzy radości wylewałem. Tam strażnik polski, nazwiskiem Rudnicki, żem mu darował wina tokajskiego dwa garnce, którego antał, dla uatraktowania przyjaciół we Lwowie wiozłem, dał mi wieczernę polską, gdzie żądany barszcz narodowy mile witałem, i gdzie po noclegu poczułem się zaraz zdrowszy. Tak swoje klima i humor weselszy i na-

¹⁾ Miedzią się pokrywa. (P. W.).

rodowe jadło nad inne lekarstwo najskutecznijszem każdemu będą. O ty, ojczyzno moja! kiedy na twoim gruncie stanąłem, zdało mi się, że piękniejsze daleko, niżeli je w Wiedniu widywałem, wschodziło słońce i dym w izbie strażnika Rudnickiego nie był tak przykry, jak indziej.

Do Lwowa przyjechawszy, zastałem już wdowę wojewodzącową poznańską i więcej już sobie obiecując z tą już wolną, najcnotliwszą kobietą, może ją jeszcze surowszą znalazłem. Tak cnota prawdziwa niema wolności inszej, tylko w wybieraniu i pełnieniu spraw dobrych. Najgrzeczniej od niej przyjęty byłem i widziałem to, że się ze mną bawić lubiła, i to drugie, że bawić samotnie chroniła się. Przyjacieli mój Siedlecki, stale przy niej bawiący się, robił mi bawienie z tą cnotliwą kobietą, słodsze jeszcze. Mieszkała zaś o milę ode Lwowa, w domu swym wiejskim w Milatyczach. Bała się ona w początkach małżeństwa ze mną, będąc starszą odemnie 14 latami, bojąc się nadewszystko, tak była zawistną, aże bym się w drugich nie kochał, ale i ja sam potem, woląc często z młodszymi miewać rozrywki, powiększyłem bojaźń jej.

Czując się jeszcze z mojej konsumpcji na siłach słabym, wyjechałem do sławnego w Krystynopolu doktora medycyny Hirnejsa, wiedząc o jego także słabości, że nad wszystko nienawidził wiedeńskiego doktora Van-Swietenę, to mu wszedłszy do niego, powiedziałem, że bawiąc w Wiedniu, leczony byłem przez Van-Swietenę, i nietylko polepszenia zdrowia nie miałem, ale coraz po jego lekarstwach czułem się jeszcze słabszym, a dla oświecenia Hernejsa, pokazałem mu recepty Van-Swietenę, jak od niego leczony byłem. Na spojrzenie na podpis tego nie przyjaciela swego ręce mu się trząść poczęły i nie doczytawszy się jeszcze recepty, rzucił ją, zdarłszy, na ziemię i razem tabakierkę, w rękę trzymaną, rzuciwszy, potłukł, powtarzając: „osłów doktor, osłów.“

Wpadłem u niego w łaskę i niedziel dwie tam bawić musiałem, chociaż mi żadnego lekarstwa nie dawał i nawet do domu nie dał, radząc tylko, ażebym osłabiony żołądek klijkami i potrawami delikatniejszemi do grubszego wprawiał, sam mi nawet szynki po trochu przy sobie jeść kazał, a za najpierwsze lekarstw szukanie i bawienie w wesołej kompanii przeznaczył, i prawdziwie wyznać należy, że podług rady jego utrzymywanie się moje napotem, powróciło mi zupełne zdrowie.

Bielski, łowczy koronny, zawsze mnie jednakowo kochający, kiedy mu się syn Bogusław urodził, że mu się syny nie chowały, obiecał Bogu, jeśli ten do dalszego wieku wyżyje, nie widzieć go aż do lat ośmnastu, jakoż po kilkunastu niedzielach po urodzeniu dziecięcia odwiedzić go kazał do Lwowa, gdzieby się przy doktorach, w domu uczciwej szlachcianki Chaszczewskiej chował, który doszedłszy lat dwunastu, miał zemną jechać za granicę, a tam przez lat sześć bawiąc, do ojca na swój rok ośmasty powrócić. W takim ze mną zamiarze dawał mi wieść dzieciństwem, niedaleko Pieniak, rezydencyi jego leżącą, Kołubice nazwaną, jak tylko z Bogusławem powróciłbym, chociażbym ojca już przy życiu nie zastał. Ale los zrządził inaczej, bo dziecko po dwóch leciech umarło we Lwowie.

Ja tymczasem, w różnych przygodach, różnemi wierszami bawiłem się, pominąwszy Sielankę, Tęskność na wiosnę do Justyny, którą w szkołach jeszcze będąc, napisałem, do pierwszej mojej Justyny Bröslówny i ze dwie, prócz tej do tejże napisane, wszystkie inne Sielanki, pod tytułem Justyny, napisane już do drugiej Justyny, Maryanny Ponińskiej należą.

Przyszedł nakoniec czas rozerwania pierwszego ojczyzny mojej i konfederacya barska, którą pycha, nie miłość dobra narodu, rozpoczęła, zupełnie upadła. Monarchowie sąsiedni, nierządem naszym ośmieleni, wzięli się za ręce i projekt króla pruskiego Frydery-

ka, podany Katarzynie rosyjskiej, za oporem długim trzeciej zabornej strony austriackiej w r. 1773 przyszedł do skutku. Marya Teresa, cesarzowa austriacka, wdowa, nie chciała przez czas jakiś przystąpić do rozbioru Polski, widząc wyraźną niesprawiedliwość przywłaszczenia sobie bez żadnego prawa rzeczy cudzej, dlatego tylko, że ten cudzy słabym jest. Ale wtenczas właśnie, wydarzony dziki postępek wojewody natenczas kijowskiego, Potockiego, i ją do rozbioru nakłonił, kiedy przekonywali ją jej nadwornicy, a ujęci dawniej teologowie, że gdyby była kordon ten, na nią przypadający, w którym wojewoda kijowski mieszkał, pierwaj zabrała, do tego kryminału nigdyby przyjść ten zuchwały magnat nie ośmielił się. Ten Potocki miał syna jednego, imieniem Szczęsnego, który się z czasem także do zguby ojczyzny przyczynił. Syn Szczęsny, upodobawszy w sąsiedztwie pięknego domu, twarzy i obyczajów pani Komorowską, bez woli ojca z nią się ożenił. Zabolalo to wojewodę, który syna swojego jedynaka z najbogatszą jaką partją, albo udziałną jaką księżniczką zagraniczną złączyć myślał, nie mogąc inaczej nielubej sobie zbyć się synowej, bez wielkich zachodów utopić ją kazał.

Druga magnatka, wojewodzina wileńska, Radziwiłłowa, z domu Rzewuska, który równie jako i Szczęsny Potocki dokonywał potem nieszczęsnego losu ojczyzny swojej, przysłanego z Preszowa od generalności, niejakiego Litwina Czeszejkę, który zbierał składki od obywateli polskich na potrzeby konfederacyi, że się ośmielił swywolne jej życie naganić, sprowadziwszy kata do Białego-Kamienia, gdzie mieszkała, co także potem w kordon austriacki dostało się, ściąć go kazała bez żadnego sądu. Takie kryminały, bezkarnie świeżo popełnione, przekonały nakoniec Maryę Teresę, że do rozbioru Polski z drugimi dwoma mocarstwami przystąpiła.

Prócz tych świeżych przykładów ostatniej bez-

prawości magnatów naszych, słynał u nas na Rusi okrucieństwem swoim Mikołaj Potocki, starosta kaniowski, który do 40 ludzi swoją ręką nazabijał. W Polsce starosta knyszyński, Czapski, tak był okrutny, że tych, których nie lubił, albo winnymi sobie osądził, w beczkę, nabitą bretnaglami, wsadził i takie beczki dla swojej rozrywki przed sobą toczyć kazał, na którym, dla jego okrucieństw, banicyę zyskał Braniczyński hetman, ażeby sąsiedni od Białego Stoku Knyszyn trzymał. W Litwie Radziwiłł, chorąży litewski, w Białej mieszkający, który lubił słuchać jęczenia w dołach podziemnych swoich mniemanych winowajców, których najlepszymi swymi śpiewakami nazywał.

Wszyscy ci okrutnicy w tym czasie żyli i powodem do rozebrania kraju tak nierządnego stali się. — Austrii dostały się od Białej, przy Szlasku i brzegów Wisły, bliżej Krakowa, ziemie wszystkie aż do granicy węgierskiej i Wołoszczyzny, ku południowi; od brzegu zaś prawego Wisły pod Sandomierz, pod Krasnystaw aż do brzegu rzeki Dubienki, ku wschodowi, ztamtąd Bugiem aż do Sokoła i wołoskiej granicy, o milę małą od Kamieńca podolskiego, koroon austriacki zajął.

Król pruski zabrał województwa Prus polskich: Pomorskie, Chełmińskie i Malborskie, część województwa inowrocławskiego, poznańskiego i kaliskiego z Warmią.

Imperatorowa rosyjska wszystkie z tamtej strony rzeki Dźwiny województwa: połockie, witebskie i mściśławskie objęła.

Czuciem przejęty tego okropnego losu krajowego, wtenczas to napisałem pieśń pod tytułem: Dziada sokalskiego, zaczynając się: „Śladem bieda, przyszła bieda śladem,” którą to pieśń w samej rzeczy dziadowi sokalskiemu, chodzącemu z lirą, przy której śpiewywał, na jedną nutę z jego żalosnych pie-

śni skomponowaną, do śpiewania oddałem, za co on biedny potem od Niemców ucierpiał.

W tym czasie i zakon jezuitów zniesiony, za naleganiem Francyi najbardziej, Hiszpanii i Portugalii. Papież Ganganelli, przymuszony przedstawieniami tych dworów, jeszcze się wstrzymywał w kasowaniu tak przydatnego zakonu w chrześcijaństwie, generałowi jezuickiemu proponował, ażeby, jeżeli zostać jeszcze żądali, teologii nie uczyli, kapelanów swoich przy monarchach nie mieli i wpływu do rządu najmniejszego unikali. Pyszny generał, nie spodziewając się, ażeby kiedy do ostateczności przyjść miało, że w samych Włoszech potężne mieli swoje partye, od powiedział Papieżowi: „Wszystko jak było, albo nic.” I tak nic im nie zostało, bo papież wydał bullę, kasującą ich zakon po całym świecie. Przyczyny zaś, które pociągnęły monarchów do żądania tej kasacyi, były następujące: konspiracya na króla portugalskiego Józefa, której naczelnikiem był Jezuita Mategreda, który za też konspiracyę na śmierć był skazany.

W Paragwaju, prowincyi Ameryki portugalskiej, mieli obranego króla Jezuitę, braciszka, pod imieniem Mikołaja, gdzie już na kilkanaście tysięcy broni przygotowanej, w celu wystawienia wojska, w swoich mieli magazynach. W hiszpańskich podobnie prowincjach Ameryki otwarcie przeciwko królom układy rozpoczęli. Jeden z nich wydał prócz tego ważny sekret, na spowiedzi sobie powierzonej od matki królewskiej, co zamieszanie największe w kraju sprawićby mogło. We Francyi, za intrygi w narodzie, za nauki publiczne w teologii, a przeciwne królom, że król tyran powinien być zabitym według książki Jezuity Busenbaum, którą to książkę kat publicznie na rynku palił. A wszędzie w Europie staranie najpilniejsze, ażeby Jezuita u monarchów katolickich był spowiednikiem, a tak wiadomi sekretów każdego króla, dyspensowani byli generałowi owemu donieść je, ażeby ten z takich wiadomości układy potrzebne za-

konowi i intrygi swoje czynił. Skasowani nakoniec (jak się powiedziało), jeszcze zuchwałością swoją powodowani, najwyższej zwierzchności kościoła nieposłusznymi stali się, bo nie mogąc już w państwach katolickich utrzymywać się, w protekcję dyssydenckich monarchów udali się. I tak już po skasowaniu ich powszechnem byli jeszcze czas jakiś w państwach króla pruskiego i w imperyum rosyjskiem w Połocku. Zakon ten, fundowany przez świętego Ignacego Lojole, Hiszpana, potwierdzony przez Pawła III-go papieża, w r. 1540, trwający więcej lat 230, upadł. Trzeba wyznać, że gdyby nie intrygi, w które się mieszać nad wszystko lubili, chęć zbierania bogactw i pomnożenia często nieprawne funduszków swoich, gdyby nie pycha, którą wszystkich innych zakonników w pogardzie mieli, było to zgromadzenie ludzi między najświetlejszymi w Europie. Tę szlachetną mając ambicję, ażeby nikomu w umiejętnościach nie dać się uprzedzić, a obyczajami skromnymi, co się tyczy rozpusty, albo pijaństwa, być przykładem innym zgromadzeniom.

Po rozbiórce pierwszym, my, obywatele ubożsi, czuliśmy daleko większą stratę, niżeli magnaci nasi, bo równie z szumem, jak dawniej postępowali, rozumiejąc, że ich wystawne życie wrażeń jakieś i uszanowanie dla nich u Niemców sprawi, ale inaczej wszystko stało się. — Cesarz Józef I-szy wkrótce był na kontraktach lwowskich, gdzie widząc magnatów najpiękniejsze w pojazdach konie, najokazalsze karety, a żony ich prawie całe w klejnotach, publicznie powiedział: „żalicie się na podatki, a taki zbytek we wszystkim u was?” Pozdejmowały damy klejnoty, a magnaci piechotą czasem po ulicach przechodzili się, ale ta nagła zmiana śmieszniejszą jeszcze dla Niemców była przyczyną. Kiedy Józef I proponował magnatom wzięcie się do czynności jakich w nowym rządzie i kiedy nikogo z nich nie było widać, znowu cesarz powiedział: „Ci bogacze podobni do much, któ-

re tylko po domie brzęczą i brudne ślady wszędzie po sobie zostawiają.“ Ale nie na samem jego gadaniu skończyło się, polityką było dworu wiedeńskiego nie nas ubogich, ale magnatów naszych ciemnić, bo od nas nie spodziewali się oburzenia jakiego, ale pycha magnatów więcej czyniła wrażeń. — Wszystko tedy robiono, jakby ich zedrzeć, albo upokorzyć można, stawiano im za najmniejsze sprzeciwienie się w ich nawet pokoju sypialnym żołnierza na egzekucję. Gubernator zawołanego do siebie magnata trzymał długo przed pokojem, a czasem i odejść mu bez widzenia się kazał. Pokasowano milicję panów nadworne; ordynatowi Zamojskiemu ordynackich konstytucyjnych żołnierzy trzymać zakazano, a natomiast cesarski tam żołnierz stanął garnizonem; wojewoda kijowski Potocki, który miał do półtora tysiąca żołnierzy nadwornych w Krystynopolu, zwyczajnej swojej rezydencji, tych mu niezwłocznie rozpuścić kazano, i kiedy do rządu podał notę, że nie będzie bezpieczny w domu bez tych żołnierzy od hultajów, mając srebra tyle i droższego narzędzia, posłano mu 300 żołnierzy austriackich, ażeby ci ustawiczną załogą konsystowali u niego w Krystynopolu, a tak pewnym będzie od napaści hultajów. Takie upokorzenie najpyszniejszego magnata tego i czucie jego zbyt ciężkie poniżenia swojego, ściągnęło mu chorobę, z której i umarł, że nie mógł bezkarnie ludzi zabijać. Po jego śmierci Komorowski, ojciec utopionej córki swojej przez wojewodę, chciał rozpocząć proces o ten gwałt, najokrutniej na dziecięciu jego przed rokiem dopelniony. Niemcy to publicznie przed nami we Lwowie mówili, że ponieważ tak pan Szczesny, syn zmarłego wojewody Potockiego, jako i pan Komorowski są *sujets mixtes*, to jest, że mają dobra w austriackim kordonie i w polskim kraju, mogą się tedy sądzić we Lwowie albo w Warszawie: jeżeliby (jak mówili Niemcy) chcieli się sądzić we Lwowie, tedy

pewny dekret, że za taki kryminal trupa z grobu do-
będą wojewody i kat mu na rynku głowę utnie. Ale
odrodny ojciec Komorowski, wiedząc o takim Niem-
ców przedsięwzięciu, wolał się zgodzić z Szczęsnym
Potockim w Warszawie i za krew dziecięcia swoje-
go niewinnie przelaną 600,000 złp. odebrał. Tak
my ubożsi, jak dawniej czyniliśmy, tak nawet już
pod rządem austriackim, braniem od magnatów pie-
niędzy, ośmielaliśmy ich, żeby nas bezkarnie zabijali,
kiedy mieli czem za to zapłacić. Nie dziwiłem się
dawniej Kalinowskiemu, staroście grodowemu winni-
ckiemu, który obraziwszy sławnego zabojami obywa-
telów, Mikołaja Potockiego, starostę kaniowskiego, na
publicznym gościńcu od niego w 200 koni żołnierzy
napadnionemu, z pojazdu wywleczonemu, na drodze
położonemu i 150 kijów biorącemu, że się potem
z tymże tyranem za 200,000 zgodzili. — Bo gdyby
sobie ostrzeż z tym najeźdźnikiem postąpić chciał, pe-
wnieby go pierwej za czasów rządu naszego zabić
kazał. Ale Komorowski, mając już twardy rząd au-
striacki po sobie, czemuż on wolał pieniądze? Niem-
cy, prócz najwyższego rządu we Lwowie, ustanowili
jeszcze *forum nobilium*, gdzie obywatele nas, z Niem-
cami pomieszani, szlacheckie sprawy rozsądzać obo-
wiązani. Postanowili tamże zbieranie się stanów kra-
ju, a w tych stronach siedmiu naczelników z obywa-
teli znacniejszych wybrali. Te stany naradzać się
powinny według uniwersatów cesarskich (taki był
wyraz w uniwersale) nie dla czego, ale jakim sposo-
bem, co nam nierozumiejącym wytłumaczyli Niemcy,
że na przykład, jeżeli nałożony będzie podatek, stany
pytać się nie będą mogły, czemu on jest nałożony,
ale tylko jakim sposobem wypłacić. Tak niechcąc
na dawnych sejmach naszych dobrowolny sobie na
utrzymanie żołnierza krajowego podatek nałożyć, bez-
bronno straciwszy wolność, przymuszeni byliśmy płacić
to, co Niemiec każe, nie pytając się, dla czego płacić
kazano,

Szlachta, zawsze lepiej od magnatów myśląca
o dobru ojczyzny, przed tym pierwszym upadkiem
naszym na lat kilka, widząc nierządem i przemocą
magnatów wszystko ciemżone, umówiła się między
sobą po województwach, ażeby każdy obywatel po-
dług intraty z wioski dziedzicznej, pewną część pie-
niędzy corocznie składał, z których miała się układać
milicya województwa, a ta albo w czasie potrzeby
kraju powinna była do wojsk koronnych dołączyć
się, albo w czasie pokoju dekrétów sądowych dogła-
dać. Ta pocziwa umowa obywatelska miała skła-
dać milicyi w czterech województwach, już na to
między sobą ułożonych: podlaskiem, wołyńskiem, bra-
clawskiem i kijowskiem, do 30 tysięcy wojska, a jako
się spodziewano, że inne województwa koronne i litew-
skie pewnie za tym przykładem pójdą, najmniej
100,000 milicyj wojewódzkich, przyłączone do wojsk
narodowych, uformowałyby pewnie znaczącą w Eu-
ropie potęgę Polski. Ale magnaci na sejmie to zro-
zumiawszy, że już nie będą mogli swoimi nadwor-
nymi żołnierzami dekrétom sądowniczym sprzeciwiać
się, szlachtę w respekcie dla siebie trzymać, albo
bezkarnie śmielszych zabijać, tym szlachetnym zamy-
słom obywatelów wojewódzkich całemi siłami sprze-
ciwili się i dawny nierząd utrzymać woleli, nie mniej
i dlatego, ażeby z ogromnych dóbr swoich propor-
cyonalnej, jak szlachta dawali, części intraty nie skła-
dali. Na czem w kilka lat potem oszukali się po
zabraniu kordonów, najmniej cztery razy tyle podat-
ków dla nowych panów składać musieli, ile im się
dla dobra narodu swego płacić nie chciało. Opłacili
potem na to, ażeby ich mocniej za karki nowe pany
trzymali po zabraniu 1-go kordonu.

Ja tymczasem przy mojej Justynie różnego losu
doznawałem, czasem najgoręcej ślubem małżeńskim
z nią się połączyć chciałem, a czasem bojąc się jej
humoru, ustawicznie prawie sprzecznego, lubiła, za-
ufana w rozumie swoim, dysputować ustawicznie;

ostygnałem pomału w żądaniach moich, co chociaż postrzegala ta najszacowniejsza kobieta, wszelako widząc mnie ubogim, na dzień imienin moich darowała mi 5,000 złp. i ten od niej dar miałem w życiu jedyny, chociaż potem przy królu i między pierwszymi osobami w kraju żyjąc, na łaskę każdego zasługiwałem. Za te pieniądze zaraz trzymać wioskę zacząłem i przy ciężkiej pracy przez lat 30, rękom a nawet własnymi na chleb robiąc (bo ci jedni prawdziwi przyjaciele najszczerzej wesprą), przyszedłem na starość do chleba, którego nie do zbytku, ale do sytości używam. Trzymając pierwszą wioskę od Mrozowickich, Wierzbowice zwaną, Bielski, łowczy, zawsze jednako lubiący mnie, kazał uważać moje gospodarstwo komisarzowi swojemu, blisko mieszkającemu; kiedy w następnej jesieni do niego przyjechałem, śmiał się, że z książki gospodarował, bo mnie komisarz jego czytającego książkę przy kosiarzach w polu widział. Ja się odwołałem do samego komisarza, że siano moje sucho zebrane i popłatniejsze było, niżeli Bielskiego, ale zaczawszy gospodarować, od chłopów, grunt swój najbliżej mających, naukę brałem w czasie orania, siejby, samokosów. Tak w kilku leciech na kilku dzierżawach pracując, do 1000 dukatów przypędziłem, kiedy ostatnią wioskę od Bielskiego w kordonie cesarskim Dobrowody trzymałem, a potem do Polski przenieśliśmy się. W czasie różnych dzierżaw moich poznałem się z domem Dzieduszyckich, Koziebrodzkich (od którego wioskę trzymałem); Potockich, starostów sokolnickich; Puzyńców, starostów upitskich, wszystkich ludzi poczytywych; od Koziebrodzkiego, starosty olchowickiego, trzymając wioskę Żabokruki, który, mnie, jak syna swego lubił, pokochaliśmy się z córką jego Franciszką, która, mając sto kilkadziesiąt tysięcy posagu, już za młodego Puzyńcę, mającego obszerną majątność, była zaręczona. Panna nielubiąca narzeczonego swego kawalera, dała mi poznać, abym ją wy-

kradł, co pewnie udałoby się, i za wstawieniem się z mojej strony ludzi zacniejszych ojca panny przeprosić możnaby było.—Ale kiedy on mnie kochał jak syna, kiedy mi wioskę po przyjacielsku wypuścił, kiedy mi z córką bawić się z zaufaniem dniami i nocami nie bronił, jakże mógłbym go w zaufaniu jego zawodzić, całem życiem wstydzić się przed ludźmi o czarny postępek mój? Poszła ona potem za tego panicza i była nieszczęśliwą, a Koziebrodzki wkrótce z mojej niewinnej przyczyny umarł. Na święty Marcin, w dzień imienia jego, miał wiele gości, między którymi i ja byłem, lubił on czasem pić dobrze, ale ja nie mogłem, tylko zachęcać umiałem; kiedy do czterech godzin u obiadu bawimy, gospodarz wodę przetrzymawszy, wyszedł po czasie na dwór, a niemożąc jej zbyć się, hajdukom, którzy go wyprowadzili, jak pijany bez rozmysłu położyć się twarzą ku ziemi kazał, ażeby tak od dołu oziębivszy się, zbył się ciężaru, a był mroź dobry na święty Marcin, paraliż naruszył niższe części i po kilku niedzielach umierać musiał, zawsze mi w chorobie swojej wymawiając, że zachęcaniem mojem do picia obfitszego choroby jego przyczyną był.

Na końcu dzierżaw moich w Galicyi Żabokruki trzymając, zdziwiłem się, że chłopci tamtejsi mieli także swoją mitologią. Raz z jednym z nich saneczka mi przejeżdżając o ćwierć mili od wsi, obaczywszy przy drodze kamień, jak słup jaki, do czterech łokci, a wysokości może do dziesięciu mający, pytałem mego wieśniaka, co by znaczył ten kamień, a on mi odpowie: przed wiekami matka z córką pracowała na tej łące i kiedy matka najpilniej robi, córka często sobie folgując, napominania matki nie słuchała; matka rozgniewana przeklina ją, ażeby się w kamień obróciła, i oto, mówi dalej wieśniak, ta sama nieposłuszna córka w kamień się zaraz obróciła i tu przy drodze stoi.—Nie śmiałem się z baśni tej błędnego wywodu, kiedy tak użyteczny cel miała. Ale

nazajurz gromady wieśniaków moich znowu o tenże słup pytając, najpierw starcy toż samo potwierdzili, jeden z nich tylko, chociaż był jeszcze młodszym, rzecze: ja temu, panie, nie wierzę, bo gdzieżby dziewczka tak gruba i tak wysoka była.

Dobrowody, wioskę od Bielskiego arendując, miałem sąsiada w Monasterzyskach, starostę halickiego Potockiego, człowieka najpocziwszego, i żonę jego z książąt Lubomirskich, Witosławskich podczaszych, ludzi najprzychylniejszych dla mnie, a najbliższej stolnika Piaseckiego, rzadkiej pocziwości człowieka; temu przed kilku latami pułkownik rosyjski, idący na Turczyną pod Chocim, a słysząc o cnotcie jego, dał 3,000 dukatów do schowania, z przydatkiem na piśmie, że jeżeliby na tej wojnie zginął, tedy Piasecki połowę pieniędzy jego odda generałowi jego, a drugą sobie weźmie, jeżeliby zaś z wojny wyszedł, tedy odda je całe pułkownikowi; trzy lata o pułkowniku nie było słyhać, nakoniec powrócił i Piasecki zupełne mu pieniądze odkopawszy z ziemi, oddał. Pocziwy pułkownik, rozkochany w cnotcie pocziwego Piaseckiego, czyni mu dar całej połowy tychże pieniędzy swoich za wierne ich dochowanie, których tenże nie przyjmuje, mówiąc: że swojej cnoty nie sprzedaje, i tylko zegarkiem wziętym na pamiątkę, kontentuje się, chociaż nad 25 tysięcy złp. nie miał majątku więcej. Nie widziałem człowieka, więcej mającego rezygnacją na wolę Boską, jak miał Piasecki, co jest jedynym sposobem szczęścia ludzkiego na ziemi; najsmutniejsze przypadki, gradobicia, upadek bydła, śmierć dziecięcia, nic go prawie nie obchodziły; i zawsze go widziałem wesołego z tem swoim hasłem: „Bóg tak chciał.“ U żony jego, już jak on dobrze starej, widziałem piękną małą szkatułkę, jaszczurem obitą, z brzegami srebrnemi, wewnątrz mającą cztery butelki kryształowe i kieliszek takież we środku, a pod wiekiem, otworzywszy skrzyneczkę, piękne zwierciadło; miała ten prezent, (jak

powiadała Piasecka) od pani swojej, Sieniawskiej, u której za młodych lat służyła. Ponieważ w tamtych czasach różu damy na twarz nie kładły, jejmość po ubraniu się, piła z tego puzderka słodką gorzałkę, póty, póki się jej czerwoność trochę na twarzy nie pokazała. Mój Piasecki jedynym był w naturalności we wszystkich swoich odpowiedziach. — Już po zabranu kordonu na lwowskich kontraktach byłem z kolei od gubernatora lwowskiego, pysznego Ruszperga, proszony na obiad. Piasecki na coś mnie potrzebował i po obiedzie przyszedł za mną do gubernatora; że tam chyba za meldowaniem się wpuszczano do gubernatora na pokój, kiedy przypadkiem kamerdynerów przed pokojem nie było, wszedł Piasecki do pokoju, w którym jeden tylko był przy kominku grzejący się gubernator, i widząc sarmatę z wąsami, a niespodziewając się, żeby inszy język rozumiał, po łacinie go zapytał, jak tu wszedł, nieopowiedziawszy się? Odpowiedział: widziałem, że tedy ludzie przechodzą i ja też przeszędłem; znowu gubernator: czemu nie czekałeś przed pokojem? bo tam zimno, odpowiedział; spytany znowu: czegoby żądał, że mnie szukał, sam gubernator wyjść musiał do drugiego pokoju i mnie wywołać, ażeby się prędzej zbyć tego człowieka nie podług niemieckiej etykiety. Z tym Piaseckim, który czasami lubił się napić, byliśmy u sąsiada, sławnego pijaka, Siemianowskiego, tamże przyjechał z żoną pyszny dyrektor, Niemiec, nasz zwierzchnik powiatowy, i przywiózł z sobą kapitana, pierw zamieszkałego w Polsce, Francuza, który dawniej był guwernerem panów Potockich, kasztelanów lwowskich, i który w miasteczku Monasterzyskach jako dyrektor mieszkał. Podpiwszy trochę, zaczęli się ci dwaj bohaterowie Niemiec z Francuzem o jakiś pijany honor przemawiać, a potem przyszło do policzków, gdzie dyrektor i Francuz obalili się na ziemię. My konenci, tylkośmy krzyczeli, co ichmość robicie, ale

umyślnie ich nie rozbranialiśmy, kiedy Niemiec silniejszy wziął pod siebie Francuza, hajduk Siemianowskiego, niby ich rozbraniając, Niemca na spód, a Francuza na wierzch obrócił, dopiero nasz Francuz zpoliszczwały, co się w paszczkę niemiecką zmieściło, tyle mu policzków nadawał, że nakoniec my Polacy kontenci, szczerześmy ich rozbraniali, bo już i krew z nosa austriackiego ciec zaczęła. To zdarzenie trochę napotem Niemca upokorzyło, ale wszelako dawał jeszcze tony sobie, i wkrótce przed pokojem będących nas obywateli zrana u niego, wyszedłszy do nas w szlafroku, strofował, żeśmy głowy nakryte mieli; kiedym mu odpowiedział, że kiedy nikogo w pokoju nie było, przed kimże kapelusz zdejmować mieliśmy, on pokazał na portret Józefa cesarza, a ja na jego szlafrok, że także przeciwko respektowi portretu było w szlafroku wychodzić. Ale więcej mi zrobił mój sąsiad Bobrowski, gdy jadąc w ziemie (jak miał zwyczaj zawsze z fuzą w sankach nabitą) jadący przeciwko niemu z małemi sankami jednym koniem dyrektor, widząc, że się Bobrowski mało tylko co z drogi zwrócił, że mu było, że czterema końmi jechał, zawołał rozgniewany: na bok, szelm Polak! Bobrowski urażony, a żywy, z fuzy do niego zmierzył, ale szczęściem Niemca, na panewce tylko spaliło. Była potem o to indagacya i skończyła się na niczem. Lepiej się jeszcze udało obywatelowi w ziemie przemyskiej, do którego mając jakąś urazę blisko mieszkający dyrektor, dowiedziawszy się, że obywatel miał gości na obiad, którzy się na jego imieniny licznie zjechali, posłał do niego przed samym obiadem kancelistę swojego, ażeby tego momentu u niego stawał; obywatel odpowiedział kanceliście, że podatki cesarskie zapłacił i do niczego się winnym nie poczuwa, a mając gości, porzucić ich nie może, jutro zaś jak najraniej na rozkaz stawi się; kancelista z odpowiedzią odjechał, a tymczasem goście do stołu siedli; już ku końcowi

obiadu sam dyrektor przyjechał i kiedy wszyscy przy stole powstali, on, po czesku umiejący, gospodarza ofuknie: „Cóż ty szelm Polak, rozkazów mich ne słuchasz, ja jestem cyzar, bo w osobę jeho tobi rozkazuje, a ty mnie szelm nie słuchasz?“ — Tysiąc impertynencyj wygadawszy, kiedy skończył, gospodarz przytomnymi gośćmi zaświadczywszy się, jako za danej przyczyny do łajania takiego JP. dyrektorowi nie dawszy, napadnięty i zelzony był w domu własnym, kazał ludziom swoim położyć go na ziemi i sto bizunów jemu swoją ręką wyliczył; co także przypadło, jak się w rządzie dowiedziano, że bez danej przyczyny najechany i zelzony był, obywatel wolnym był od procesu, dyrektora zaś z Galicyi do Czech przeniesiono; a takie biednych naszych Polaków czasem opory, trochę pychę rządzących Niemców poskromiły, wszelako znęcali się nad nami jak tylko mogli, i sam cyrkularz do siebie (jako dzierżawca Dobrowód) przysłany taki czytałem: Wszystkim dziedzicom dóbr, dzierżawcom i komisarzom pod kajdanami przykazuje się, aby na dzień wymieniony przed krajshauptmanem stawali. Kiedyśmy za tym rozkazem przyjechali do Brzeżan, cały interes był: zapytanie się krajshauptmana, czyli też rozkazy cesarskie zachowujemy, rzekł tylko, jedźcież nazad do domów. Takie i tym podobne pogardy naszych, skwasiły mi nakoniec życie pod tym rządem, pogardzającym Polaka, już myślałem jakby się z tej niewoli wydobyć jak najprędzej; trafiło się, że u Witosławskiego, podczaszego, był w domu brat jego, obożny koronny Witosławski, który ze mną poznawszy się, wiele mi o nieznaney odemnie Warszawie, wiele o królu, a najwięcej o domie księcia generała podolskiego Czartoryskiego nagadał, jak ten pan i sam lubiący nauki, lubił i wspierał ludzi uczonych. Nie miałem ja wstępu żadnego do domu Czartoryskich, ale sam go sobie zrobić chciałem zebraniem wszystkich sielanek moich i inszych wierszem i prozą ro-

umyślnie ich nie rozbranialiśmy, kiedy Niemiec silniejszy wziął pod siebie Francuza, hajduk Siemianowski, niby ich rozbraniając, Niemca na spód, a Francuza na wierzch obrócił, dopiero nasz Francuz zpolszczały, co się w paszczkę niemiecką zmieściło, tyle mu policzków nadawał, że nakoniec my Polacy kontenci, szczerześmy ich rozbraniali, bo już i krew z nosa austriackiego cieć zaczęła. To zdarzenie trochę napotem Niemca upokorzyło, ale wszelako dawał jeszcze tony sobie, i wkrótce przed pokojem będących nas obywateli zrana u niego, wyszedłszy do nas w szlafroku, strofował, żeśmy głowy nakryte mieli; kiedym mu odpowiedział, że kiedy nikogo w pokoju nie było, przed kimże kapelusz zdejmować mieliśmy, on pokazał na portret Józefa cesarza, a ja na jego szlafrok, że także przeciwko rezydentowi portretu było w szlafroku wychodzić. Ale więcej mi zrobił mój sąsiad Bobrowski, gdy jadąc w zimie (jak miał zwyczaj zawsze z fuzyą w sankach nabitą) jadący przeciwko niemu z małemi sankami jednym koniem dyrektor, widząc, że się Bobrowski mało tylko co z drogi zwrócił, że mu było, że czterema końmi jechał, zawołał rozgniewany: na bok, szelm Polak! Bobrowski urażony, a żywy, z fuzyi do niego zmierzył, ale szczęściem Niemca, na panewce tylko spaliło. Była potem o to indagacya i skończyła się na niczem. Lepiej się jeszcze udało obywatelowi w ziemi przemysłskiej, do którego mając jakąś urazę blisko mieszkający dyrektor, dowiedziawszy się, że obywatel miał gości na obiad, który się na jego imieniny licznie zjechali, posłał do niego przed samym obiadem kancelistę swojego, ażeby tego momentu u niego stawał; obywatel odpowiedział kanceliście, że podatki cesarskie zapłacił i do niczego się winnym nie poczuwa, a mając gości, porzucić ich nie może, jutro zaś jak najraniej na rozkaz stawi się; kancelista z odpowiedzią odjechał, a tymczasem goście do stołu siedli; już ku końcowi

obiadu sam dyrektor przyjechał i kiedy wszyscy przy stole powstali, on, po czesku umiejący, gospodarza ofuknie: „Cóż ty szelm Polak, rozkazów mich ne słuchasz, ja jestem cyzar, bo w osobę jeho tobi rozkazuje, a ty mnie szelm nie słuchasz?“ — Tysiąc impertynencyj wygadawszy, kiedy skończył, gospodarz przytomnymi gośćmi zaświadczywszy się, jako za dnej przyczyny do łajania takiego JP. dyrektorowi nie dawszy, napadnięty i zelżony był w domu własnym, kazał ludziom swoim położyć go na ziemi i sto bizunów jemu swoją ręką wyliczył; co także przepadło, jak się w rządzie dowiedziano, że bez żadnej przyczyny najechany i zelżony był, obywatel wolnym był od procesu, dyrektora zaś z Galicyi do Czech przeniesiono; a takie biednych naszych Polaków czasem opory, trochę pychę rządzących Niemców poskromiły, wszelako znęcali się nad nami jak tylko mogli, i sam cyrkularz do siebie (jako dzierżawca Dobrowód) przysłany taki czytałem: Wszystkim dziedzicom dóbr, dzierżawcom i komisarzom pod kajdanami przykazuje się, aby na dzień wymieniony przed krajshauptmanem stawali. Kiedyśmy za tym rozkazem przyjechali do Brzeżan, cały interes był: zapytanie się krajshauptmana, czyli też rozkazy cesarskie zachowujemy, rzekł tylko, jedźcież naład do domów. Takie i tym podobne pogardy naszych, skwasiły mi nakoniec życie pod tym rządem, pogardzającym Polaka, już myślałem jakby się z tej niewoli wydobyć jak najprędzej; trafiło się, że u Witosławskiego, podczaszego, był w domu brat jego, obożny koronny Witosławski, który ze mną poznawszy się, wiele mi o nieznaney odemnie Warszawie, wiele o królu, a najwięcej o domie księcia generała podolskiego Czartoryskiego nagadał, jak ten pan i sam lubiący nauki, lubił i wspierał ludzi uczonych. Nie miałem ja wstępu żadnego do domu Czartoryskich, ale sam go sobie zrobić chciałem zebraniem wszystkich sielanek moich i inszych wierszem i prozą ro-

bót moich, które wydrukowane we Lwowie pod tytułem: „Zabawki wierszem i prozą,” w jednym tomiku, księciu generałowi dedykowałem i tę książeczkę potem przez oboźnego Witosławskiego księciu generałowi Czartoryskiemu, nieznanemu mi, przesałem. Odebrałem list od księcia najgrzeczniejszy, razem i od biskupa Naruszewicza, któremu ostatnie wiersze w tejże książce pod tytułem „Sumienia” dedykowane były. Naruszewicza tak nie znałem, jak i Czartoryskiego, pobudka była przypisania mu wierszy, że on wtenczas jeden słynął z rymotwórstwa i że między pierwszymi łaskami króla zaszczycał się, ażeby tak wstęp mieć i do monarchyi; z którym to Naruszewiczem, kiedy potem w Warszawie poznałem się, z tak tkliwej opisaney zgryzoty sumienia myślił o mnie, że kogós może zabiłem, a ja pomyślałem kiedy mi to mówił, że u nas w Galicyi zgryzota sumienia napada, gdyby kto dał i życie, a nie powinien go dawać. Ale nie znałem wtenczas dobrze Warszawy, kiedym tak myślił w Galicyi.

Po niejakiem czasie przesłania „Zabawek” moich Czartoryskiemu, przyjechał ten pan do Galicyi, ażeby podziękował staroście kaniowskiemu, Potockiemu, który mimo krewnych swoich bliższych wlewk sukcesyi, na siebie spadłej po Opalińskiej, na osobę księcia Czartoryskiego uczynił. Już wtenczas Potocki siedział u Bazylianów w Poczajowie, po popełnionych tylu kryminałach, niby na dewocyi, nie mieszkając z żoną, z domu Dąbrowską, skarbnikówną halicką, kobietą najpiękniejszą i grzeczną, którą u pp. Karmelitanek lwowskich osadziwszy, jakoby rozvodu z nim czekającą, sam tymczasem siedział u Bazylianów poczajowskich, niby w intencji zostania Bazylianem, ponieważ był greckiego obrządku, ten zaś obrządek takim zdarzeniem przyjął. Dawniej jeszcze, za panowania magnatów w Polsce, wszystkie bezkarnie popełniając kryminały, czasem też Potocki — Potocki ten, przypomniawszy sobie religią, —

Sprowadził do Horodenki, miasta swojego, przy granicy wołoskiej, księży misyonarzy, którym 30,000 intraty na dobrach zapisanych oddawszy, kościół wspinały tamże w Horodence dla nich murować rozpoczął, przyszła tymczasem spowiedź wielkanocna i spowiadając się Potocki, do ks. misyonarza Zabłockiego przystąpił. Zaczyna ten kapłan po wysłuchaniu grzechów, absolucyi penitentowi dać nie chciał, dodając, że ponieważ te same kryminały i publiczne zgorszenia, przed przeszłemi spowiedziami popełniał, a poprawy żadnej nie czyni, absolucya od grzechów dana mu być nie może. Zawstydzony i rozgniewany despota, upiwszy się tegoż dnia, kościół dobrze już podmurowany misyonarski rozwalić kaze, zapisy dla nich skasować postanawia, a tymczasem poczcwi księża, których było około dziesięciu, niosąc przed sobą krzyż kościelny z Horodenki za miasto dobrowolnie między płaczącym ludem wyszli. — Na widok ten smutny patrzył przez okno tyran i przecieź serce jego lamentem ludzkim wzruszyło się, że księżom powrócić kazał, kościół więcej rozwalić zabronił, ale nazajutrz do Poczajowa wyjechał, gdzie wyspowiadał i absolwowany od Bazylianów, ruski obrządek przyjął — 30 tysięcy złotych. Bazylianom darem oddawszy i ten obrządek aż do śmierci zachował. Misyonarzom nietylko kościół wspinały wkrótce dokończyć kazał, ale jeszcze i do funduszu ich pierwsiakowego przyczynił.

W kilka lat potem po rozdanych między bliższych sukcesorów swoich Potockich ogromnych dobrach, na dziedzincu Bazylianów poczajowskich, dworek sobie wybudowawszy, mieszkał. Rano i na wieczór na pacierze zakonne do cerkwi chodził, mnichów niedbałych przestrzegał, a mimo tego u siebie dziełek kilka dla rozpusty trzymał, rano je budząc do różańca, który wraz z niemi odmawiał, a jeżeliby która w czasie tej modlitwy rozśmiała się, cybuchem po plecach karał, ażeby (jak mówił) Boga nie obra-

bót moich, które wydrukowane we Lwowie pod tytułem: „Zabawki wierszem i prozą,” w jednym tomiku, księciu generałowi dedykowałem i tę książeczkę potem przez oboźnego Witosławskiego księciu generałowi Czartoryskiemu, nieznanemu nieznajomy, przesłałem. Odebrałem list od księcia najgrzeczniejszy, razem i od biskupa Naruszewicza, któremu ostatnie wiersze w tejże książce pod tytułem „Sumienia” dedykowane były. Naruszewicza tak nie znałem, jak i Czartoryskiego, pobudka była przypisania mu wierszy, że on wtenczas jeden słynął z rymotwórstwa i że między pierwszymi łaskami króla zaszczycał się, ażeby tak wstęp mieć i do monarchy; z którym to Naruszewiczem, kiedy potem w Warszawie poznałem się, z tak tkliwej opisanej zgryzoty sumienia myślił o mnie, że kogós może zabitem, a ja pomyślałem kiedy mi to mówił, że u nas w Galicyi zgryzota sumienia napada, gdyby kto dał i życie, a nie powinien go dawać. Ale nie znałem wtenczas dobrze Warszawy, kiedy tak myślił w Galicyi.

Po jakimś czasie przesłania „Zabawek” moich Czartoryskiemu, przyjechał ten pan do Galicyi, ażeby podziękował staroście kaniowskiemu, Potockiemu, który mimo krewnych swoich bliższych wlewk sukcesyi, na siebie spadłej po Opalińskiej, na osobę księcia Czartoryskiego uczynił. Już wtenczas Potocki siedział u Bazylianów w Poczajowie, po popełnionych tylu kryminałach, niby na dewocyi, nie mieszkając z żoną, z domu Dąbrowską, skarbnikówną halicką, kobietą najpiękniejszą i grzeczną, którą u pp. Karmelitanek lwowskich osadziwszy, jakoby rozvodu z nim czekającą, sam tymczasem siedział u Bazylianów poczajowskich, niby w intencji zostania Bazylianem, ponieważ był greckiego obrządku, ten zaś obrządek takim zdarzeniem przyjął. Dawniej jeszcze, za panowania magnatów w Polsce, wszystkie bezkarnie popełniając kryminały, czasem też Potocki — Potocki ten, przypominał sobie religią. —

Sprowadził do Horodenki, miasta swojego, przy granicy wołoskiej, księży misyonarzy, którym 30,000 intraty na dobrach zapisanych oddawszy, kościół wspaniały tamże w Horodence dla nich murować rozpoczął, przysłała tymczasem spowiedź wielkanocna i spowiadając się Potocki, do ks. misyonarza Zablockiego przystąpił. Zaczynał ten kapłan po wysłuchaniu grzechów, absolucyi penitentowi dać nie chciał, dodając, że ponieważ te same kryminały i publiczne zgorszenia, przed przeszłemi spowiedziami popełniał, a poprawy żadnej nie czyni, absolucya od grzechów dana mu być nie może. Zawstydzony i rozgniewany despota, upiwszy się tegoż dnia, kościół dobrze już podmurowany misyonarski rozwalić każe, zapisy dla nich skasować postanawia, a tymczasem poczcwi księży, których było około dziesięciu, niosąc przed sobą krzyż kościelny z Horodenki za miasto dobrowolnie między płaczącym ludem wyszli. — Na widok ten smutny patrzył przez okno tyran i przecież serce jego lamentem ludzkim wzruszyło się, że księżom powrócić kazał, kościół więcej rozwalić zabronił, ale nazajutrz do Poczajowa wyjechał, gdzie wypowiadany i absolwowany od Bazylianów, ruski obrządek przyjął — 30 tysięcy złotych. Bazylianom darem oddawszy i ten obrządek aż do śmierci zachował. Misyonarzom nietylko kościół wspaniały wkrótce dokończyć kazał, ale jeszcze i do funduszu ich pierwsiestkowego przyczynił.

W kilka lat potem po rozdanych między bliższych sukcesorów swoich Potockich ogromnych dobrach, na dziedzińcu Bazylianów poczajowskich, dworek sobie wybudowawszy, mieszkał. Rano i na wieczór na pacierze zakonne do cerkwi chodził, mnichów niedbałych przestrzegał, a mimo tego u siebie dziełek kilka dla rozpusty trzymał, rano je budząc do różańca, który wraz z niemi odmawiał, a jeżeliby która w czasie tej modlitwy rozśmiała się, cybuchem po plecach karał, ażeby (jak mówił) Boga nie obra-

bót moich, które wydrukowane we Lwowie pod tytułem: „Zabawki wierszem i prozą,” w jednym tomiku, księciu generałowi dedykowałem i tę książeczkę potem przez oboźnego Witosławskiego księciu generałowi Czartoryskiemu, nieznajomemu nieznajomy, przesłałem. Odebrałem list od księcia najgrzeczniejszy, razem i od biskupa Naruszewicza, któremu ostatnie wiersze w tejże książce pod tytułem „Sumienia” dedykowane były. Naruszewicza tak nie znałem, jak i Czartoryskiego, pobudka była przypisania mu wierszy, że on wtenczas jeden słynał z rymotwórstwa i że między pierwszymi łaskami króla zaszczycał się, ażeby tak wstęp mieć i do monarchy; z którym to Naruszewiczem, kiedy potem w Warszawie poznałem się, z tak tkliwej opisanej zgryzoty sumienia myślił o mnie, że kogós może zabitem, a ja pomyślałem kiedy mi to mówił, że u nas w Galicyi zgryzota sumienia napada, gdyby kto dał i życie, a nie powinien go dawać. Ale nie znałem wtenczas dobrze Warszawy, kiedyś tak myślił w Galicyi.

Po niejakiem czasie przesłania „Zabawek” moich Czartoryskiemu, przyjechał ten pan do Galicyi, ażeby podziękował staroście kaniowskiemu, Potockiemu, który mimo krewnych swoich bliższych wlewk sukcesyi, na siebie spadłej po Opalińskiej, na osobę księcia Czartoryskiego uczynił. Już wtenczas Potocki siedział u Bazylianów w Poczajowie, po popełnionych tyłu kryminałach, niby na dewocyi, nie mieszkając z żoną, z domu Dąbrowską, skarbnikówną halicką, kobietą najpiękniejszą i grzeczną, którą u pp. Karmelitanek lwowskich osadziwszy, jakoby rozvodu z nim czekającą, sam tymczasem siedział u Bazylianów poczajowskich, niby w intencji zostania Bazylianem, ponieważ był greckiego obrządku, ten zaś obrządek takim zdarzeniem przyjął. Dawniej jeszcze, za panowania magnatów w Polsce, wszystkie bezkarnie popełniając kryminały, czasem też Potocki — Potocki ten, przypomniawszy sobie religią, —

Sprowadził do Horodenki, miasta swojego, przy granicy wołoskiej, księży misyonarzy, którym 30,000 intraty na dobrach zapisanych oddawszy, kościół wspinały tamże w Horodence dla nich murować rozpoczął, przysła tymczasem spowiedź wielkanocną i spowiadając się Potocki, do ks. misyonarza Zablockiego przystąpił. Zaczyna ten kapłan po wysłuchaniu grzechów, absolucyi penitentowi dać nie chciał, dodając, że ponieważ te same kryminały i publiczne zgorszenia, przed przeszłemi spowiedziami popełniał, a poprawy żadnej nie czyni, absolucya od grzechów dana mu być nie może. Zawstydzony i rozgniewany despota, upiwszy się tegoż dnia, kościół dobrze już podmurowany misyonarski rozwalić każe, zapisy dla nich skasować postanawia, a tymczasem poczcwi księży, których było około dziesięciu, niosąc przed sobą krzyż kościelny z Horodenki za miasto dobrowolnie między płaczącym ludem wyszli. — Na widok ten smutny patrzył przez okno tyran i przecież serce jego lamentem ludzkim wzruszyło się, że księżom powrócić kazał, kościół więcej rozwalić zabronił, ale nazajutrz do Poczajowa wyjechał, gdzie wypowiadany i absolwowany od Bazylianów, ruski obrządek przyjął — 30 tysięcy złotych. Bazylianom darem oddawszy i ten obrządek aż do śmierci zachował. Misyonarzom nietylko kościół wspinały wkrótce dokończyć kazał, ale jeszcze i do funduszu ich pierwsiostkowego przyczynił.

W kilka lat potem po rozdanych między bliższych sukcesorów swoich Potockich ogromnych dobrach, na dziedzińcu Bazylianów poczajowskich, dworek sobie wybudowawszy, mieszkał. Rano i na wieczór na pacierze zakonne do cerkwi chodził, mnichów niedbałych przestrzegał, a mimo tego u siebie dziełek kilka dla rozpusty trzymał, rano je budząc do różańca, który wraz z niemi odmawiał, a jeźliby która w czasie tej modlitwy rozśmiała się, cybuchem po plecach karał, ażeby (jak mówił) Boga nie obra-

żała. Kiedy ksiązę Czartoryski do niego (jak się wyżej wspomniało) z podziękowaniem pojechał, on wtenczas bawił u pani Łaskiej pod Buczaczem, w dobrach kiedyś swoich, a ztamtąd przyjechali obydwaj panowie do mego sąsiada, podczaszego Witosławskiego, na dwa dni. Nie wiedziałem o niczem w domu moim w Dobrowodach, kiedy po wieczery czytając książkę, wchodzi do izby nieznajomy mi piękny młodzieniec, po francusku ubrany, był to Julian Niemcewicz z księciem Czartoryskim przybyły i wcześniej mnie poznać żądający, od Witosławskich, o pół mili odemnie odległych, przyjechał. On mi o bytności księcia tam powiedział i na obiad jutrzejszy zaprosił; ciekawy nazajutrz poznania pana, o którym mi tyle dobrego powiadano, wcześniej do sąsiada przyjechałem i znalazłem księcia jak dla wszystkich tak i dla mnie najgrzeczniejszego. Co inszego spotkać mi się było z tyranem Potockim, starostą kaniowskim, który chociaż już nikomu strasznym być nie mógł, bo jak się powiedziało, i pod Niemcami szumieć nie można było, a nawet z dóbr się już wyzuł i spokojnie na dewocyi siedział w Poczajowie, ale wspomnienie na okrucieństwa jego dawniejsze, czy jego nawet najdziksze, wzrost i mowa olbrzymia, wstręt do niego czyniły. — Czekając długo obiadu, do czego nie przywykł, kiedy stałem przy nim, a garderobiana Witosławskiej koło nas przechodziła, on rzecze do mnie: wolałbym tę klucznicę, niżeli kiedyś obiad Witosławskiego; kiedy tak się tłumaczył miał natenczas około lat 70. Ten mój sąsiad dla bawienia wielkich swoich gości zaprosił i innych sąsiadów naszych, a między wielą Bąkowskiego z piękną żoną jego z Komorowskich, ludzi majątnych i przymuszonych hrabiów galicyjskich, bo zawsze mawiał Bąkowski, że darowałbym był Niemcom 12 tysięcy, co mu kazali, przymusiwszy go być hrabią. zapłacić od przywileju. Poznałem wtenczas skłonność księcia generała, że lubił piękne kobiety i cały dzień

bawił się z Bąkowską, ale jakiż sposób człowiekowi, mającemu oczy, nie lubić, kiedy co piękne. Ksiązę wyjeżdżając do Witosławskiego, zaprosił mnie do Brzeżan, dóbr ojca swojego, gdzie kilka dni zabawić się miał. Miasto Brzeżany, dawna siedziba Sieniawskich po ostatniej z domu matce ks. Czartoryskiego w dom Czartoryskich przeszło. W tem porządnem mieście mieszkał kreishauptman austriacki; późno już przyjechałem do Brzeżan i aż nazajutrz z rana księcia widzieć mogłem. Krajshauptman czekał także przed pokojem z inszemi gośćmi, chcącemi widzieć księcia; ubrany był natenczas urzędnik powiatowy cudackim sposobem: miał w obydwóch lokach włosów przy uszach kwiaty gwoździkowe i takiż kwiat trzeci żuł w gębie; kiedy się ksiązę pokazał, krzykliwym głosem witał go po niemiecku długą perorą. Na co mu ksiązę kilką słowami odpowiadawszy, i ze mną się najgrzeczniej przywitał, wyszedł na dziedziniec pałacu, gdzie komisarz ojca jego wojewody ruskiego, Daszkiewicz, pokazał mu chłopców kilkunastu w kajdanach, którzy zobaczywszy księcia, na twarz popadali i komisarz powiedział, że to są zbiegowie z dóbr inszych księcia wojewody jarosławskiego, którzy z żonami, dziećmi i dobytkiem uciekali lasami na Wołoszczyznę, a postrzeżeni, w tym komisaryacie brzeżańskim doniesieni, schwytani są.

Kiedy komisarz tym raportem swoim spodziewa się, że ksiązę generał chłopców zgromi i karać każe, przeciwnie wszystko się stało. Ksiązę chłopom, leżącym na ziemi, powstać kazawszy, rzecze im: „Kiedy wam pod ojcem moim żyć było ciężko, świat dla was wolny jeszcze, pójdźcie, gdzie tylko zechcecie, ja za was ojcu mojemu odpowiem,” a WPan, panie komisarzu, daj z tych ludzi każdemu po dwa talary na drogę; zdziwili się wszyscy na takie najlepsze serce księcia generała, ale chłopci ze łzami wołać zaczęli: nie porzucimy cię, dobry ksiązę, tylko

nas przenieść kaź z Jarosławszczyzny, gdzie pod tyrańskim komisarzem tamtejszym wytrzymać nam niepodobna. Stało się jak oni żądali i książe swoim kosztem budować ich w brzeżańskim komisaryacie rozkazał. Po tem dziele na wstępie moim do księcia najpiękniejszym, rozkochałem się prawdziwie w tym panu, tem mocniej, im mniej znalazłem panów cnotliwych i czujących nędzę ludu ubogiego.

Książe, jako także literat, po obiedzie wziął mnie do swego gabinetu i czytał mi dzieło swoje w manuskrypcie, świeżo przez niego napisane, o edukacji płci żeńskiej. — Jak było to pismo warte, tak szczerze po skończonem czytaniu dawałem mu pochwały, ale wyraz w początku pisma tego, który był taki: „Daruj mi, piękna płci niewieścia, jeżeli co przeciwko tobie w piśmie tem powiem, wszakże kiedy to piszę dla prawdy, też sama prawda, która jak i wy kobiety, równie niewieściego rodzaju jest, niech was przeprosi;“ ten wyraz nie podobał mi się i powiedziałem księciu, że nie zdawałoby mi się, ażeby w tak poważnej materji, jak było pismo to, w edukacji kobiet mieszać obserwacye gramatykalne, że i prawda tego rodzaju białogłowskiego. Zimno to od księcia przyjęto było, że panowie nie przywykli, ażeby im się sprzeciwiać, wszelako najgrzeczniejszym był dla mnie zawsze przez kilka dni bawienia mego w Brzeżanach, nawet dać mu słowo musiałem, że przyjadę do niego do Warszawy.

Jakem powrócił do domu, moi sąsiedzi winszowali mi łaski księcia, ale mój werydyk, stolnik Piasecki, nazywał to pogodą marcową, która niedługo trwać mogła. I kiedym ja się do Warszawy z wolna wybierał, on mi bardziej radził, ażeby z nim jechał w Mozyrskie, gdzie miał swą część dziedziczną, twierdząc najpewniej, że tam lud leśny daleko lepszy od ludu warszawskiego.

Tymczasem, przyjechawszy do Lwowa, moi przyjaciele radzili mnie, ażeby, umiając cokolwiek

prawa naszego, a nie źle pisząc po łacinie, jak w tym języku wszystkie sądy w stolicy odbywały się, przysiągł na patrona w guberskiej kancelaryi, co mi zyski wielkie przynieść miało; jakoż Wolański i Dzieszkowski, patronowie, wielkie potem zebrali pamiątki, bo do milionów poprzychodzili, ale ja śliską tę drogę jeszcze pod Niemcami odrzuciłem i widząc, że wyżyć mogę, spokojną pomierność nad zyski zgryźliwe albo niesumienne obrać wolałem.

Kiedy jeszcze z drogą warszawską ociągam się, odebrałem list od księcia generała, zapraszający mnie do siebie i ofiarujący mnie sekretaryą interesów politycznych przy boku swoim. Zostawiłem dzierżawę moją Dobrowody w rękę siostrzana mego (bo Piasecki to też mi doradził), żeby dzierżawy tej nie odstępować, że przyjdzie czas (co mu się zgadnąć udało), że porzucę Warszawę i znowu do Dobrowód powrócę. W tej drodze im więcej ku Warszawie zbliżałem się, tem więcej lud prosty wycywilizowany widziałem, nie żeby rozumu naturalnego nad nasze pospólstwo galicyjskie mieli więcej, ale że mniej przesądów, jak na przykład nikt naszym obywatelom galicyjskim wyperswadować nie mógł o niepewności przepowiedzeń kalendarzów; chłopci zaś tam tak wierzyli w pełnię miesiąca, że wszystkie zachody gospodarskie, które rozpoczynali na pełni, powinny się koniecznie udać. O czarowaniu najuporniej wierzyli, a tęcza u nich, pokazująca się na obłokach, zawsze pić z rzeki albo jeziora musiała, i dopiero zbliżając się ku Warszawie, już tam tęcza ani jadła, ani piła.

Wjechałem nakoniec w stołeczne narodu polskiego miasto w roku 1780, gdzie w domu księcia Adama Czartoryskiego G. Z. P., jako łaskawie zaproszony, tak i przyjęty byłem, po kilku dniach przez księdza Naruszewicza, natenczas koadjutora biskupa smoleńskiego, na rozumnym (jak nazywano) obiedzie królowi prezentowany byłem, który mi powiedział: Waćpana sielanki we Lwowie drukowane, dawniej

go nam zalecili, kochanek Justyny będzie i w Warszawie kochany. Kazano mi siedzieć i słuchałem tłumaczenia pięknej ody Horacyusza do Postuma, którą ja także przetłumaczyłem.

W pałacu księcia Czartoryskiego wkrótce był dzień smutny, z obchodzenia rocznicy śmierci księżniczki Teresy Czartoryskiej, z której okoliczności napisane wiersze moje, powszechnie podobały się, a najwięcej zjednały mi łaski księżnej, matki tej zmarłej nieszczęśliwie. Grzejąc się bowiem księżniczka Teresa przy kominku, zapaliły się jej suknie, i mimo przytomnych w pokoju wielu kobiet, z których jedna z przestrachu zemdlona, insze zaś przytomność potraciły, biegając przelekniona, tembardziej jeszcze rozżarzała na sobie płomień; przygaszony nakoniec ogień na księżniczkę, ale mniej może z oparzelizny, niżeli z przestrachu w malignę wpadłszy, po kilku dniach umarła.

Ojca nie było w domu, i kiedy po dwóch dniach powraca do Warszawy, w bramie pyta się szyldwach, coby w mieście słyhać było? a ten odpowiedział, że księżniczka jakaś, Teresa Czartoryska, spaliła się; z początku wierzyć nie chciał, wszelako przybiegłszy prędko do pałacu swego, poznał tam z łez powszechnych, że rzadko na świecie trafiający się przypadek na dom jego trafił.

Księżę generał podolski już był назначony marszałkiem trybunału litewskiego i niżeli z nim na pierwszą grodzieńską kadencją wyjechałem do Litwy, miałem czas przez kilka niedziel przypatrzyć się Warszawie, zresztą, co mi o niej poczciwi ludzie Witosławski, obożny koronny, i Borzęcki, marszałek dworu księżęcego, powiadali, potem przez kilkanaście lat tamże mieszkając, wszystko znalazłem prawdą.

Król miał oblicze szanowne, serce najlepsze, wiadomości rzeczy wielkie, grzeczność w obcowaniu nadzwyczajną, wymowę niepospolitą, ale raz w czyn-

nościach tak słaby, że sam prawie nigdy nie wierzył i dlatego radząc się drugich, każdy według interesu swego przeciągał go w stronę gdzie żądał. Nie to mi, nie to rozum, co pięknie mówi, ale co rzadnie czyni, pierwszego z czytania książek i obcowania z ludźmi rozumnymi nabyć można (i toby się bardziej pamięcią niżeli rozumem nazywać powinno), drugie sama natura daje, albo umyka. Wolał często zniżyć się niżeli podnieść, ażeby się nie podał w niebezpieczeństwo; wolał fałsz niżeli prawdę, ażeby się większej liczbie fałszywych nie naraził. Lubił pochlebców i pozbo-gać pochlebiających wtenczas, kiedy człowiek prawy w ubóstwie pod oczyma chodząc, próżno się wsparcia spodziewał, jako te owe wiersze na sławnego natenczas, a pierwszego w kraju Lachowskiego, kaznodzieję królewskiego potwierdzają:

Lachowski prawdę mówił, jest tylko plebanem,
Naruszewicz pochlebiał, biskupem i panem.

Życie króla rozpustne zepsuło Warszawę i osłabiło śluby małżeńskie, a piękniejsze kobiety w mieście dawały sobie tony większe, niżeli należało, bo każda z nich, wspomniawszy, że była czasem królową, chciała potem zawsze wielowładnie rozkazywać, co tylko przez noc panowała. Rozpusta miasta Warszawy do tego stopnia przysła, że w mieście tem (śmiało powiedzieć można) 10 razy więcej rozwodów było, niżeli w Polsce i Litwie całej. Nawet już w zwyczaj między możniejszemi przy pisaniu ślubnych intercyz weszło, ażeby się któraby strona rozwodzić chciała, to drugiej pewną sumę płacić obowiązana była.

Mimo tych wad królewskich, miał on (jak w tym wieku zepsutym rzadko) najmocniejszą religią i w kilka lat potem sam to słyszałem, jak u siostry swojej Branickiej, kasztelanowej krakowskiej będąc,

kiedy o darowaniu krzywd bliźniemu mowa była, on ze łzami w oczach powiedział: Moja siostró, ja w pacierzu szczerze te słowa wymawiam: i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Taki był król w Polsce, ale gorsi daleko magnaci kraju, pycha ich daleko większa była od nich, i byle sobie dogodzić, wszystkie prawa Boskie i ludzkie gotowi byli podeptać; zabójstwo, krzywoprzysięstwo, kradzież skarbu publicznego, albo odebranie gwałtowne majątku słabszego obywatela, takie zbrodnie za nic pospolicie u nich wazone, a takimi drogami idąc, stali się potem nieszczęśliwymi, bo szczęśliwymi być nie umieli. Poddanego wieśniaka równo z bydłkiem kładli, mieszczanina w ostatniej pogardzie mieli, równego nakoniec sobie szlachcica, tylko dlatego, że ubogi, upodlili, — i z tego to upodlenia poszły te zwyczajne w kraju w obcowaniu z panami wyrazy, „upadam do nóg“, „całuje nogi pańskie“, „niegodny podnózek“ i tym podobne i może nieznanie w całej Europie, które wydając wyniosłej kiedyś duszy Polaka poniżenie, z upodleniem nawet ojczyznę utraciliśmy naszą.

Ale z tego powszechnego magnatów zepsucia wyjąć potrzeba niektórych wartych lepszego wieku narodu, takim był znany ze wszech miar August książę Czartoryski, wojewoda ruski, po którego wkrótce nastąpionej śmierci, dobrze Sztakelberg, poseł rosyjski, powiedział, że po zgonie Czartoryskiego nie ma teraz przed kim w Warszawie zdjąć kapelusza. Takim był zięć jego Lubomirski, marszałek w. k., takim syn Adam Czartoryski, g. z. p.; Stanisław Małachowski, referendarz kor.; Ignacy Potocki, marsz. lit.; Czapski, wojewoda chełmiński; Radziwiłł, kasztelan wileński, i kilku innych. Reszta magnatów podobni do księcia Ponińskiego, podskarbiego koronnego, nietylko ojczyznę, ale i siebie samych przedawali więcej dającemu.

Księża po większej części zepsuci, psuli razem lud sobie powierzony, a naczelnicy ich, biskupi, publicznie trzymając nałożnice, ośmielali niższych, ażeby szli takąż samą, słodką wprawdzie, ale najbrudniejszą drogą. Wyjąć wszelako z pomiędzy liczby ich należy: Szembeka, połockiego; Okęckiego, poznańskiego; Cieciszewskiego, kijowskiego i ze dwóch może jeszcze biskupów, którzy ani do zgorszenia owieczek sobie powierzonych, ani do zguby i frymarków na ojczyznę swoją nie przyczynili się.

Szlachta po województwach, na zawołanie magnatów przedała, wszystko, czego tylko ci żądać mogli, robiła. Ztąd sejmiki i sejmy według układów pańskich odbywały się, i ten, który ustawicznie i upadał do nóg, i całował nogi pańskie, nie miał czasu i serca do usłużenia nieszczęśliwej ojczyźnie swojej.

Miasto Warszawa w nierządzie i bez znaczenia żadnego, chociaż kilkadziesiąt tysięcy samego pospólstwa mające, nie mogło się podnieść pod ciężarem uciemiężenia i niesprawiedliwości, i chociaż król wszelkimi sposobami przeskadzał, bo zapomniał myśleć (jak ojcowie jego) o dobru ojczyzny swojej, ale tylko o poprawienie losu swojego ubiegał się, i ta miłość dobra własnego, sposób nawet myślenia w kraju naszym odmieniła, że ten, który najwięcej ludzi oszukał, pospolicie o nim mówiono: „ma rozum.“ Wyjechaliśmy na kadencją trybunalską do Grodna z Warszawy z dworem księcia ogromnym, którym pocziwy marszałek Borzęcki rządził. Ale książę przed wyjazdem naszym do Łwów, pokojowców 12 z samej pięknej szlacheckiej młodzieży pod rząd mój oddał, dawszy mi razem urząd sekretarza interesów politycznych, kiedy kolega mój, Zawistowski, był sekretarzem interesów ekonomicznych, a trzeci, Skowroński, zagranicznych.

Wjazd do Grodna i rozpoczęcie wkrótce trybunału litewskiego, którego był marszałkiem książę, był

najokazalszy, a gości liczbę niezmierną niezabawem powiększył bytnością swoją Archetti, nuncyusz apostolski z Warszawy, umyślnie przybyły. Ale nie tem okazałość laski Czartoryskiego słynęła: prócz tego, że był kochanym i szanowanym od obywateli, jako mający w sobie krew dawnych litewskich Jagiellonów, słynął on sprawiedliwością najprzykładniejszą. Ojciec księcia, wojewoda ruski, przegrał sprawę pod laską syna, i na 6 niedziel więzy cywilnej dekretowany, za co wkrótce ojciec mu napisał list najpiękniejszy, dziękując za tę sprawiedliwość, która chwałą obydwoh będzie; przegrał sprawę kanclerz litewski, Sapieha, przyjaciel księcia i ten tak wysoki magnat za uciemżenie trzech szlachty ubogiej na niedziel 18 więzy skazany. Tyzenhauz, niedawno despotycznie Litwą rządzący, za wiele gwałtów dekretem upokorzony, upadł i już nigdy powstać nie mógł. W czasie tej laski w Grodnie, następujące wiersze napisałem... na wjazd księcia Czartoryskiego na trybunał: „O wielkości Boga i nikczemności człowieka,“ które jeszcze w manuskrypcie księciu pokazane, bardzo się mu podobały, ale przypisanie ich królowi niemiłem było, bo go nie lubił, dał mi to sam poznać. Wszelako ja w kilka niedziel kazałem z przypisaniem razem królowi wydrukować, co mi zaraz przywiązanie księcia osłabiło. Napisałem prócz tego: „Głos zabitego do sądu,“ z okoliczności sprawy w trybunale będącej, Kaszyca, który zabił synowca swego. Te wiersze na namowie siedzącym sędziom przez Kossakowskiego, deputata kowieńskiego, oddałem, i skutek swój miały; kiedy przekupiwszy większą połowę trybunału, Kaszyc prawie był pewny uwolnienia od więzy, przestrzeżony od przychylnych sobie z Grodna, uciekać musiał winowajca, gdyż na niego ułożona była kaptuwacya — i wiersze prócz wyższych okoliczności z czasów Czarnieckiego, które książę wielu fireykom często czytywał, wykwintnie ubranych, upokarzał. — Podczas tej kadencji sądeni

byli na gardło dwóch szlachty, którzy napadłszy w lesie obywatela, w nadziei zastania u niego pieniędzy (na czem się oszukali), zabili go. Jeden z tych winowajców zmierzwszy do obywatela, na panewce mu tylko pistolet spalił, ale drugi wystrzelił i zabił, wszelako obydwu na ścięcie głowy przeż kata dekretowali! kiedy ich zawołano do słuchania na siebie dekretu, żal nam było jednego z tych winowajców, młodego człowieka, pięknego z oblicza, a był ten, który nie zabił, książę żałując także tego młodego człowieka, umówił się z deputatami, że odmienili wyrok na niego i tylko więzieniem do śmierci w Kamieńcu podolskim, chcieli nie żeby tam zamknięty w katuszy siedział, ale tylko za bramy fortecy nie wychodził; książę zaś przyjął na siebie odziewać go i żywić do śmierci najwygodniej. Nazajutrz posłał mnie książę do więzienia winowajców, ażeby jednemu z nich opowiedział litość księcia nad nim i trybunału; zdziwiłem się, że żadnym sposobem namówić się na to nie dał, ażeby się przy życiu utrzymał, skutek to był pewnie religii, bo już był przygotowany przez księży na śmierć i na wszystkie moje przekonywania go, zawsze mi jedno odpowiadał: ja grzechy moje we krwi mojej obmyję; drugi zaś winowajca ciekawie mnie wypytywał: „czy też o mnie co także książę nie wspominał,“ i widać było, że gorąco życia swego pragnął. W dniu naznaczonym, kiedy ich na plac śmierci prowadzono, ten pelen religii winowajca nie szedł, ale biegł do śmierci, że kat aż go musiał zatrzymywać i prosił, żeby pierw przed swoim towarzyszem był ścięty, co się i stało.

Między inszymi, z którymi się w Grodnie zaprzyjaźniłem, był Zalewski, wojski litewski, człowiek najwymowniejszy w Litwie; drugi był Karol Prozor, wojewodzie witebski, a tego charakter serca najlepszy i przywiązanie do swojej ojczyzny, o nim niżej jeszcze nadmienię.

Po dziesięciu leciech naród cały na drugą kadencją trybunałską przeniósł się do Wilna, która zaczęta z największą i powszechną wesołością, ku końcowi smutniejszą była, z przyczyny śmierci księcia wojewody ruskiego, ojca księcia marszałka.

Nie widziałem syna czulszego na śmierć ojca, jak był książę, rzewnie, niczem niepokieszony, kilka dni płakał; kobiety nawet, które lubił, pocieszyć go niemogły, bo z niemi i gadać nie chciał. Tak w przywiązaniu do ojca skłonność mocniejsza była nad podniety natury samej. Kiedy on mnie posłał z doniesieniem tej smutnej nowiny podług etykiety do znaczniejszych w Wilnie w ten czas mieszkających, przyjechałem do domu pięknej i młodej pani, z domu Radziwiłłówny, a tę zastawszy z odkrytymi zupełnie piersiami, które zasłonić, zobaczywszy mnie, nie chciała, smutny do niej od księcia zaczawszy komplement, roztargniony pięknymi piersiami, skończyć go nie umiałem; tak to znowu żal cudzy nie miał tyle siły, ażeby się oparł wzruszeniu piękności obaczonej. Tą kadencją, prócz surowej sprawiedliwości, wszędzie zwyczajnej księciu, wslawił się wzięciem w areszt księdza złoczyńcę Ogonowskiego. Był ten zbrodniarz urzędnikiem województwa wileńskiego, koniuszym, miał żonę i dzieci, po której śmierci, bardziej się jeszcze się wylał na kryminały, kradł, rozbijał, oszukiwał, aż wreszcie do sądów szlacheckich pozwany, na śmierć przez kata osądzonym został. Uciekł z więzienia kilką dniami przed egzekucją, za biskupa wileńskiego wdaniem się przez biskupa żmudzkiego na księdza w kilku dniach poświęconym został, bez żadnych poprzedzonych zwyczajnych do stanu tego przygotowań. Zdalo się Ogonowskiemu, że jako kapłan, wolnym już będzie od miecza katowskiego, na który był dekretowany, ale książę na kadencji wileńskiej złoczyńcę łapać kazał, i dowiedziawszy się, że w Wilnie na Antokolu u Trynitarzy skrycie siedzi, klasztor kilkuset żołnierzom opasać kazał, nikogo nie wypu-

szczając, że wreszcie Ogonowski tamże dostany, pod areszt do pałacu księcia sprowadzony był. Nazajutrz sprawę jego przez trybunał rozważono i sędziowie wszyscy zgodzili się, żeby według dawnego wyroku na niego dekretu wileńskiego, przez kata śmierć poniósł.

Kiedy tak trybunał umówił się, po obiedzie dwóch sufraganów od biskupa wileńskiego do pałacu księcia przyszedli i imieniem biskupa swego oświadczyli księciu, że ponieważ aresztowany Ogonowski jest istotnie kapłanem, a zatem zwierzchność świecka niema żadnego prawa z nim postępowania dalej, i jeżeli wydanym swojemu biskupowi nie będzie, kłatwą księciu i trybunałowi pogrozili.

Książę sufraganom krótko odpowiedział: że kłatwa Ogonowskiemu życia nie powróci, kiedy jutro na śmierć dekretovanym będzie; ale nazajutrz znaleźliśmy księcia odmienionego, bojąc się, ażeby król, nie lubiący go i od niego więcej jeszcze nielubiony, zniósłszy się z księżą, jeżeliby ta egzekucja do skutku przyszła, nie narobił mu kłopotu i kosztów wiele, namyślił się odesłać tę sprawę do Warszawy, jakoż wkrótce biskup łucki, Turski, i kilku z nim księży asesorów do tej sprawy naznaczonych, przybyli z Warszawy i Ogonowski na więzienie tylko do śmierci u Kartuzów w Berezie osądzony; ale niżeli on z Wilna wyjechał, kazał mu trybunał złożyć stan majątku swojego, z któregooby przez niego pokrzywdzeni zaspokojonymi być mogli.

Zdziwiono się, kiedy pokazał skrypt księcia Massalskiego biskupa wileńskiego, który takim sposobem i obrotem ten zbrodniarz u siebie zatrzymał: po ucieczce z więzienia (jak się wyżej rzekło) przybiegł do biskupa wileńskiego, ażeby go na księdza poświęcił, — kiedy już inszego sposobu ratowania życia nie było, a za to obiecał biskupowi wrócić skrypt na 160,000 złt. pożyczonych u Ogonowskiego, i tenże skrypt oryginalny biskupowi pokazał

i zaraz go w zanadrze schował; dał się uwieść biskup, obiecując mu pewnie wyświęcić go na księdza, a Ogonowski, mając drugi podobno zwiniony i z wierzchu zapisany papier, już na to przygotowany, dobył z zanadrza papier fałszywy, i w oczach biskupa na pałacy się ogień w kominie rzucił, a skrypt prawdziwy schowany, potem przed sądem złożył.

W czasie tej kadencji na dzień urodzin księcia Czartoryskiego „o powinnościach obywatela,” napisane odemnie do niego wiersze, zjednały mi łaskę jego, ze mną nie już jak ze swoim sekretarzem, ale jak z przyjacielem najpoufalej postępował, w najlichnijszych u siebie zgromadzeniach najgrzeczniej ze mną rozmawiając, co zaraz (jak pospolicie bywa) i przytomnych grzeczność dla mnie obudziło, że kiedy odemnie książę odstąpił, wnet pierwsi obywatele ze mną bawić się chcieli.

Niedługo jednak ta moja trwała uroczystość; przysłała z Warszawy mowa drukowana, którą król miał na rozpoczęciu towarzystwa ksiąg elementarnych. Ja późno przyszedłem na pokój, że ta już mowa czytana była, i przytomni za zdaniem o niej księcia, że była najgorszą, wszyscy ją najgorszą uznali. Wchodzącego mnie do pokoju książę okrzyknął: „Otóż sędzia przyzwoity: patrz, jaką to mowę król miał do towarzystwa!” Kiedy mowę tę przeczytałem, spytany od księcia, co by mi się zdawało, odpowiedziałem (jak mi się zdało), że była dobrą. Książę się odwrócił, a faworyt księcia, sekretarz Skowroński, przybiegł do mnie i rzecze: „Bój się Boga, książę i my wszyscy już tę mowę ganiliśmy, a ty ją chwalisz?” Odpowiedziałem mu, że ja lubię mówić jak myślę. To zdarzenie oziębilo do mnie księcia, który już ze mną tak poufale, jak dawniej, nie przedstawiał i wszyscy też mnie porzucili, że ledwie słowo kto do mnie przemówić chciał. Tak w duszy mojej żałowałem księcia, że będąc ze wszech miar cnotliwym, lubił wszelako, ażeby mu pochlebiano, ale nie

żałowałem siebie, że chociaż prawdą idąc na świecie, jak mnie konający ojciec przestrzegał, nie poprawiłem losu mojego, przynajmniej spokojności mojej wewnętrznej nie zamieszałem.

Miedzy wielu obywatelami litewskimi, z którymi w Wilnie poznałem się, był: pan starosta wileński, człowiek ze wszechmiar zacny, którego nigdy niczem nieprzełamanej cnoty winienem to wspomnienie, ale poznałem tam i kolegę w sztuce poezyi, księcia koniuszego litewskiego Radziwiłła, który mnie marnemi wierszami swojemi nietylko w Wilnie najczęściej nudził, ale po 2 latach rozstania się naszego swoich wierszy mnóstwo aż do Galicji, gdzie już mieszkalem o 130 mil od niego, przysłał i za każdym razem wydatku na pocztę po kilkanaście złotych przyczyną był.

Skończyła się nakoniec kadencya wileńska i książę pierwaj, a potem my, dwór, powracając do Warszawy i przez Litwę jadąc, poznałem się z tobą, najenotliwszy człowiecze, Janie Stryjeński, szefie byleż gwardyi konnej litewskiej; on powierzechownie nie pokazuje tej cnoty, której pelen, bo ją pokrył farbą zwyczajną świata, ażeby go tak nie uważano, majętny a skromny, niby groźny, a litośny, nieżalujący potrzebnego wydatku, nierozrutny, robiący wiele dobrego, nigdy o tem nie mówiący, oto twój obraz, zacny mój przyjacielu.

Na sławę cnot tego człowieka starałem się z nim poznać i umyślnie w domu jego do Czarnołuz w Brzeskim przyjechałem, gdzie najlepiej przyjeły, kilka kilka dni bawiąc się, znalazłem więcej, niż o nim powiadano dobrego, bo tego umyślnie szukałem. W domu tym bawiąc, jedna obywatelka z przytomnych gości, rozśmieszyła nas przesadnem gadaniem swoim; z tej okoliczności szef Stryjeński powiedział mi o przesadnem tłumaczeniu się w sąsiedztwie jego przed 10-ciu latami zdarzoną anegdotę następującą: Obywatelka Rdultowska, wdowa, prosiła rektora

szkół słonimskich, ażeby jej kogo zdatnego do edukacji dzieci w domu na dyrektora przysłał. W kilka niedziel przychodzi w czasie obiadu wysmukły, nieźle ubrany młodzieniec, pani domu, nie znając go, prosiła, ażeby zjadł obiad; odpowiedział: „jadłszy;“ prosi, ażeby kieliszek wina wypił, odpowiedział: „piwszy;“ prosi na koniec, ażeby usiadł, odpowiedział „siedziawszy;“ przychodzi jej na pamięć, czy to nie będzie ów dyrektor ze Słonima, szkolarz, kiedy go jeszcze zapyta, czy nie ze Słonima przyjechał waćpan? Tak jest, przysłał mnie tu ksiądz rektor słonimski, ażebym się z jejmością postanowił na dzieci.

Powróciwszy do Warszawy, wydałem pismo o wymowie w prozie albo w wierszu, które królowi i bratu jego prymasowi tak podobało się, że przysłali do mnie Gwintofta, sekretarza komisji edukacji, ażebym według prawideł, w temże mojem piśmie wyrażonych, napisał książkę prelekcyi na wymowę dla szkół narodowych; przyjąłem z ukontentowaniem pochlebne to dla mnie poselstwo, kiedy razem za pracę, którą miałem pisać to dzieło podjąć, ofiarowano mi 300 dukatów. Ale po kilku dniach ksiądz Grzegorz Piramowicz, członek towarzystwa ksiąg elementarnych, prosił mnie, ażebym odstąpił pisanie o wymowie, gdyż on od kilku lat, zbierając rzeczy, przydatne do dzieła o wymowie, już zaczął pisać tę książkę dla szkół narodowych. Odstąpiłem niechętny mego do tej pracy wezwania, kiedy i inisi za nim do mnie interesowali się. Czekano wydania książki Piramowicza więcej dwóch lat, a potem wyszła w samych cytacjach autorów, jak dawnych, tak i późniejszych, bez wytknięcia w niej uczącym się, jak mają poznać piękność wymowy, pokazać ją uczniom, w których ona wyrazach wydaje się najbardziej, te i tym podobne pożyteczne wyluszczenia opuściwszy, na książkę elementarną dosyć była duża. Przysłał mi ją autor z listem swoim, któremu odpisałem, żeby mi da-

rował myśl moją, że wieleby jeszcze do jego książki przyczynić należało, ażeby była krótsza.

Książkę oddał mi do zawiadywania bibliotekę swoją sławną w Warszawie, a mając pod rządem swoim 12 pokojowców, z nimi we dwóch tygodniach skończyłem ułożenie jej, porządkiem najlepszym, z napisaniem katalogu tych ksiąg porządnego, ale według pokazanego mi dawnego katalogu, wiele ksiąg nie dostawało, najbardziej środkowych tomów Voltera, Roussa, encyklopedyi, co kiedy książkę odemnie usłyszał, sekretarza Skowrońskiego sfukał publicznie, a ten faworyt pański, urażony na mnie, gdy książkę wyszedł, rzecze mi ostro: „Nie wszystko to, kochaneczku, przed panem na nogi stawiać.“ Jam go publicznie z tym wyrazem „kochaneczku“ do lokajów odprawił, z którymi te konfidencye mieć może, a ja takich jak on, nigdy nie będę „kochaneczkiem.“ To moje ostre obejście się z faworytem przyczyną było, że i książkę za jego poszeptaniem ostygł pomалу dla mnie, i tak ja powiedziawszy, że Skowroński książki potracił, straciłem łaskę księcia, a Skowroński, że je w samej rzeczy potracił, został się przy niej i poznałem to wkrótce, że mnie się zbyć chciano, gdy raz mi książkę powiedział: „Kiedy powrócisz do swojej Galicyi, cóż tam będziesz o Warszawie i domu moim gadał?“ — Będę gadał, że książkę niema żony. Jakto, odezwie się książkę? Oto (odpowiedziałem) więcej roku bawię w domu księcia, zdaleka mi tylko pokazywano i powiadano mi, że to księżna, ale ani u stołu nigdy nie była, ani ze mną, ani z nikim z naszych gadającej jej nie widziałem.

Nazajutrz pokazała się na sali księżna i z pół godziny ze mną rozmawiała; winszowano mi tej łaski, kiedy ta pani, pełna rozumu, znajomości świata i wielkich talentów muzyki, śpiewania, w tym czasie nie chciała się ludziom udzielać i w osobności największej żyła po śmierci okropnej, Teresy, córki swojej. W tym roku książkę obranym był (jak chciał)

posłem z wileńskiego na sejm, gdzie jak prawdziwy obywatel stanął między posłami; dany raz był u księcia wielki obiad dla wszystkich senatorów i posłów litewskich, na których poznałem pierwszy raz księcia wojewodę litewskiego Radziwiłła; pan ten przyjacielem był prawdziwym narodu i szlachty, a nie magnatów, o których wiedział, że za pieniądze rosyjskie kupieni, wszystko przeciw ojczyźnie zrobić byli gotowi. Dobrze on zawsze trzymał o Czartoryskim, dlatego na ten obiad w tłumie innych Litwinów przyjechał. Czyniono mu pierwsze honory jako pierwszemu senatorowi litewskiemu, o co on zdawał się nie dbać, i kiedy po obiedzie księżna na pokoje z nim przysłała i razem dała wielki orszak, kędy obaczywszy go kobiety, księżna go zapytała: Jak też wiele rzeczy kosztownych i ciekawych mógł wywieźć z zagranicy, tak długo tam bawiąc się? Krótko odpowiedział: „Wywiozłem z zagranicy klejnoty, od których ledwie mnie tu fелczery uwolnili.“ Zaraz go damy wszystkie poporzucały, a mężczyźni otoczywszy go, bawili go jak mogli. Lubił on niezmiernie zmyślać, powiadał nawet wtenczas, że koresponduje z Rusiem i Wolterem, i kiedyśmy mu powiedzieli, że już oni dawno pomarli, odpowiedział: Zapewne listy na poczcie zaległy, bo kilka ich świeżo odebrałem. Mimo tej wady małej zmyślenia, gdyby ten pan miał tyle rozumu, ile serca, najlepszego w każdym zdarzeniu, możebyś, ojczyzno moja, nie była upadła. On prawdziwie zapomniałszy o zdrowiu i majątku swoim, robił wszystko, jakby nieszczęśliwą ojczyznę poratował, naraził dobra i bogate domy swoje na rabunki, był długo tułaczem za granicą, jako i dawniej w czasie konfederacji barskiej, nie dla pychy jakiej, nie kontent wtenczas z króla Poniatowskiego, ale dla bojaźni wpływu przyszłego (jak się z czasem dla potwierdziło) rosyjskiego; nie tak myślał kasztelan natenczas, a teraz wojewoda wileński, Michał Radziwiłł, który cały rosyjskie pensye biorąc od nich, im

wiernie służył i do upadku ojczyzny przyczynił się. Chociaż w niewinnych rzeczach wojewoda wileński zmyślać lubił, ale oddawał sprawiedliwość każdemu, prawdziwą drogą idącemu; i tak, kiedy ksiązę, marszałek trybunału lit. Czartoryski, pókieszzonego Ogonowskiego złapał i więził, biskup wileński, rozgniewawszy się o to, wyjechał z Wilna, i w Nieświeżu u księcia Radziwiłła bawił natenczas, kiedy na święty Karol, w dzień imienin księcia, przyjechał od Czartoryskiego dworzanin z winszującym listem także do Nieświeża, publicznie u stołu dawał pochwały Radziwiłł Czartoryskiemu z najprzykładniejszej pod laską jego sprawiedliwości. Nie mógł znieść tych pochwał Masalski, biskup, jako nieprzyjaciel Czartoryskiego, i rzecze: „Jakaż to sprawiedliwość, pomazańca Bożego gwałtownie i bezprawnie chwytac i więzić?“ Radziwiłł na to: „Jabym i biskupa powiesił, gdyby był takim złodziejem, jak Ogonowski.“

W tym czasie bawienia u Czartoryskiego, poznałem się lepiej z Książninem, który dawniej był sekretarzem u księcia, a wtenczas tylko w domu jego bawił. Pisywał on wiersze, ale czy to szkolnej przysady pełne, nie wszystkim podobać się mogły; poprzyjaźniwszy się z tym poczciwym człowiekiem, radziłem mu, ażeby więcej prostej a tkliwej natury w wyrazach swoich szukał, a pisma jego powszechnie i zawsze podobać się będą; bo co tylko dawniej przed Rzymianami Grecy, albo za starych Rzymian tkliwy Wirgili albo Horacyusz napisał, dotychczas za piękne pospolicie uznajemy. Usłuchał rady mojej Książnin i tym sposobem napisał: „Żale Orfeusza nad Eurydyką,“ które wiersze między dziełami jego, z druku wyszłemi, zapewne na czele położyćby można.

Bywał często w domu książąt Józef Szymanowski, którego powszechny szacunek w Warszawie z życia cnotliwego pięknych jego poezyj, zwłaszcza kościół Wenery w Knidos i mnie z nim poprzyjaźnił

Nikt nadto nie pochwali grzeczności jego dla wszystkich i w zepsutej Warszawie obyczajów jego nieskazonych.

Nie samą moją prawdą powiedzianą czasem narażenie się księżęciu Czartoryskiemu, ale cichego nieprzyjaciela mego w tym domu Skowrońskiego podlegania, osłabiły przywiązanie tego pana do mnie; raz mi on oświadczył, że książe wojewoda wołyński, Sanguszko, prosił o to, ażebym z synem jego chciał jechać za granicę; przykro mi było słyszeć to od księcia, bo kochając go prawdziwie, żyć już przy nim do śmierci chciałem. Wszelako widząc, że on dwór swój i mnie też między innymi odprawić żąda, poszedłem widzieć się z Sanguszkim, który, chociaż zyskowną dla mnie roczną ofiarował pensję, a po skończonym 4-roletnim wojażu wieś na Wołyniu, do ośmiu tysięcy intraty czyniącą, dożywociem zapisywał, żal mnie objął, że stracę ulubionego pana, księcia Czartoryskiego i odmówiłem Sanguszkowi.

Książe Czartoryski zdawał się być kontent, kiedy mu żal mój i przywiązanie do niego opowiadał, które nad zyski największe dla mnie przekładałem. Ale w kilka niedziel znowu potem książe proponuje mi drugie miejsce u drugiego Sanguszki, marszałka litewskiego, i przynajmniej prosi, ażebym do babki dziecięcia Sanguszkowej marsz. lit. pojechał. Jużem wyraźniej zrozumiał, że Czartoryski zbyć się mnie z domu żądał, ale serce moje, które się do niego przywiązało, jeszcze mocniejsze było od rozumu. Gdy się obaczył z starą Sanguszkową, z tą kobietą, którą w Warszawie dziekanową pań nazywano i która prawdziwie rozumem i najgrzeczniejszym każdego w domu przyjęciem przodkowała, kiedy mi jeszcze ze łzami w oczach tak powie: to dziecię sierotą, bez ojca, matka jego nie wiele o niego dbająca, jeżeli go pod dozór swój nie wezmiesz, przed Bogiem na ciebie skarżyć się będę. Wzruszony łzami tej najznacniejszej pani, przyjąłem obowiązek

zatrudnienia się, formowaniem serca i dozorem nad edukacją Romana Sanguszki, siedmioletniego dziecięcia, najpiękniejszego w całej Warszawie chłopca, przy znacznej pensji rocznej, a po 9-ciu latach wsi do 10-ciu tysięcy czyniącej dożywociem. Powróciwszy do domu księcia Czartoryskiego, nazajutrz z rana rzeczy moje wyprowadziwszy do starej Sanguszkowej pałacu, chcąc pożegnać księcia, w pokoju go nie zastawszy, że był u księżnej żony na kawie, chociaż tam nigdy nikt z nas do niej nie wchodził, ja jednakże jako już nie obowiązany do uważania układów dworu tego, i księżną jeszcze leżącą, a księcia przy niej kawę pijącego znalazłem i dziękując mu za chleb, który w domu jego półtora roku jadłem, na końcu rozplakawszy się, powiedziałem: „Nie tylko uczynkiem, ale myślą nawet nie zgrzeszyłem przeciwko w. ks. mości, wszelako mnie z domu swego jak winowajcę jakiego wypędzasz, a ja tu przy tobie do mojej śmierci żyć chciałem.“ Rzucił się książe do mnie i z uczuciem rzecze: „Toż się u mnie zostań, za całego serca proszę.“ Odpowiedziałem, że dalem już słowo Sanguszkowej i zaplakany wyszedłem.

Po tygodniu przyjechało z Lubartowa dziecię z matką i z ojczymem księciem, Kazimierzem Sapięgą, generałem lit.; król sam na ręku tego pięknego chłopca trzymając, oddawał mi go w domu Sanguszkowej i wkrótce potem przeprowadziliśmy się do konwiktów warszawskiego księży Pijarów, gdzie z innymi kawalerami pod rektorstwem najzacniejszego księdza Stadnickiego brał lekcye swoje, a ja tylko obyczajów swoich i jego doglądał; po kilku dniach bawienia mego u Pijarów musiałem pokochać się i przywiązać się do śmierci, do samego Rektora Stadnickiego, kiedy on w tych kilku dniach tak mi zaufał, że mi się najotwarciej zwierzył w najtajemniejszych serca skrytościach.

Zdziwiłem się na tak pochlebne dla mnie zaufanie i tak przywiązałem się do niego, że nic nie

mogło potem rozerwać związków naszych. Wszelako nie byłem ja tak otwartym dla przyjaciela, jakem go dla siebie widział, bo uważając często, że najtajemniejsze rzeczy na kogoś głośno powiedział, bałem się powierzać mu wiele moich sekretów, ażeby, to co tajne być powinno, rozgniewany kiedy nie rozgłosił; wyjeżdżając z Warszawy, nigdy się z nim nie żegnałem, bo raz przy pożegnaniu myśl mi przyszła okropna, że jego już może nie zobaczę, rzewnie rozplakałem się, widząc, że i on płacze, powiedziałem mu łez moich przyczynę, na co on rozrzuwiony rzecze: „Właśnie toż samo i mnie na myśli.“ Już zawsze potem, kiedy mi wyjeżdżać przyszło, o czym inszem z nim i z drugimi rozmawiając, nieznacznie wyszedłem i odjeżdżał. Znowu po powrocie i obaczeniu się z nim łyż zawsze były radośne i rzecz dziwna, jak to był w swoim przywiązaniu człowiek najżywszy, kiedy czasem z drogi jakiej powróciwszy, ucałowany od niego ze łzami, po godzinie bawienia się z nim, znowu mnie na nowo ścisnął i całował; był to ksiądz dobrego urodzenia i najlepszego sposobu myślenia. Dom jego zacny w Krakowskim i Sandomierskim, dawał tyle najlepszych posłów na sejmy i obywatelów w narodzie, król z prymasem chcieli mego Stadnickiego zrobić biskupem, ale on śmiało odpowiedział: że przysiągł Bogu być Pijarem do śmierci; zostając Pijarem, majątek swój więcej dwumilionowy synowcom swoim rozdał, a jednemu z nich znacznie więcej oddawszy, przyłączył obowiązek, ażeby mu na rok 60 dukatów na małe potrzeby do śmierci dawał, i skarżył mi się ksiądz Stadnicki, że tylko niewdzięczny kilka lat mu wypłacał, a kilkanaście już nic mu nie daje, lecz miałże wstydić siebie pozwami niewdzięcznego synowca? Z księciem Romanem trzy razy na tydzień u księżnej, babuni jego, na obiadach być musieliśmy, i rozruchy przez trzy dni najludniejszego w Warszawie domu tego wybijały dziecięciu z głowy, czego się trochę

nauczyć mógł przez cztery; ciężko zaś było uprosić u księżnej zmniejszenia bawienia się u niej dla przywiązania wielkiego, które miała do dziecięcia. Król na obiadach u niej bywając często i mnie tam z dzieckiem zastawał. Raz na świętą Barbarę w dzień imienin starej księżnej, Romanio na powinszowanie cztery wiersze babuni powiedział:

„Wtenczas, kiedy będę stary,
Babuniu w święto Barbary,
Powiem ci, wyszło na moje,
Otóż my starzy oboje.“

Król przytomny wziął go na ręce i jeszcze sobie też same wiersze powtarzać kazał; ta powszechna miłość wszystkich dla dziecięcia tego, to pieszczenie babki i matki, te niższych ludzi dla niego względy, nazywanie go powszechnie księciem, a podlejszych go nawet w ręce całowanie, do tego nadawszy mu rzeczy księżna wiele bogatych, jako to: zegarków dwa kameryzowanych i pierścionków drogich kilka, zepsuli tak dobre dziecię, że w konwikcie nie widząc u innych dzieci, których było 85, nic podobnego, zaczął się w pychę podnosić i raz mi powiedział, że między kolegami jeden był mu równy książe Jabłonowski; napróżno mu o równości obywatelskiej w Polsce gadałem, na nic się nawet nie przydało, że powiedziałwszy babce o jego pysze, która mu te zegarki poodbierała. Kiedy potem w krótkim czasie w dniu rekreacji i do jego pokoju na bawienie się po kilka dzieci równego z nim wieku przychodziło, on tych wszystkich swoich kolegów, to lokajami, to furmanami nazywał, a inszych kolegów swoich, chcąc niby uczcić, dworzanami swoimi robił.

Kiedy nic nie pomogło po kilka razy strofowanie, oto i sposobu inszego nie było, umówiłem się z prefektem konwiktu, ażeby, kiedy Romancia poszł

umyślnie w dniu rekreacji do sal niższych, dla bawienia się razem z inszemi dziećmi, żeby go namówionych kilku chłopców, jak będzie sobie tony dawał, byle nieszkodliwie, wybili. Stało się wkrótce i przybiega do mnie na górę rozplakany Romancio, pokazując czerwone plamy po szyi i po rękę, skarżąc się, że go okrutny (jak mówił) Jałowicki tak wybil; spytany, za cóż to wybil? odpowiedział mi, że mu żartem dał szczutka; wtenczas dopiero napominać go zacząłem: „Widzisz, Romańciu, więcej jest szlachty w Polsce niż książąt, otóż cię szlachta za pogardę swoją wybili, szanuj ich, a będziesz od nich szanowany.“ Odtąd z najlepszą zgodą i uszanowaniem dla kolegów swoich był zawsze i tem też bardziej do niego przywiązałem się, że mi nawet toż przywiązanie szkodliwem było.

Raz z jakiejś niestrawności, czy inszej przyczyny, rozchorował się; doktor Zanieli, rocznie płatny od babki dla niego, przyszedłszy, znalazł w nim małą jakąś gorączkę i lekarstwo przysłał. Nazajutrz znalazł doktor dziecię lepiej się mające, i kiedym go zapytał, co jeść może, rosół i zraz pieczeni cielecej pozwoili; kiedy tę porcyą dziecię podczas obiadu zjadło, prosi mnie o drugi taki kawałek pieczeni, dałem mu co chciał, aliści ku wieczorowi daleko bardziej rozchorował się, sprowadzony znowu doktor, chociaż przyczynę słabości niekoniecznie na drugi kawałek mięsa dziecięciu odemnie pozwolony, zwał, i niebezpieczeństwa żadnego nie widział, przecież ja gorzko sobie wymawiałem, że może Romańcia mojem mu pozwoleniem jedzenia więcej jak kazano, zgubię. Dziecię nazajutrz zupełnie zdrowe było, a ja kilka dni chorowałem, tak mnie osłabiło zmartwienie moje. Do tej szkodliwej dla mnie słabości przyczynił się jeszcze niesmak niewoli, że to miejsce przy Romańciu po roku skończonym porzucić zamyślił. Nie miałem dla siebie godziny wolnej, tylko wtenczas, kiedy dziecię dwie godziny z rana i po południu ba-

wło z inszemi na wspólnych lekcyach w salonach, a niechcąc nigdy z nikim zostawić go przez bojaźń, ażeby go kto nie zepsuł, tak ustawicznie, będąc niepokojnym, może aż nadto w doglądaniu mojej powinności, zacząłem nawet niszczyć.

Po skończonym roku, mimo największego nalegania babki, matki i króla, ratując zdrowie swoje, porzuciłem Romańcia; wspólnie z dzieckiem płakaliśmy, a on mnie ściskając za szyję, przy pożegnaniu mówił: „Oj będąż mnie teraz Pijarowie bili, jak drugich, oj będą.“ Żal mój wszelako z opuszczenia tego dziecięcia nie był tak mocny, ażebym przełamał wstręt od tej niewolnicy, a nad wszystkie inne najwięcej po człowieku wymagającej funkcji guwenera, kiedy po kilku leciech znowu w toż samo nie-szczęście wpadłem. W czasie bawienia przy Romańciu proszony byłem od księcia Czartoryskiego, ażebym z temże dzieckiem, bardzo lubionem od księcia, bywał w domu jego i żeby wcześniej Romańcio przywiązywał się do dziecka także, księżniczki Zofii Czartoryskiej, którą, jak mówił książę, na żonę mu naznacza; przyjechawszy do pałacu Czartoryskiego, Romańcia zostawiłem w pokojach księżniczki Zofii, pod dozorem jej guwernantki madame Petite, a ja tymczasem chodziłem do księżniczki starszej, z którą dla wprowadzenia jej w język polski, tłómaczyłem książkę: „Ogrody,“ przez L'Abbé Delille napisaną. Dwa razy na tydzień dawałem księżniczce Zofii przykład pięknego pisania w języku polskim; to było powodem, że z tą najzaciejszą panną tłómaczył na język polski poema Delilla o Ogrodach, w którym wytłómaczywszy prozą, co było uczące prawideł ogrodowych, co w nim poetycznego znalazłem, oddałem potem wierszem polskim. Raz powracając od księżniczki starszej do pokojów guwernantki, aż ta powiada mi śmieszne zdarzenie, jak zastawszy dziecko księżniczkę leżącą twarzą do pościeli, z tyłu obnażoną, a Romańcia dającego jej niby enemę; tak

jak małpy, dzieci co widziały, naśladować lubią i chłopiec z dziewczyną tak postępować chciał jak niedawno doktor z nim sprawił się.

Przy Romańciu będąc proszony od księcia prymasa, prezydenta na ten czas komisji edukacyjnej, napisałem mowę na rocznicę zwycięstwa Jana Sobieskiego pod Wiedniem, którą potem w zgromadzeniu wielu gości, gdzie był i sam prymas, w konwiktach pijarskim czytałem. Przed wyjazdem z Warszawy byłem na pożegnaniu u księcia Czartoryskiego, który chociaż był przekonany, że do niego byłem przywiązany i w domu jego swobodniej, jak przy Romańciu, żyłbym zapewne chętniej, wszelako, aby mię zatrzymać, nic mi nie mówił.

Przed wyjazdem z Warszawy byłem u księżnej Sanguszkowej starej na pożegnaniu, która mimo mego oddalenia się od jej wnuka, zawsze mię lubiła; bawiła wtenczas w Szymanowie, dobrach swoich pod Warszawą. Tam między osobliwościami w gabinecie ciekawości pokazywała mi bałwanek, czyli bożyszcze chińskie z kilką rękami, miedziane i wewnętrznie dęte, gdzie w nich były i pisma chińskie (podobno ich modlitwy) chowane; tej osobliwości dostała od generała rosyjskiego, który wojując z Chińczykami, dostał od nich tego bałwanka, ale razem tenże generał wziął tam od nieprzyjaciół i chłopca Chińczyka, którego potem razem z tym bałwankiem księżnej darował przed 20-stu latami. Chłopiec ten z czasem ożenił się z praczką księżnej, był u niej leśniczym blizkiego lasu Szymanowa, kazała go na prośbę moją zawołać, i poznałem z twarzy jego podługowatej, nosa wklęsłego i ócz wąsko pod powiekami otworzonych, że mógł być Chińczykiem; bądź teraz waćpan pewien (rzecze mi księżna), bo i mnie generał rosyjski zapewnił, że ten Chińczyk jest z rodziny cesarzów tamtejszych, chłopcem będący w obozie swoim od Rosyanów w niewolę zabrany, i nie masz nic niepodobnego, że to

w samej rzeczy być mogło, bo przy panującym wielożenstwie w Chinach, familia cesarska tak jest rozrodzona, że jej kilkanaście tysięcy liczyć można.

Wyjechałem nakoniec z Warszawy po trzyletnim bawieniu do Galicyi, straciwszy czas u księcia i moich cokolwiek pieniędzy z domu wziętych, a przybywszy do domu mego w Dobrowodach, przywitał mnie tam mój sąsiad dawny, Piasecki, i widząc uiszczone wszystko (jak mi przepowiadał) w bawieniu mojem między panami, żałował wraz ze mną czasu i pieniędzy straconych, bo u Czartoryskiego przez półtora roku bawiąc, nietylko nic nie zebrałem, ale nawet swoich blisko 80 dukatów straciłem na porządniejsze na wielkim świecie utrzymanie się.

Czwartego dnia po moim powrocie i siostra moja, wdowa Jankowska, z kilkorgiem dzieci swoich do mnie przyjechała. Rozrzewnienie, które czulem, witając się z tą pocziwą kobietą, jej stan ubogi, zawiedzione nadzieje moje w kwapieniu się do Warszawy, były okazją wierszów, które napisałem pod tytułem: „Powrót z Warszawy na wieś,” a te na niemiecki język wierszami przetłómaczone i wydrukowane, widziałem wkrótce we Lwowie.

Po roku bawienia się na wsi zachciało mi się znowu do miasta, tak raz zakosztowawszy życia na wielkim świecie, jak ów pijak gorzałczany, chociaż ten trunek cierpki i pałacy, przecież mu miło zawsze powracać się do niego. Przyjechałem do Warszawy i u przyjaciela Stadnickiego stanąłem u Pijarów, który mnie ze łzami radośnemi witał. Najpierwej poszedłem do Czartoryskiego, który mnie dosyć zimno przyjął, a Skowroński mi powiedział, że książę to czuł, jakobym go w wierszach moich „Powrót z Warszawy na wieś” opisał, odpowiedziałem: alboż to książę do siebie bierze te wiersze? Po kilku dniach król kazał mi być na obiedzie u siebie; już on czytał dawniej moje wiersze „Powrót z Warszawy na wieś,” i tak mnie obaczywszy, że łzami radośnemi

W BIAŁEJ.

Księgozbiór: U

764

wita: „Cóż ci to Warszawa zrobiła, żeś ją tak w wierszach swoich opisał? Odpowiedziałem: „Właśnie to samo, że nic nie zrobiła.“ Król zagadał mnie czem inszem, zamawiając sobie, że zaraz po obiedzie powiadać mu miałem o rządzie w Galicyi, o zabieraniu sreber z kościołów, jakoż po obiedzie z królem obstąpili mnie wszyscy, chcąc ciekawi słuchać historii galicyjskiej; ledwie zaczął mówić o zabranianiu sreber z kościołów w Galicyi za rozkazem Józefa cesarza, pod pozorem niby na wydatki wojny przeciwko Turczyńowi i dodawszy: „Niech to będzie N. P. fanatyzmem, ale jak cesarz Józef w kilkanaście tylko ludzi przy sobie przejeżdża się po Galicyi, zapaleńcy o wiarę, jak rozumieją pogwałconą, mogą gdzie go ubić na drodze,“ to kiedym wymówił, król i wszyscy odemnie odstąpili i com mu miał opowiadać z pół godziny przynajmniej, w 3-ch minutach sam się zostałem. Wtenczas, jak obudzony, przypomniałem sobie, że i król z Częstochowy srebra pozabierał, i to było przyczyną odejścia wszystkich odemnie. Nauka jeszcze od ojca mi zostawiona, ażebym tak mówił, jak myślę, a potem bawienie się moje zawsze między równymi, między którymi przywykły mówić, co myślę, były przyczyną tej mojej niedworności, która mi i u Czartoryskiego będąc, często szkodziła. Ale po jakimś czasie król trafił na surowszego jeszcze werydyka; powracając z przechadzki, wstąpił do kościoła Bernardynów na Pradze, w którym to kościele podług rozmiaru w Lorecie uczynionego, był wymurowany domek N. P. Loretańskiej, wielu pobożnych srebrnymi votami wzbogacony. Król, wszedłszy do tego domku, kiedy wszystkie ściany gołe zastał, rzecze przytomnym Bernardynom: „A moi Ojcowie, słyszałem, że tu wiele sreber mieliście, a teraz żadnego votum nie widzę?“ Nie przyszło księdzu gwardyanowi odpowiedzieć, bo się skwapliwie braciszek przed nim wyrwał: „Nie masz sreber, nie było i nie będzie!“ Król rozśmiał się i odjechał.

Ale kiedy gwardyan zaczął fukać braciszka, o porywczosć w głupiej odpowiedzi do króla, braciszek mu rzecze: „Kiedym źle zrobił, żem królowi tak odpowiedział, to pójdę mu powiem, gdzieśmy srebra pochowali.“

Bawiąc w Warszawie, prócz dawniejszych znajomości, poznałem się z panią Krakowską Branicką, siostrą królewską, która mnie uprzejmie w domu swoim przyjąwszy, trzy razy na tydzień w Niedzielę, we Wtorek i Czwartek na obiady zaprosiła, w których dniach, że i król u niej bywał na obiadach, znowu mnie nadzieja opanowała, że widując tak często króla, za wstawieniem się siostry jego, będę mógł los mój poprawić. Kiedy raz na obiedzie u niej przed królem kłamca jeden u stołu siedzący, a faworyt królewski, niepodobne rzeczy za prawdziwe udawał, powiadając między inszemi, że w Anglii wynaleziono perspektywę, przez którą w noc najciemniejszą o 3 mile na morzu widzieć można okręty, albo ląd blizki, i długo takie baśnie udawał, ja zaś cały obiad milczałem; król do mnie rzecze: „Czemuż dziś nic nam nie mówisz?“ odpowiedziałem: „Ja tylko prawdę chciałbym mówić, a prawd daleko mniej jest jak fałszów, dla tego też i mniej gadam.“

Pani Krakowska, wyjeżdżając na letnie 3 miesiące (jak zwyczajnie robiła), do Białego Stoku i mnie prosiła, ażeby tam za nią przyjechał. Przyjętym byłem w tem jej mieście z grzecznością od niej największą, że nawet w oczy to drugich uderzyło, a ja sobie pomyślał, „ja chleba potrzebuję, nie honorów;“ ta pani chociaż mi nic nie wyświadczyła, i tylko mnie nadzieją zawsze uwodziła puszczenia mi dóbr Orli, koło Białego Stoku, żem uwiedziony 4 roki na letnie miesiące przyjeżdżał, dla bawienia jej do Białego Stoku wszelako za jej grzeczności największe dla mnie, wdzięczny byłem i najwięcej za to, że mnie odwiodła od poślubienia jednej wdowy, z którą zapewne byłbym najnieszczęśliwszy, i do której już wyjeżdża-

łem dla kończenia z Białego-Stoku, a tu pani gwałtem mnie przytrzymała, kazawszy konie i powóz mój pozamykać. W czasie bawienia jednego lata u pani Krakowskiej przyjechał do niej Marcin Badeni, szambelan królewski, co do dóbr ekonomicznych plenipotent generalny. Ten prawdziwie poczciwy człowiek podobał mi się pierwszego dnia poznania go z roztropnych w mowie odpowiedzi, ale nazajutrz z duszy swojej wspaniałej i dobroczynnego ze mną obchodzenia się, od dwóch dni dopiero poznany ode mnie, wziął mię na stronę i zapytawszy, po czym tu corocznie do pani Krakowskiej na lato przyjeżdżał, kiedy mu odpowiedziałem: że mi dobra swoje Orle wypuścić obiecała i to mnie przy niej utrzymuje; rzecze mi zająkliwie Badeni: „Pany o sobie tylko myśla, a W. Pan myśl także o sobie; teraz puszczają się na licytacje klucze dóbr ekonomicznych, W. Pan wybierz sobie w Grodzieńskim klucz który jeden, a bez żadnej licytacji stałym i zyskownym dla niego kontraktem będzie mu puszczony.“ Zdziwiłem się nad dobroczynnością dla mnie od dwóch dni poznanego człowieka, i uściskawszy go kiedy mi pokazał registr kluczy królewskich w Grodzieńskim, wybrałem z wiadomości cokolwiek o tych folwarkach, a do tego i z jego rady klucz Suchadolina nazwany, który wkrótce objąłem na siebie sześcioletnim kontraktem i z którego prócz życia i ekspensów innych domowych najmniej 200 dukatów zebrać mogłem na rok. Ten mój szanowny dotychczas przyjaciel pamiętny mi będzie do śmierci, bo od dobroczynności przyjaźni swoją zaczawszy, utrzymał ją potem wzajemnością w tyłu zdarzeniach i szacunkiem dla mnie wszędzie oświadczanym, chociaż czasu nawet nie miałem zarobienia u niego na to. Mając już Suchodolinę, pojechałem do Galicyi, pożegnać się z krajem tantym i z moimi, porzuciłem Dobrowody, siostrze na sprzedaż bibliotekę darowałem.

W tych latach zaczął się sejm 3-go maja, na-

zwany od konstytucyi tegoż sejmu kilkuletniego w tym dniu podpisanej polskiego na potem i tronu dziedzicznym ogłoszenia. Ponieważ wiele o tym sejmie dokładnych wiadomości z druku powychodziło, nic o nim pisać nie będę, to tylko nadmienię, do czego ja chociaż nie byłem posłem, wchodziłem skrycie, bo za zepsuciem się wszystkiego w ojczyźnie, ubogiemu o tem radzić głośno i mówić nie wolno było, i tylko magnaci decydować mogli. Decydowali zaś tak, jak swój pożytek widzieli, a ubogi miany był powszechnie za niewiadomego rzeczy i pogardy godnego. Widząc ja przez nieszczęśliwe elekcyje do zguby coraz bliżej Polskę przychodzącą, bo król elekcyjny nie myślał nadal o dobru narodu naszego, gdyż kiedy dzieci jego dziedziczyć po nim nie miały, cóż on miał dbać o to, co się po jego śmierci z Polską dziać będzie; magnaty zaś nasze umyślnie elekcyje wolne królów utrzymywali, że może z nich który, albo przynajmniej z dzieci jego tym królem będzie obranym, a przynajmniej jaki z pretendentów obcych do korony bogato go za porobione przez niego partye obdarzy.

Magnaty nasze tę wolną elekcyą zrzenicą wolności nazywali. Zważywszy ja to wszystko na pół roku jeszcze przed sejmem 3-go maja, widząc, że Stanisław Małachowski, referendarz koronny, ten najpoczciwszy z pomiędzy magnatów, już był wcześniej marszałkiem tego sejmu naznaczony, a książe Adam Czartoryski, także pan dobrze o naradzie myślący, oświadczył się, że chce być posłem ze swojego województwa lubelskiego, przyszło mi na myśl napisanie 4-ch listów do Małachowskiego, do Czartoryskiego, do Radziwiłła Karola, wdy. wil., znaczącego w narodzie i słynącego obywatelstwem i do Szczęsnego Potockiego, wojewody ruskiego, który bogactwem, kredytem natenczas w kraju i obywatelstwem był znakomitym, bo darował R. P. harmat pięknych spiżowych 24, pułk swoim kosztem własnym do swo-

jej śmierci utrzymywany i wtenczas sam też go między inszemi w piśmie mojem: „o szczęściu człowieka w towarzystwie“ pochwaliłem; ale nietrzeba widzieć nikogo chwalić, póki życia dobrze nie skończy. Listów tych moich czterech jednakże było brzmienie, że ponieważ sejm przyszedł czyni nadzieję semu obywatelskiego, niechby się uśpiony naród obudził, niechaj osłabiające nas coraz bardziej elekcyje królów porzucił, i tron napotem dziedziczny naznaczył, a ponieważ sami nie jesteśmy w stanie oparcia się trzem, które nas rozbierały mocarstwom, niechby król pruski (Wilhelm natenczas panujący) ogłoszonym był przez konstytucyą królem dziedzicznym polskim po śmierci Poniatowskiego, a tak on swój zabór Polsce pewnie powróci, a od dwóch pozostałych potencyj zabory odebrać silnie pomoże. Co mi tylko wymowa i prawdziwe czucie ucisków natenczas poszepnąć mogło, wszystko to w tych listach wyraziwszy, nie podpisawszy się kto byłem, tylko jak obywatel, wspólną ze wszystkimi nędzę i upodlenie cierpiący, listy cztery wspomniane w swoje miejsca na poczty porozysyłałem i miałem potem wiadomość, że wszystkie podochodziły. Woj. wil. Radziwiłł najżywiej list do siebie napisany poczuwszy, pojechał nawet umyślnie do króla pruskiego i namawiał go do przyjęcia korony polskiej. To tedy niewiadomą inszym przyczyną było, dlaczego natenczas król pruski z taką gorliwością do sejmu 3-go maja przykładał się, dlaczego przez posła swojego Lukiczyniego alians zrobił z Polakami, wojska 20,000 na potrzebę narodu naszego dać obiecał tymczasem, a w potrzebie większej bronienia nas całą potęgą swoją nadzieję zrobił. W czasie sejmu tego będąc przytomny w Warszawie, jużem się w cichości cieszył pomyślnym skutkiem listów moich, kiedy wszyscy prawie posłowie o ustanowieniu dziedzictwa tronu głośno gadali. Ale magnaci, kiedy to na obywatelach polskich nie mogli przynajmniej odmienić, przy-

szłego króla chcieli, i bojąc się, jak sam byłem przytomny gadaniom ich, jak powiadali wolności narodowej, ażeby mocny u siebie Prusak jej nie przygniótł, elektora saskiego po śmierci Poniatowskiego królem naznaczyć woleli, z którym (myśleli magnaci), jak ze słabym łatwiejby sobie począć mogli i intrygi swoje robić po dawnemu.

Przyszedł nakoniec czas ogłoszenia konstytucyi 3 Maja, w której kiedy Lukiczyni elektora saskiego następcą po Poniatowskim usłyszał, głośno odezwał się i oświadczył, że tylko do obwołania konstytucyi 3 Maja trwał alians jego monarchii z Polakami, króla swojego widząc od tronu usunionym.

Za co potem król pruski rozgniewany, nietylko rzekł się aliansu z Polakami, ale nawet do podziału nowego Polski z inszemi dwoma mocarstwami przystąpił, co w czasie konfederacyi targowickiej, jak się niżej powie, nastąpiło.

Po obwołanej konstytucyi tronu sukcesjonalnego w Polsce, chociaż poczcivi magnaci spokojnie przestali na elektorze saskim, przecież dwóch między inszymi, podobnie sobie myślącymi, Szczęsny Potocki, wojewoda ruski, i Seweryn Rzewuski, hetman polny koronny, głośno oświadczyli się, że króla dziedzicznego w Polsce nie chcieli, a Seweryn Rzewuski wydał nawet pismo drukowane, dowodząc szczęśliwości narodu pod królami elekcyjnymi.

Ja zaś, jako ubogi i bojący się przemocy magnatów, wydałem także pismo drukowane, utaiwszy imię autora, w którym przekonywałem o szczęściu każdego krajowca pod królami dziedzicznymi, bo król taki (jakem wyżej napisał) o sukcesorach swoich myśląc, ażeby im się dobrze działo, razem myśli i o szczęśliwości narodu, któremu panować mają, a tak szczęśliwość krajowa, jego jest własnym interesem. Kiedy to w Polsce w czasie 3 Maja dzieje się, ja tymczasem bawiący w Warszawie i często widując króla, raz mu stan mój ubogi przypomnia-

łem, a on mi na to najpochlebniej odpowie: „Honor wspaniałego panowania mojemu, że wtenczas żyjesz, kiedy ja na tronie jestem.“ To królewskie oświadczenie, chociaż mi nie dało pieniędzy, ale jakże wielką dało nadzieję polepszenia losu mojego, którego około dwóch lat czekając nadaremnie, znowu się królowi przypominałem, a on mi rzecze: „Krzywdę mi wspaniałemu panowaniu, ja bez przypomnienia o wspaniałym panowaniu myśleć powinienem i proszę nigdy prośbą swoją mnie nie pokrzywdzić.“ Słuchałem króla, nic mu o sobie nie mówiąc i on też nic mi o mnie nie mówił do śmierci swojej, żeby mi datek jaki z siebie ofiarował, a wtenczas, kiedy marni pochlebcy jego brali biskupstwa, pensye dożywotnie, królewskiej, dobra pojezuickie, albo kaduki rozbierali. A tak widząc marność nadziei moich, wyjechałem na wieś do Suchodoliny w Litwie, po ogłoszeniu w Warszawie konstytucji 3 maja. Wszelako król, chcąc się niby uścić z obietnicy swojej wspierania mnie, na cięższym dla mnie uścił się sposobem, kiedy się umówił z księciem Maciejem Radziwiłłem, kasztelanem wileńskim, opiekunem małoletniego natenczas księcia Dominika Radziwiłła, ordynata Nieświeża i Olyki, ażebym ja przez 10 lat był jego rządcą edukacji i razem nauczycielem obyczajów. Płaca roczna przez opiekuna naznaczona mi była tysiąc dukatów, a matka małoletniego potem obiecała przyczynić 500 dukatów corocznie, prócz tego po wyjściu z opieki podług prawa litewskiego za lat 10 tegoż dziecięcia, miał mi być dany dożywociem folwark jaki ordynacki. Wielkie to wprawdzie zyski, ale większa daleko także ofiara moja, bo wolności przez lat dziesięć utracenie, a jeszcze mnie już wtenczas więcej lat 50 mającemu. Wymawiałem się z początku od tak ciężkich obowiązków, wspomniawszy, jak żadnej godziny dla siebie wolnej mieć nie mogłem, chcąc się poczwierze sprawić, i jak dawniej trochę u księcia Romana Sanguszki w takimże będąc obowiązku przez rok tylko

jeden, życia tylko ledwie nie straciłem ze zgryzoty. Dobrze to dawni powiedzieli: „Kogo Bogowie nienawidzą, tego dozorcą małoletnich robią,“ bo jakże dziecię z pod oka swojego, choćby na czas najkrótszy wypuścić można, kiedy to, co przez pół roku, wmawiając w niego cnoty pracowałeś, jedna godzina, w którejby się dziecko opuszczone od dozorczy z służebnym jakim nieobyczajnym zdybawszy, zupełnie zniszczyćby mogła. Wymawiałem się tedy ile możności, ale nakoniec, zwyciężony naleganiem króla i usilnemi prośbami zacnego ze wszechmiar opiekuna, przyjąłem najprzykrejszy dla mnie, według sposobu myślenia mojego, ten obowiązek niewoli dziesięcioletniej. Dał mi znać potem do Suchodoliny księżę opiekun, przyjechawszy sam do Zabłudowa, gdzie matka z małoletnim dziecięciem mieszkała; tam gdy przybyłem, najlepiej przyjęty od cnotliwego opiekuna, ale zimno od nadto swe dziecię pieszczącej matki, zaraz po obiedzie, wyjechaliśmy do blizkiej sąsiadki na kawę: opiekun, księżna, małoletni Dominik i ja. Wązką drużyną kalwakata księżnej, kilkunastu służalców przed naszą landarą otwartą jadąc, i widząc ją z daleka chłopca naprzeciwko jadącego, wóz swój worami ciężkimi naładowany mającego, kiedy mu dworzanie ustąpić z drogi kazali, a on ustąpić z drogi nie mógł, dla kolei, w której głęboko koła zapadły były, kilku pacholków dworzańskich, z konia zsiadłszy, wóz ze wszystkim na bok wywrócili dla przejazdu wolnego księżetom; ja to zdaleka widząc, kiedy się kareta przybliżała do wywróconego z worami wozu, zawołałem na stangreta, ażeby stanął z landarą, co gdy tak się stało, wtenczas mówię do małego księcia: „Oto, Dominiszu, ludzie wasi wywrócili z wozem i z temi worami tego wieśniaka ubogiego, a któż go tu wśród pola poratuje, ażeby te ciężkie wory naład do woza powkładał, ludzie nasi przyczyną są umartwienia jego niewinnego, niechże ci ludzie nazad mu, jak wywrócili, na wóz te wory powkładają; a tak

czyż nie lepiej, iż cię będzie błogosławił, aniżeli przeklinał ten chłopiec biedny, i twój służący będą się strzegli krzywdy napotem nikomu nie robić." Pierwsza to moja była lekcya obyczajności w tym dniu pierwszym przybycia mego do Zabłudowa. — Poczciwe serce księcia opiekuna wzruszyło się i zapłakał, kiedy tymczasem służący, za rozkazem małoletniego, wory chłopu sami na wóz układali, a dziecko pojęło dobrze lekcya, bo torbę jeszcze z chlebem wieśniaka na boku pozostałą obaczywszy, służalcem swoim podjął i na wóz włożyć rozkazało. Zie domowe przykłady, które długo byłoby wspominać i wymieniać, psuły zamiary moje, że nie mogłem tak z dziecięciem postępować jak chciałem i należało, i czucie moje nadtem tak się pomnożyło, że przez rok bawienia mego w Zabłudowie 5 razy przez matkę małoletniego płakałem, ażeby mi nie broniła według mojego sposobu myślenia rządzenia dziecięciem jej; ale kiedy nadaremne były lzy moje, namawiałem ją przynajmniej, ażeby na aniuersarz 3 Maja konstytucyi narodowej pojechała do Warszawy, gdzie dziecię i świat razem obaczy i (jak mówiłem) kiedy królowi opowiem wszystko, pewnie ją król namówi, że z dziecięciem dla jego edukacyi, mieszkając w stolicy, razem się tam i złych domowych przykładów uchroni.

Wyjechaliśmy przecie z Zabłudowa do Warszawy, ale tam ten dobry mój projekt nie udał się, i kiedy ani król, ani inni znaczniejsi namówić księżnej nie mogli do bawienia dłużej nad dwie niedziele w Warszawie, powróciliśmy nazad do Zabłudowa. Tymczasem nieprzyjaciele konstytucyi, samiż wyrodni Polacy, pobudzili Rosyę przeciwko patriotom i wojna w kraju zaczęła się. Znowu ja moją księżną do Warszawy namawiam, a powodem mi było niby niebezpieczeństwo samejże księżnej i dziecięcia, dla wojsk nieprzyjacielskich w bliskości; przecież dała się namówić, że po półtoku upłynionym znowu

wyjechaliśmy do Warszawy, ale zaraz po pierwszym noclegu z domu wyjechawszy, tak się uparła powrócić do Zabłudowa, że wszystkie moje przekładania były nadaremne i powróciła, jak żądała, do domu nazad, a ja podziękowawszy jej po roku smutnego życia mego, porzuciwszy okrutny obowiązek i pieniądze, nawet mi naznaczone od opiekuna, wyjechałem z noclegu tego do Warszawy, gdzie król i opiekun, jakem im wszystko opowiedział, to moje porzucenie małoletniego uznali za niewinne. Pieniądze zaś mi należące za rok ten męki mojej, kiedy opiekun, ksiązę Maciej Radziwiłł, był odmieniony, a opiekunka małoletniego przysadzona przemocą księciu Michałowi Radziwiłłowi, wojewodzie wileńskiemu, zostały w skarbie Radziwiłłów przez lat 13 opieki księcia wojewody, dopiero kiedy małoletni doszedłszy lat według prawa litewskiego zaczął rządzić sam dobrami, oddał mi należytość za mój rok pracowity 1,000 dukatów, ale 500 dukatów od matki małoletniego mi obiecane przepadły. Jakże to małe było natenczas nieszczęście moje z porównaniem z nieszczęściami, które czułem ku ojczyźnie mojej. W oczach to moich było, jak ona od zdrajców samychże Polaków naszych cierpiała, i wydam też ich po imionach, bo kiedy im najgorzej czynić milionom ludzi wolno było, zaczoby mi pisać o tem nie wolno? Nawet dla poskromienia napotem podobnych winowajców, których potomność przeklinać będzie, pisać koniecznie należy.

Szczesny Potocki, wojewoda ruski, i Seweryn Rzewuski, hetman polny koronny, pierwszy i drugi kiedyś obywatele najlepsi, bo pominawszy pierwszego, o którym wspomniałem wyżej, Rzewuski z ojcem swoim Wacławem, hetmanem koronnym, najpoczciwszym obywatelem, na dobrowolne więzienie, chcąc tem ulżyć ojcu nieszczęśliwemu, poszedł do Rosyi, ale sprzykrzyło mu się potem temu wyrodnemu synowi pocziwą drogą chodzić i poszedł tędy, gdzie wszystkich

idących przeklinają. Ci tedy dwaj magnaci po obwołaniu konstytucyi 3-go maja, uważając w pysze swojej, że dziedzictwem korony polskiej dworowi saskiemu oddanem im samym, a może ich potomkowi, któremu droga do tronu posunięcia się, na wieki zamkniętą była, kiedy elekcye królów usunięto, miotani ambicyą, że mieszczanom nawet radzenia o narodzie w czasie sejmów przez wspomnianą konstytucyą moc była dana, a z tego powodu i ksiązę Sapieha, kanclerz litewski, do tych dwóch trzeci z czasem przystąpił, ułożyli sobie targowicką podnieść konfederacyą, któraby ustawy sejmu 3-go maja i tronu dziedzictwo obaliła. — Jakoż to pewna jest, że Szczesny Potocki, widząc, jako był nienawistny dworowi petersburskiemu na tronie siedzący Poniatowski, łącząc się przez konfederacyą z Rosyanami, spodziewał się, że detronizowawszy Stanisława Augusta, sam po nim na tron polski nastąpi, na czem się i sam oszukał i naród zgubił.

Konstytucya Sejmowa ogłoszona 3-go maja 1792 r., a dnia 9 tegoż roku w maju dnia pamiętnego w potomności dla Polaków, bo targowicka konfederacya przyczyną była zupełnego upadku Polski, wyszedł uniwersał do narodu o obranym marszałku konfederacyi koronnej w Targowicy na Ukrainie, Szczesnym Potockim.

Wkrótce w tejsze Targowicy wyszedł uniwersał do duchownych, ażeby oświecali lud o zbawiennych zamiarach konfederacyi targowickiej, a 20 Junii uniwersał do narodu, powracający mu rzplta, którą sejm 3 maja, jeszcze trwający, a który raczej spiskiem nazwaćby się powinien, w monarchią przeistoczył. Potem nastąpił uniwersał, niszczący patenta i znaki od despotycznego rządu warszawskiego spisku dawane żołnierzom, a województwo podolskie w liście swoim do Szczesnego nazywa go twórcą zbawienia i nowej szczęśliwości rzpltej. W tem Imperatorowa przez list swój barona Büchlera do sprawowania in-

teresów przy konfederacyi mianowała, aby był tłumaczem przyjacielskich inysli Imperatorowej dla Polski. Konfederacya zaś wysłała do Warszawy dla odebrania przysięgi od gwardyów i jakichkolwiek bądź tamże znajdujących się żołnierzy, równie i od różnych tamże magistratur.

W sierpniu gromi konfederacya Bazylianów Włodzimirskich o przywiązanie ich do konstytucyi 3-go maja i wskazuje, ażeby *ad loci ordinarium* na karę odesłani byli.

Zakazuje potem konfederacya przez uniwersał noszenia medalów i krzyżyków, od rządu despotycznego 3-go maja wojsku rozdanych, a nieposłusznym surową karą grozi. We wrześniu delegowani od konfederacyi do Petersburga oświadczyli Imperatorowej, że w najdalszych potomkach wdzięczność dla niej Polacy mieć będą. Oświadczać nadto, że przed całym światem ogłaszać będą Polacy, że ich ratowała Katarzyna. Posłowi francuskiemu Dessorches powieździe kazano od konfederacyi, że już nie jest posłem od rewolucyonistów francuskich i naszego posła Orzechewskiego z Francyi odwołano, jakoż temu Dessorches w dniach 10 z Warszawy wyjechać kazano.

Po takich oświadczeniach łaskach imperatorowej przyszedł od niej dyspartymet do konfederacyi targowickiej, ażeby dla wojsk imperatorowej w Polsce i Litwie będących, dostarczono na ośm miesięcy furazu: maki żytniej 500,000 korcy, krup około 50,000 korcy, owsa do miliona korcy i siana około dwóch milionów centnarów.

Oświadczyła konfederacya przez swój uniwersał, że ktoby od dnia 16 listopada za dwa miesiące najdalej nie uczynił akcesu do konfederacyi targowickiej, miał być uznany za niezdadnego do wszelkich napotem urzędów.

Wtem przysłała wiadomość, że wojska pruskie

do Polski weszły; z tego chociaż już można było domyślać się o intencjach dla Polski sąsiadów naszych, przecież konfederacja targowicka, jak gdyby w najlepsze czasy, dnia 5 grudnia ustanowiła medal dla obrońców Rzeczypospolitej z napisem: „Civibus quorum pietas conjuratione die 3 mai 1792 obnitam et diletam libertatem Polonam tueri conabatur;“ z drugiej strony: „Decreto Reipublicae nexa confederationis junctae;“ w koło: „Gratitudo civibus exemplum posteritati.“ Ustanowiła także ta konfederacja przysięgę profesorom szkoły kadetów, że nic uczyć nie będą, coby było przeciwko religii i rządowi teraźniejszemu krajowemu, nic uczniom nie wspomną, ani o rozszerzeniu władzy królów, ani o sukcesyi tronu i monarchii.

W styczniu wyszła 1793 deklaracja pana Bucholtza, posła pruskiego, że bojąc się Jakóbinów w Polsce, król pruski wprowadza wojsko swoje dla poskromienia onych.

Odpowiedziała konfederacja, że o żadnych Jakóbinach nie wie, że ma i swoje wojsko dla poskromienia ich, gdyby byli, i prosi, ażeby się Prusasy do kraju swego usunęli, a Prusacy tymczasem Toruń gwałtem odebrali. Kiedy Prusak wchodził w kraj nasz dla zaboru, nasze małe korpusy wszędzie wojsku jego ustępowały, jeden Dąbrowski, vice-brygadier (który potem w wojsku francuskiem na taką sławę i stopnie zasłużył); oparł się mężnie w Gnieźnie z dwoma swemi szwadronami dwa razy większej sile nieprzyjaciela, i aż za rozkazem wyższej swej komendy ustąpił.

Wtem wyszedł uniwersał konfederacyi do narodu na pospolite ruszenie, ażeby się mieli w gotowości, ale w drogę aż za ostatnim rozkazem wyruszać mają.

Król przystąpił do konfederacyi targowickiej, mimo najusilniejsze prośby pocziwych obywatelów, a między innymi Małachowskiego, referendarza, mar-

szalka sejmu 3-go maja, który kiedy żadnym sposobem od tego przedsięwzięcia odwieść go nie mógł, oświadcza mu, ażeby do drugiej stolicy swojej, do Krakowa z sejmem usunął się. „Jeżeli byś N. P. (mówił dalej królowi Małachowski, jak mi to sam potem powiadał) na tę podróż do Krakowa pieniędzy nie miał, dam ci swoje 30,000 dukatów, które mam w domu, a na 70,000 znajdę dziś kredyt u bankierów, a tak przyjmij 100,000 dukatów od obywatela, który i ciebie i naród ocalić pragnie.“ Ale ani wszystkie przekładania jego, ani lzy inszych pocziwych obywatelów nie pomogły. Przemogła intryga prymasa, brata królewskiego, a między inszymi i Chreptowicza, kanclerza litewskiego. I zgodne to było z charakterem króla, najłatwiej odmieniającym się z duchem niewojennym i lubiącym spokojność, choćby to go najdrożej kosztowało; tak zrobił przed rokiem: wybrał się ze wszystkimi do obozu na Pradze stojącego, rozesłał uniwersały po Koronie i Litwie z wyrazem, że osobiście stawia się w wojsku, zjadł obiad ten bohater na Pradze z generałami naszymi, a na noc do Warszawy powrócił, z kąd się potem nie wyruszył.

Na tem przystąpieniu królewskiem do konfederacyi targowickiej naród stracił prawdziwą szczęśliwość, a Szczęsny Potocki urojona, bo myśląc, że po odrzuceniu obrzydzonego od Katarzyny Poniatowskiego on będzie królem polskim, o czem już i wiele przyjaciół moskiewskich myślało, a między inszymi Branicki, hetman koronny, publicznie u stołu Kochowskiego, generała komendanta przeciwko Polakom wojsk rosyjskich, pił zdrowie najjaśniejszego Szczęsnego.

Potocki, mówię, na tem przystąpieniu króla do konfederacyi targowickiej najwięcej stracił, bo tem samem już król z Rosją pojednał się, a jemu zupełnie nadzieja tronu polskiego upadła.

Żona Potockiego Mniszkowna, która z nim da-

wniej ozięble żyła, a nawet często z niego szydzić śmiała, kiedy im nadzieja błysnęła tronu, pogodziła się zupełnie z mężem, górnemi równie z nim myślami upojona. Była natenczas w Wiedniu u księcia Lichtensztejna na balu, kiedy tam wiadomość przyszła o przystąpieniu królewskiem do konfederacyi targowickiej. — Francuz, przytomny także na tym balu, kiedy się już goście późnym wieczorem rozjeżdżali, rzekł do pani Potockiej: „Dobranoc, mościa pani ex-królowa.“ To prawda, że gdyby był Poniatowski do konfederacyi targowickiej nie przystępował, Rosyanie, dowiedziawszy się, że w Petersburgu, król uniwersałami swojemi szlachtę w narodzie do obrony ojczyzny pobudził, że rzucając domy i wioski swoje, zgotowizną pieniężną, jaką mieć mogli, ze wszech stron ku Warszawie ciągnęli, obawiając się złego końca, Katarzyna generałowi swojemu przeciw Polakom Kochowskiemu traktatem z naszymi tę wojnę zakończyć kazała, gdyby był tymczasem król niewieściuch do konfederacyi targowickiej nie przystąpił.

Dnia 7go marca 1793 roku napisana instrukcja Potockiemu, marszałkowi konfederacyi, do Petersburga jadącemu, ażeby tam mówił o złączeniu najściślej z Rosją i razem żeby doniósł, że naród poprzysiągł w konfederacyi bronić całości granic, czynił zaś to na fundamencie obietnicy Imperatorowej w początkach konfederacyi, że miała całość Polski granic tymczasowych utrzymać, co nawet królowi, kiedy przystąpił do konfederacyi, obiecała, do tego konfederaci targowiccy za wiadomością jej nawet przysięgali na te konfederacye przy swobodach narodu i całości granic polskich, bo taka jej na to była deklaracya. Pod niebytność Potockiego, marszałka, zastępcą jego obrany Antoni Puławski, marszałek konfederacyi województwa wołyńskiego; za jego zastępstwa dnia 9-go kwietnia przyszła deklaracya imperatorowej przez Siwersa, posła jej w Warszawie, konfederacyi oddana, o podziale polskiego

kraju i o potrzebie zwołania nowego sejmku w Polsce, przez któryby Polska trzem potencjom podzielona była, co sejm przyszły potwierdzić miał. Sejm grodzieński, zaczęty na wiosnę r. 1793., był jeden z najburzliwszych.

Stał się traktat tego drugiego, a okropniejszego jeszcze nad pierwszy podziału kraju polskiego podpisany, którym to grodzieńskim traktatem zaborowym więcej Rosya, Prusak i Austria wzięli ludności i mil kwadratowych kraju naszego, niżeli się reszty całej Polski zostało. Zaraz po podpisaniu traktatu tego, ponieważ sejm ten był pod konfederacyą targowicką, Puławski, też konfederacyi zastępca marszałka, dał bal z tańcami w Grodnie na Horodniej, gdzie miał tymczasowe mieszkanie, o ścianę sali, gdzie całą noc tańczono, ja nocowałem, oni tam śpiewali i tańczyli, a ja to słysząc, płakałem.

Magnaci także nasi przyczyniali się, prócz króla, do podziału tego, pamiętni zysków swoich w pierwszym podziale kraju; brali wtenczas bogate starostwa, dobra pojezuickie, pensye, zamiany starostw na dziedzictwa, brali i tym drugim podziałem pensye roczne i starostw tyle im porozdawanych, a dumie swojej i zyskom dogadzając, kraj, który się najlepiej rzadzić chciał, zgubili. Skutkiem to było razem bezrządu zadawnionego w narodzie, że owe dosyć wielkie imiona bez żadnej zasługi, ani zdatności pierwsze zabierały urzędy, a insze dzieci magnatów, w kolebkach jeszcze będąc, krociowych intrat brali starostwa, które chlebem, dobrze zasłużonym w Polsce, nazywaliśmy. Stąd w każdym kraju, chcącym się dobrze rzadzić, powinno być naczelnem prawem: że do wszystkich czynnych urzędów w narodzie nie urodzenie, ale cnota i zdatność pierwszeństwo mieć powinny. Czyliż tak król zrobił, który dawniej Kazimierzowi Sapiesze, synowi faworytyki swojej, 18 lat młodzikowi mającemu, dał generalstwo artylerji litewskiej. który stopień jakże wiele zasług

i wiadomości wojennych potrzebuje, a potem znowu podczas konfederacji targowickiej toż generalstwo artylerji po śmierci pierwszego, drugiemu Franciszkowi Sapieszemu, chłopcu 14-letniemu oddał, a to wtenczas, kiedy ojczyzna była w największym rozruchu wojny?

Do nieszczęść krajowych w roku 1793 i bankructwo bankierów warszawskich przyczyniło się, na 200 milionów szkody obywatelskiej wynoszące, do czego także magnaci, chociaż niewinnie, przyłożyli się. Prot Potocki najpierw równym sposobem jak bankierowie, bank swój otworzył, z handlu potem na Czarnem morzu najzyskowniej pożytkował. Ale książę Alexander Lubomirski, dziedzic 20 mil kraju na Ukrainie, otworzywszy bank swój na kontraktach dubieńskich, kiedy obywatelom, mającym u bankierów summy, kaucyje ich pieniędzy, któreby mu pożyczyci, na dobrach swoich ogromnych pokazał, miasto czego bankier papier tylko kredytorowi bez żadnego bezpieczeństwa dawał, wszyscy obywatele odbierać zaczęli od bankierów pieniądze, a oddawać je Lubomirskiemu; i tak kiedy od nich wszyscy odbierali, a nikt im pożyczyć nie chciał, upaść koniecznie musieli. A z ich reszt majątku pozostałego ledwie jego 3-cią część komissya bankowa, blisko dziesięć lat ciągnąc się, sum winnych od bankierów kredytorom pooddawała, a to ze skryptów, które magnaci pożyczając u bankierów, pieniądze im pooddawali. a magnaci albo wykrętami swojemi, albo prawdziwym upadkiem pozawodzili biednych obywateli, słowem, żadnego nieszczęścia krajowego nie było, do któregooby o sobie tylko myślący magnaci nie należeli.

Na tym sejmie grodzieńskim konfederacya targowicka zniosła tron w Polsce sukcesyjny, na konstytucyi 3-go Maja ustanowiony, a jak bywało dawniej, władzę hetmanom nieokreśloną, daną już przez siebie przed rokiem potwierdziła, którzy to hetmani tak da-

wniej byli potężni, że August II, obrany królem polskim, kiedy do kraju naszego przybył i też władzę hetmańską, jak była nieokreśloną, poznał, publicznie powiedzieć miał, że gdyby był wiedział pierwwej, co to jest hetman w Polsce, wolałby o hetmaństwo, nie zaś o królestwo starać się polskie. Stąd na tym sejmie grodzieńskim Gostomski, poseł ciechanowski, o zniesienie władzy hetmanów domagał się, którzy przez rok danej im władzy przez konfederacyą targowicką tysiące niewinnych pokrzywdzili.

Po skończonym sejmie grodzieńskim ja, niemając już domu inszego (bo klucz ekonomiczny Suchodolina, puszczonej mi 6-cioletnim kontraktem od przyjaciela Badeniowego, przenosząc się do małoletniego Radziwiłła, subarendowałem był na drugie triennium), sprowadziłem się do mojej kolonii w brzeskiem województwie, przy lesie białowieskim sytuowanej, na którą to kolonię, czyli kawał ziemi pustej z lasu wyrąbanego pozostałej, a o włók 20, na którą tenże poczciwy Badeni bez mojej o to prośby, jeszcze w r. 1791 wyrobił mi przywilej u króla, bo kiedy każdemu, kto chciał (a odbierali tatarzy i żydzi nawet), pustą ziemię do wyrobienia na gruntach królewskich na lat 50 rozdawano, ażeby po upłynionym takim terminie taż kolonia do króla polskiego, jaki natenczas będzie, powracała, bez żadnej nagrody za zabudowanie wszelkie i osadzenie wieśniaków. — Przyjaciół Badeni, jak się rzekło, i dla mnie takież przywilej zyskał, o czem król i zapomniął, bo dziwił się, za dwa lata potem, kiedy mu w Grodnie, już po upadku Polski, powiedziałem, że mieszkam w kolonii.

Pobudowawszy się w tejże kolonii, chociaż ubogo, ale wygodnie, zacząłem szczerze myśleć o sobie, ażeby na starość swój mając kawałek chleba, po cudzych kątach nie poniewierać się, i niemając majątku żadnego, prócz dwóch tysięcy dukatów na procencie, ciężko mi było bez żadnego poddanego wy-

trzebieenie dzikiego gruntu kolonii, wszystko robiąc najemnym cudzym wieśniakiem. Wziąłem się tedy i sam więcej 50 lat mający do roboty, widząc, że próżno pokładałem nadzieję w obietnicach królewskich i w łaskach pańskich; tyle wieku marnie przepędziwszy, zacząłem uprawiać rolę i kilka morgów, wycinając i wykopując korzenie krzaków, sam wytrzebiłem.—Najemnicy, którzy przy mnie pracowali, z tem większą robili mi ochotę, im szczerzej i mnie też przy sobie pracującego widzieli, skutek tej pracy mojej był najlepszy, bo zawsze w czasie tych robót moich jadłem i spałem smaczniej, Nie masz wstydu za robotę około roli, co pierwszem człowiekowi jest powołaniem, i kiedy raz JW sąsiad sześciami końmi karetą przejeżdżał, a ja blisko publicznej drogi, krzaki na gruncie w moim szlafroku wycinam, niemniej którzy przy mnie robili, przestrzegli mnie, że pan jakiś nadjeżdża, ażeby roboty mojej poprzestał, jam odpowiedział, że tembardziej robić będę, bo to mi jeszcze chwałę robi. Poznał mnie przejeżdżający pyszny JW i wysiadłszy z karety, z pół godziny zabawiwszy się ze mną, kiedy się dziwił pracowaniu mojemu razem z chłopami, a ja jemu toż sarno, co i najemnikom moim odpowiedziałem, dodałem jeszcze, że piękniej jest daleko pracować, niżeli szachrajstwem majątek robić.—W tych czasach, ażeby mnie widział, przyjechał do mnie do kolonii przyjaciel mój Badeni pocziwy — i kiedy mu o mojej pracy powiadałem około roli — ażeby mi jej ulżył, wypuścił mi pańszczyzną blisko mnie wsi ekonomicznej Kletno nazwanej, a tak przez ten rok do 7-iu włók gruntu, licząc w to i najemnika jeszcze liczego, wytrzebiłem, wieśniaków do tego uboższych z bliższych kluczów ekonomicznych siedmiu na gruncie moim osiadło i jak można naprędce za przyłożeniem się mojem pobydowało się z umową 5-cioletniej wolności, po których upłynionych dwa dni na tydzień pańszczyzny robić mieli, albo czynsz od pół włóki swojej siedziby zlp.

60 na rok płacić. Tak już blisko wioskę mając, mieszkanie moje w kolonii nie zdawało mi się być dzikiem. Kiedym tam wieśniakom nowoosiadłym prawa ich, na których grunt mój osiadali, czytał, a w nich między inszemi było umieszczono, ażeby w przypadku, jeżeliby jeden drugiego ważył się w złości uderzyć, pobity oddawać mu wzajemnie nie-miał, ale zaraz do dworu na skargę przychodzić, w ten czas dwór zawsze jednostajnie osądzi, że bijący będzie publicznie ukarany kilkunastu różgami nie przez dworskiego ekonoma danemi, ale tenże sam pobity różgi bijącemu dawać będzie, tym sposobem nie było u mnie bójk między sobą wieśniaczych i po takiej karze na jednym z bogatszych, a tem samem pyszniejszych wieśniaków wypełnionej, skończyło się. Że jeżeliby się z czasem między nimi pokazał złodziej jaki, tedy za pierwszą poszlaką różgami pośrodku wsi ćwiczony musiał być, za drugą z utratą wyrobku, pola i zabudowania ze wsi wypędzonym; jeden z tych wieśniaków, nazwiskiem Jakób Mosiej, padł mi ze łzami do nóg, dziękując za to prawo, czyniące mu nadzieję, że sami tylko cnotliwi osiadać będą w tej kolonii, jakoż pokazało się potem, że tenże Jakób był człowiekiem w każdym zdarzeniu najpocziwszym i od wszystkich wieśniaków szanowanym, a odemnie nad innych kochanym. W kilkanaście lat potem, w roku 1808, umierał on; przez tydzień choroby najweselszym go widziano, a płacząc żonie i dzieciom, widzącym śmierć jego blizką, śmiejąc się, mówił: „Oto wojska obce wkrótce przechodzić mają i ciemnieć was będą; ja się zapewne pokwapię i umrę pierwej, a wy się tu nacierpicie, jam szczęśliwszy od was, bo pójdę na praznik do Ojca.“ Winienem był wspomnienie rzadkiej cnoty wieśniaka tego, nad którego grobem płakałem.

Nastąpił opłakany rok 1794, bo rok ostatniej zguby naszej po sejmie grodzieńskim, nazwany sywersowskim, że nim ambasador rosyjski rządził abso-



lutnie. Igelstrom, generał rosyjski, rządził równie jak gubernator, i w Warszawie król nawet zmniejszone miał prerogatywy swoje w rozdawaniu przywilejów na starostwa, urzędy i order, nie będąc mocen żadnego z tych podpisać bez wiedzy i potwierdzenia Igelstroma. W czasie tym nie przestawano złożyć sejmowi grodzieńskiemu, wysławić sejm 3 Maja i szeptało w kątach, że rewolucja w kraju nastąpić musi. W środku zimygrana była operetka, przez Juliana Niemcewicza zrobiona, pod tytułem „Krakowiaki;” miała w sobie arye zupełnie do okoliczności kraju stosowne, a bardzo zapalające. Operetka ta była początkiem i rozgrzała umysły do przyszłej rewolucji, była osnową rozmów po domach i czyniono sobie nadzieję szczęścia, które zdawała się obiecywać ta sztuka teatralna. Igelstrom nie zakazał grywania tej niebezpiecznej sztuki, ale tylko szpiegował ściślej policją miasta Warszawy; znalazł dla siebie pewną liczbę szpiegów, którzy mu o wszystkim donosili, ale ich łatwo poznano i wystrzegano się przy nich wszelkich rozmów, dotyczących się przyszłej rewolucji. Nie mógł dowiedzieć się o tem, że niektórzy obywatele, a mianowicie kupcy i rzemieślnicy, zbierają się sekretnie na rady w dniach pewnych, wszelako z czasem zaciągawszy cokolwiek wiadomości o schadzkach sekretnych mieszczan, i że duszą tych ich zgromadzeń był Kiliński, rzemieślnik warszawski, kazał tegoż Kilińskiego pod wartą do siebie przyprowadzić, i kiedy mu wyrzucał potajemne schadzki z innymi, on, rozśmiewszy się, rzecze: „Cobym miał spodziewać się nagrody, to mnie jeszcze łajecie, panie jenerale, prawda, że bywają schadzki, prawda, że ja jestem na czele ich, ale i to prawda, że wszystkimi sposobami odwodzę towarzyszków moich, ażeby się do niczego nie wdawali, i wkrótce spodziewam się, że im to wyperswaduję.” Igelstrom obiecał mu nagrody, byleby tak postępował jak obiecuje (sam pijąc do niego gorzalkę), wolno wypuścić.

Jednak dla utrzymania bezpieczeństwa wszelkie zbiegowiska ludu miał na baczności, i tak, podczas kilku przypadkowych ogniów, gdy się lud liczny na ratunek zbiegał, wysyłał szwadrony kozaków swoich na miejsce pożarów tych, kawaleria z drugiej strony polska stawała przeciwko kozakom, dwojakie tedy to żołnierstwo nieprzyjacielskie zwyczajnie sobie uragało.

Nareszcie dnia 16 kwietnia, z Środy na Wielki Czwartek wieczorem, wezwano oficerów wojsk polskich do arsenału i odebrawszy od nich przysięgę, jako na Rosję podnosić się nie będą, już ich aż do dnia stamtąd nie wypuszczono. Skoro tylko we Czwartek dzień się pokazał, wystrzelono trzy razy z wielkiej armaty w koszarach mirowskich na Włopolu; wystrzał ten hasłem był do rewolucji, to pewna, że Igelstrom żadnej nie miał wiadomości prócz z posłyszanego wystrzału, a dochodzących go wieści o skrytych szemraniach obywatelskich, nie bał się, ani je sądził być podobnymi do skutecznieria. Ouciony więc wystrzałem armaty, porzysłał w różne miejsca ordynanse do kwaterujących kompanij, ale żaden z tych ordynansów do miejsca wyznaczonego nie doszedł, i choć ulice tego poranku były puste i cichość jak w nocy panowała, kuryerowie Igelstroma to z kątów, to z okien, wszyscy byli z koni porzucani.

Król sam w mieście nie wiedział o rewolucji, i obudzony troistym wystrzałem z armaty, prędko ubrawszy się, chcąc wyjść za bramę zamkową dla obaczenia, co się w mieście działo, wychodząc za drzwi pałacu, zastał na dziedzińcu w paradzie stojących kilkuset żołnierzy garnizonu zamkowego, i kiedy ich zdziwiony zapytał, za co w tej paradzie stanęli, oficer na czele ich będący, odpowiedział: „Robimy to N.Panie, co powinność pocziwego żołnierza każe: stawiania śmiało przy królu swoim i ojczyźnie.” Król wyszedłszy za bramę pałacową, spokojność i cichość zupełną, stojąc kilka minut pod kolumną Zy-

gmunta postrzegłszy, powraca nazad do zamku, ale w bramie samej znajduje przeciwko sobie idący garnizon swój zamkowy, i stanąwszy przeciwko nim, żywiej ich okrzyknie: „Stojcie! stojcie! dokądże to wychodzicie? oficer im przywodzący odpowie: idziemy, gdzie nas ojczyzna woła, marsz; marsz! Król z Guszynskim, jenerałem swoim (który mi to wszystko opowiadał), stanąć musiał przy murze, ażeby ustąpił maszerującym żołnierzom garnizonu swojego.

Tymczasem wypuszczonym więźniom z prochowni, cechom i różnemu pospólstwu wyrzucono broń różną z arsenału przez drzwi i okna, a mało co dawszy czasu zebrać się i uszykować Rosyanom, rzeź po wszystkich stronach krwawa rozpoczęła się i cały ten dzień trwała, aż do kilkunastu tysięcy zabitych było; nazajutrz przed wieczorem nie było już żadnego w mieście, prócz tych, których w niewolę zabrano, ale i tych mała coś liczba. Wywożono trupy przez dni dwa i wszędzie po ulicach palono słomy, można było w tym tłoku pospólstwa naszego postrzegać gdzieś trzykolorowe kokardy, na wzór francuskich rewolucyjnych, ale te prędko zniknęły, bo nie chciano jeszcze wydać się z myślą naśladowania zupełnie rewolucji francuskiej. Tak Rosyan zbyła się Warszawa, z której Igelstrom z kilkuset ludzi swoich wysłiznął się.

Po przywróconej spokojności utworzyła się natychmiast Rada zastępująca, najwyższa rewolucyjmagistratura pod prezydencją Zakrzewskiego. Osoby radę tę składające, nosiły na rękawach flory pasowe, aby je po nich poznawano. Pobrano też zaraz do arsenału tych, o których mniemano, że byli nieprzyjaciółmi ojczyzny, jako to: Ożarowskiego, hetmana; Kossakowskiego, biskupa inflanckiego; Ankwicza; Zabiellę; Massalskiego, biskupa wileńskiego; Skarszewskiego, biskupa chełmińskiego, i innych. Utworzono komisją indagacyjną do roztrząsania kryminałów więźniów narodu. Komisya ta niewinnych uwalniać

była powinna, winnych zaś oddawać pod sąd kryminalny, ustanowiony do wydawania ostatecznych wyroków. Podzielono miasto na cyrkiły i w każdym cyrkule słup zakopano, do któregoby mieszkańcy cyrkulu tego, niewylączając żadnego stanu, prócz księży, żydów i starców, stawiali się, a to jeżeli się trafiło, na alarm z okazji zamieszania wewnętrznego lub zewnętrznego napaści. Poczyniono z tychże mieszkańców Warszawy dowódców, to jest, tysiączników, setników, dziesiętników, a ci prowadzić mieli obywateli na miejsce potrzeby, a tym zwierzchnikom w zdarzeniach takich posłuszeństwo zupełne należało się. Straż wszystkich więźniów narodowych i nieprzyjacielskich, podczas rzezi zabranych, odbywana była przez obywateli miasta, kolejno, podług rozkładu ich dowódców. Pozabierano do lania armat dzwony kościelne, które tylko nad konieczną były potrzebę, równie też kościelne srebra i złota wzięto do mennicy, zostawując te tylko, których obrządek religii potrzebował! Wybrano większą połowę koni stajennych, które były w mieście, osadzono miasto wielkimi bateriami od jednego brzegu Wisły aż do drugiego, wał do tego po nad same domy miasta pociągniony; do tych robót mało bardzo użyto wojska, i cała fortyfikacya rękami jedynie ochotniczych obywateli i kobiet nawet była uczynioną.

Po bitwie przegranej po części ze strony naszej pod Szczekocinami, gdzie byli przeciwko nam Rosyanie, złączeni z Prusakami, przybyli do Warszawy Kollataj, Ignacy Potocki, Dmóchowski i inni, z tych utworzyła się rada najwyższa i już nie było rady zastępczej. Osoby rady tej miały jeszcze oddzielne sobie powoływane wydziały i były w nich prezydującymi: Kollataj w wydziale skarbu, Potocki w wydziale interesów zagranicznych, Dmóchowski w edukacyi; każdy z tych prezydentów wydziałowych prezydował jeszcze kolejno w radzie najwyższej po tygodniu, i wtenczas z podpisem jego wychodzili

wszystkie do obywatelów odezwy; utworzono wkrótce i pieniądze papierowe, których kurs nie miał trudności, ale jednak za nie produkta i towary kupowane, droższymi nieco były.

Od nastania rady najwyższej publiczność zdawała się spokojnie polegać na świetle jej, ale potem wcisnąwszy się niezgoda między radnych, przeszła łatwo i między mieszkańców.

Kupy, patryotycznymi zwane, zbierały się co dzień na rynku pod drzwiami obrad rady najwyższej, radziły o losie kraju, czyniły projekta, tworzyły i imponowały czasem tej magistraturze. Nie był to zbiór dobrze myślących i rozumnych ludzi, ale burzących bardziej i śmiałych, którzy w zamieszkach tylko znać albo zyskiwać mogą, nie było bezpiecznie także zbliżyć się dla przysłuchania ich radom, tem bardziej otwierać im zdanie swoje, a tymczasem między mieszkańcami ufność, bezpieczeństwo własne, egzekucja wyroków, nikły z ustaniem rady zastępczej; do magistratury, a osobiście komisji indagacyjnej, posuwano przez intrygę wiele osób niezdatnych i bez doświadczenia, a ponieważ umieszczenie czyje w jakim departamencie tem samem robiło go wolnym od wychodzenia na okopy w czasie napaści nieprzyjaciela, dla tej przyczyny właśnie wiele bardzo młodzieży do urzędów powciskało się.

Nieczynność komisji indagacyjnej dała powód Konopce, domownikowi, czy słudze Koliataja, z instynktu pewnie pryncypała swego, iż zebranemu w wieczór na rynku ludowi wystawiał w mowie przygotowanej próżne utrudzenie w odbywaniu wart przy więźniach narodu, obwinał o opieszałość komisją indagacyjną, dowodził zbrodni osób aresztowanych i zachęcał lud do przyspieszenia kary na zbrodniarzów.

Nazajutrz rano sąd kryminalny zebrał się na ratusz, a szubienice pierwszej jeszcze w różnych miejscach powystawiane były, izba sądowa natkana była

tłumem ludu, i ile rąk, tyle pałaszów wisiało nad głowami sędziów, a cały ratusz był uzbrojony mnóstwem uzbrojonego pospólstwa, mimo tedy komisji indagacyjnej na zbrodniarzów, przyprowadzono winowajców przed sędziów i we dwóch godzinach inkwizycja, dekret i egzekucja odbyły się.

Powieszoni byli: Ożarowski, hetman, Kossakowski, biskup infl., Ankiewicz i Zabiello; ten zaś zapal zrobiła w pospólstwie wiadomość odebrana z Wilna przez przysłanego umyślnie stamtąd, donosząc, jako zdrajca ojczyzny, hetman litewski Kossakowski, za zagrżaniem pospólstwa przez rozkaz znanego komendanta tamtejszego, Jasińskiego, powieszony na rynku; taka odebrana wiadomość zdała się poniżać pospólstwo warszawskie, że Wilno stolicę Polski, Warszawę, w ukaraniu winowajców uprzedziło, i ztąd z taką gwałtownością egzekucja nad tymi nieszczęśliwymi nastąpiła.

Kiedy biskupa Kossakowskiego wieziono na szubienicę, zaklinał on na Boga wartę, siebie prowadzącą, ażeby mu pozwolili wejść do kościoła, blisko będącego, aby się przed śmiercią Bogu jeszcze pomodlił; już pozwalali niektórzy, ale jeden z obywateli okrzyknął: „Bóg wszędzie jest, niech się tu pomodli, bo wszedłszy do kościoła, chwycić może do rąk Eucharystyą, jakże mu w kościele gwałt robić będziecie mogli?”

Nieza długo potem zrobiła się sekretna zmowa do exekwowania innych, w więzieniu będących, a jednego wieczora dał się szmer słyszeć po ulicach, że jutro znowu wieszać będą. Jakoż nazajutrz przededniem po różnych miejscach stanęły szubienice; wiadomiona o tem policja, szubienice popodcinać kazała, lecz na tychże miejscach lud inne powystawiał: już wtenczas nie potrzebowano sądu, lecz podług upodobania i przypadku wyprowadzano więźniów i wieszano. Z początku nie było może jak 30 tu tych zapalonych, lecz gdy niedbałość rządu przeciw

temu nie wzięła środków, powiększyło się wkrótce mnóstwo rozhukanych i każdy musiał przez bojaźń o siebie potwierdzać wszystko, co czyriono; już Wulfer, członek rady, za gadanie po francusku z więźniem Boscamp, oficerem rosyjskim, do aresztu wzięty, bez inkwizycji co gadał i przekonania żadnego, był powieszony, równie jako i Piętka, Rogożeński i biskup wileński, Massalski. W takim nierządzie Warszawy, gdy między innymi i pisarza sądów miejskich, idącego z papierami publicznymi na ratusz, a dla bezpieczeństwa mającego przy sobie żołnierzy, z których pospólstwo wniosło, jakoby i on był aresztantem, powieszono; Ignacy Potocki, wyszedłszy na ganek pałacu, zaczął ich hamować mową, a Zakrzewski, wtenczas prezydent miasta, dowiedziawszy się, iż Skarszewskiego, biskupa chełmskiego, wyciągają już z więzienia, przedarłszy się przez tłumy ludu, zasłonił biskupa swojemi ramionami, i tak przecie wybiegał mu życie. Trzeba było na krok tak śmiały tylko Zakrzewskiego, każdy inny, broniący winowajce, byłby zapewne z nim razem powieszony, do takiego stopnia zuchwałości okrucieństw lud przyszedł, łatwy do pohamowania w początkach, a przez ospałość rządu wkrótce niepodobnym stał się.

Między innymi oprawcami najwięcej dokazywali więźnie wypuszczeni z prochowni, dawali sobie nazwiska obywateli i najnieвинniejszych wieszali, wszelako przytomność Zakrzewskiego, prezydenta miasta, wiele do uspokojenia pomogła, spokojność zupełną noc przywróciła.

Nazajutrz widać było smutek po twarzach wszystkich dobrze myślących, a trwoga w pospólstwie znaczna dała się postrześć.

Uwiadomiony Kościuszko o okropnościach takich i zażalony przeciw Kołłątajowi, którego gwałtów tych sądził być autorem, przyszedł nareszcie pod Warszawę z wojskiem, a przybycie jego wszystkich

dobrych serce pokrzepiło. Nadciągnęły tamże wkrótce za nim wojska pruskie i rosyjskie; pierwsze, składające środek i lewe skrzydło, wynosiło, jak powiadali, 30,000, drugie, składające skrzydło prawe, 18 tysięcy Rosyan, całe to wojsko pod komendą było króla pruskiego, Wilhelma, który dobywaniem miasta, co na jego schedę przypaść miało, sam się za trudnić chciał.

Przybycie wojsk nieprzyjacielskich oznajmione było miastu wystrzeleniem z armaty, przy zamku będącej, i według urządzenia, całe miasto zaraz do baterii i okopów udało się. Przednia straż nieprzyjaciół wstrzymana była od wojsk naszych pod wsią Wola, pół mili od Warszawy, lecz po krótkim odporze odstąpiono wsi tej nieprzyjacielowi, dokąd potem ściągnął się cały obóz i Wola była środkiem wojsk nieprzyjacielskich, które około dwóch mil w okolicy zajęły, dalej nieprzyjaciel postępować nie śmiał przeciwko ogromnym bateriom naszym, osadzonym artyleryą i wojskiem, ale przedsięwziął tylko oblężenie miasta. Ze strony naszej Kościuszko zostawił samemu sobie dowództwo skrzydła naprzeciw wojsku rosyjskiemu, Zajączkowi generałowi dał środek, a drugie skrzydło księciu Józefowi Poniatowskiemu. Przez cały przeciąg oblężenia nigdy w dzień, ani w nocy okopy nasze nie były bez mnóstwa ludu; widząc naczelnik, że wieś Wola zasłaniała bardzo nieprzyjaciela, wypuszczonemi bombami spalił ją, że tylko kościół i sad pozostał, odtąd nieprzyjaciel mocniejsze szturmowanie zaczął przypuszczać i udało mu się jednej nocy pod Powązkami opanować baterie, którą szwedzkiemi zdawna nazywano, że za wojen ze Szwedami usypane, a teraz przez naszych poprawione były. Przybył tam natychmiast Kościuszko i za tę niepilność odebrał komendę księciu Poniatowskiemu, którą oddał generałowi Dąbrowskiemu. Już nic z tej strony nie zasłaniało miasta, prócz ciągłego wału pod

domami, ale zasłoniła go gwardya o świcie piesza koronna, która pierwszy raz będąc w ogniu, okazała męstwo niewypowiedziane. Przechodząc przez wąskie ścieżki pod ogniem kartaczów i ręcznej strzelby nieprzyjacielskiej, uformowała linię, a lud także śmiały, przyłączywszy się do gwardyi, przez dzień cały i noc następującą strzelał z ręcznej broni do nieprzyjaciela, tak, że Prusacy cofnęli się na dawne miejsca ze stratą wielką, a co podobniejsza, że nie chcąc gubić i swoich ludzi i miasta, jeżeliby szturmem odebrane było, które miasto według już porobionych układów gabinetowych (jak się wyżej rzekło) Prusakom dostać się mogło.

W tym właśnie czasie Skarszewski, biskup, przez sąd kryminalny na szubienicę skazanym został, a jako w rewolucyi egzekucya natychmiast idzie po wyroku, wzięto też zaraz Skarszewskiego, poodejmowano z niego ubiór biskupi w kościele farnym i już był na plac prowadzonym, gdy Platerowie o tem ostrzeżeni, pobiegli do obozu Kościuszki, któremu oznajmiwszy o wyroku już wypadłym i o blizkiej egzekucyi, za winowajcą prosili. Przybiegł zaraz adjutant naczelnika do miasta z uwolnieniem od śmierci Skarszewskiego, i szczęściem zastał go jeszcze we drzwiach kościoła, wychodzącego do podjęcia śmierci.

Wtenczas dopiero Kołłataj już nie pokrywał niechęci swojej ku naczelnikowi, powstawał głośno przeciwko jego (jak mówił) dyktaturze, ale takim postępowaniem więcej sobie szkodził, niż tamtemu, a najwięcej dobru publicznemu przez robienie partyj i wzajemnej nieufności. W czasach tych prawie umarł prymas i wieść powszechna głosiła, że był od brata króla otruty; król do takiej akcyi nigdy nie był podobny, ale okoliczności go może do tego przymusiły. Powiadano i to, iż korespondencye prymasowskie z generałem rosyjskim, szkodliwe dla Warszawy, były złapane, i żadnym sposobem nie mógłby ująć

śmierci i Kołłataja i szubienicy, wolał tedy (co jest pewniejsza) wziąć sam truciznę, niżeli być powieszonym. To prawda, że choroba jego krótka i nagła była, a głowa i twarz cała niezmiernie po śmierci spuchły.

Tymczasem wojska rosyjskie i pruskie po więcej tygodniowem oblężeniu Warszawy, nacierpiawszy się głodu, w nocy odeszły.

Radość niezmierna panowała nazajutrz w mieście zwyciężkiem, wszyscy biegli widzieć pobożowsko i szańce nieprzyjacielskie, ale pod Powązkami znaleziono powietrze zarażone, a to z trupów nieprzyjacielskich, bez zasypania dobrze ziemią, na pół odkrytych leżących.

Wkrótce po odstąpieniu nieprzyjaciół ruszyło się także zwolna i wojsko nasze, opatrzone dobrze we wszystkie potrzeby. W czasie tym uformowano nowy regiment żydowski, przez samychże żydów dowodzony, a naczelnik, zrobiwszy plan ufortyfikowania miasta ze strony Pragi, wkrótce udał się za wojskiem. Upatrzyli wszyscy, otaczający naczelnika, iż w dniach ostatnich przed opuszczeniem miasta był bardzo niekontent z czynności rady, przepowiadali niektórzy zły koniec dla Kołłataja, jeżeliby Kościuszcze wojna udała się, a to samo niechęć ludu ku rządowi, że rząd znajdował często opór egzekucyi dekretów swoich.

Maciejowicka bitwa Kościuszki z Rosyanami odjęła wszelką nadzieję naszym; tam ranny i wzięty w niewolę Kościuszek, do Petersburga był odesłany; tymczasem w Warszawie nie zaniedbano usilności wszelakiej do bronięcia się, i Wawrzecki od rady najwyższej obrany był nowym naczelnikiem. Zgromadzały się do miasta w małych oddziałach wojska nasze, ale i wojsko rosyjskie wkrótce pod Pragę przyciągnęło; naszemu, jako zamkniętemu w obozach, dowodził Zajacek generał, moskiewskiemu—Suworow. Nieprzyjacielem przez tydzień cały gotowali się

do ataku, a szczupłość wojska naszego nie mogła dostatecznie opatrzyć wszystkich baterij do bronienia się, kartaczów nawet i granatów nam niestawało. A co najgorsza, w porze jesiennej, zimno żołnierzowi źle ubranemu dokuczało, do czego i głód się przylączył. Mieszkaniec Warszawy z trudnością i to w malej liczbie do okopów pragskich wychodził, a nawet u siebie zaniedbali dawnego porządku żołnierskiego. Rząd zaś pod Wawrzekim słaby, oprzeć się temu nie mógł, sam tylko regiment żydowski nie odstępował nigdy okopów i pilnie robił powinność swoją. Ale nie sami mieszkańcy Warszawy opuścili się, kawalerja narodowa zgorzeniem była dla innych swoją niedbałością o los ojczyzny, i wtenczas, kiedy widoczny upadek nasz już tak był bliski nie na obrońnię ojczyzny, ale po teatrach i bilardach pełno ich było, na co wojenna władza, jak i cywilna, oczymiała zamknięte. Suworow tymczasem, który dowodził wojskom rosyjskim pod Pragę, spodziewając się długiej obrony naszych, zaczął się okopywać pod Pragę. Tej robocie mogliśmy przeszkodzić, ale nie chcieli; nareszcie podszedł nieprzyjaciół noca pod baterje, litewskiem wojskiem osadzone, i wziął je bez wystrzału przed świtem, w półtorej godziny pełna była Praga wojsk nieprzyjacielskich.

Dzień ten, a bardziej noc następująca, okropna była dla Warszawy, pieniądze i srebro głęboko w piwnicach zakopywano, większa część mieszkańców z miasta ustąpiła, nazajutrz z rana na kilku razem miejscach został zgromadzony lud przez trębaczów; czytano mu wzywianie rady najwyższej, a żeby bronić się nieprzyjacielowi; lecz nie widać było żadnej ze strony ludu ochoty, ani kroków żadnych do bronienia się; kilka regimentów znużonych, przybyłych z Pragi, po różnych ulicach miasta rozstawiono, król tymczasem wozy swoje pakować kazał, ale lud napelnił całe podwórze zamku i pilnował króla, aby

nie wyjechał; lecz sprzykrzywszy sobie, zostawił nareszcie straż tę żydom samym.

W tym razie okropnym rada najwyższa, już rozpuszczona po części, uznała potrzebę kapitulacyi z Rosyanami. Ignacy Potocki z Burakowskim ofiarowali się płynąć na Pragę do Suworowa. Podług więc kapitulacyi tej, przyrzekają wszelką amnestyę i bezpieczeństwo obywatelom warszawskim, naprawiono natychmiast most spalony, mieszkańcy pozamykali wszystkie drzwi do domów, nikomu w oknie pokazać się nie wolno było, a tak Rosyanie weszli do Warszawy. Zaraz potem złożyć musieli mieszkańcy wszelką broń na ratuszu i odbierali znaczki, za którymi później tę broń oddano.

Miasto stało się wkrótce bardzo nieludne przez bojaźń prześladowania, a Kollataj w dzień wzięcia Pragi wymknął się z Warszawy, z której w późniejszym czasie podług układu trzech dworów wojska rosyjskie ustąpiły, a pruskie i miasto i kordon swój objęły.

Blizko po upadku naszym polubił mnie blisko stojący kwaterą generał kozaków czarnomorskich, Czepicha, który dawniej był koszowym, czyli hetmanem kozaków siczowych, tak sławnych na Ukrainie napadaniem i rabowaniem wiosek polskich;

Nareszcie jak we wszystkich dawniej upadłych narodach, tak i w Polsce, między innemi przyczynami zbytki obywatela upadek ojczyzny przyspieszyły, stoły najwytworniejsze, ekwipaże i ubiory kosztowne, szukanie wygod, jakie tylko znaleźć można, i rozpusta lubieżna do najwyższego stopnia posuniona, zniechęciła naród i do trudów albo hazardów wojennych zrobiła go niesposobnym. Ale i magnaci za swoją nieżyczliwość ojczyźnie, insi swojego czekają końca, insi już w oczach naszych nagrodę wzięli. I tak książę Adam Poniński, podskarbi wielki koronny, który przed kilkunastu latami Polską trząsł całą, po upadku kraju w ostatniej żył nędzy, że kieliszka wódki

w szynkach warszawskich nie miał czem zapłacić, i wypiwszy, uciekał, potem nędznie na ulicy umarł. Szczęsny Potocki ze zgryzoty sumienia życia dokonał i jeszcze od potomków za konfederację swoją targowicką, która początkiem zguby naszej była, będzie przeklinany, a inszych, jak się wspomniało, powieszono.

Czyliż znieść można, abym im nie zlorzeczył, kiedy patrzyłem na to, jak swoją matkę te wyrodki dzieci zabijały? Wyłączyć należy małą bardzo liczbę z pomiędzy magnatów prawych dzieci ojczyzny mojej, a między niemi Pocięja, który osobiście walcząc, na pół umarły z placu bitwy do obozu był przyniesiony.

Wyłączyć potrzeba i Karola Prozora, oboźnego litewskiego, tego prawdziwego ojczyzny swej miłośnika, on, jak się wyżej wspomniało, swoim trudem i kosztem Kościuszkę z za granicy do kraju sprowadził, on potem na Wołyniu i w Mińskiem wojska nasze do stałości w służbie narodowej, objeżdżając je, zagrzewał, że nareszcie Katarzyna łapać go wojskom swoim, naczynając największe nagrody, ktoby go pojmał, nakazała. Już zewsząd otoczony, tułając się po lasach, bez nadziei ujęcia rąk nieprzyjacielskich, przebrany po wieśniacku, zabrudziwszy twarz najpiękniejszą, bo ja nie znałem mężczyzny przystojniejszego, przyszedł do kapitana, sprawnika tego powiatu, dawniej naszego, a już do Rosyi należącego, i dobrowolnie przyznał mu się, że był Prozorem, którego tak pilnie poszukują. Ten sprawnik był Polak zruszczały, i kiedy mu rzekł Prozor: „Jeżeli czujesz jeszcze krew szlachecką Polaka, ratuj nieszczęśliwego Prozora.“ Wzruszony kapitan sprawnik ratunek obiecuje, i wiedząc o położeniu wojsk rosyjskich, bokami z nim wymknąć się zamyśla, a zrobiwszy Prozora woźnicą swoim, wyjeżdża z nim na wózku z pomiędzy miejsc niebezpiecznych. Miał pod siermięgą Prozora pistolety, ale wziął z sobą sprawnik i swoje, i kie-

dy w drodze Prozor niespokojny rzecze mu: „a to o ćwierć mili stójka jest kozaków na mnie czekających, może Wmśc tak wielkimi nagrodami ujęty zawiedziesz mnie?“ a sprawnik odpowie na to: „Oddaję waćpanu moje pistolety, a jeżelibym tak zrobić chciał, zaraz mi w piersi z nich wypal.“

Szczęśliwie wyszedłszy z tego niebezpieczeństwa, po ostatnim rozbiórze kraju schronił się za granicę i tam aż do śmierci Pawła imperatora żyjąc, że mu powrócić w Mińskie do żony i dzieci nie wolno było, cały piękny majątek po ojcu wzięty stracił, tak na wydatki dla ojczyzny w czasie rewolucyi, jako po upadku na ratowanie za granicą tylu nieszczęśliwych zbiegłych tam Polaków. Kiedy tu w kraju tymczasem i żona jego mało dóbr swoich posażnych do 150 tysięcy intraty rocznej czyniących nie straciła, które Nieplujew, gubernator miński, już był na skarb monarszy skonfiskował, jako dobra należące do Prozora.

W tym ciężkim razie Prozorowa pojechała do Petersburga, a tam, kiedy się imperatorowa Katarzyna dowiedziała, że ta nieszczęśliwa żona była z carów Szujskich, prostą linią pochodząca od Szujskiego cara, którego Żółkiewski, hetman, do Warszawy więzieniem przyprowadził, a potem Zygmunt, król nasz, dobra mu obszerne w Brzeskiem nadał, przez wzgląd na krew tak szlachetną folwarki wszystkie Prozorowej z pod sekwestru wypuścić kazała. A Prozor sam dopiero na początku panowania Aleksandra I, mając pozwolenie powrócenia do kraju, ucieszył żonę, dzieci i między tylu inszymi, mnie także, dawnego swego przyjaciela, od którego wzajemności doznając, resztę dni smutnych starości mojej cieszę. Ale jakże daleko odemnie bawi on teraz w domu swoim w Mozyrskiem, będąc tam najlepszym jak i dawniej dla swoich wieśniaków panem, i gdyby tak przed upadkiem insi magnaci postępowali byli z biednymi poddanymi, nigdybyśmy do takiego końca nie przyszli, bo wie-

śniak, kochający pana swojego, kochałby i ojczyznę wspólną, i wspólnie był jej najszczerzej bronił.

Niżeli trzy mocarstwa rozebrały do reszty Polskę, którym rozbiorem Kraków dostał się cesarzowi austriackiemu, Warszawa królowi pruskiemu, a Wilno z Litwą Rosyanom; król do czasu mieszkał w Warszawie, straciwszy Polskę i nieładem obywatela i swoim niewieściuchostwem. Był w Warszawie, niżeli tam rząd pruski przyszedł, gubernatorem generał rosyjski Bukszewden, ten tak się przykładnie z obywatelami obchodził, iż mu wychodzącemu z tego już pruskiego kraju, obywatele kazali wybić medal na wieczną pamiątkę dobroci serca jego dla mieszkańców Warszawy. Takim był także, chociaż zkadinał popędliwy, książę Repnin, generał-gubernator litewski.

Kiedy tak i naród i nadzieja powstania jego upadła, porozchodzili się waleczni nasi obywatele po świecie całym. Wielu ich mieszka dotychczas w Ameryce, Azja i Ameryka widziała ich walczących przy wojskach francuskich; największa zaś część żołnierza polskiego w poformowanych legionach, do dwudziestu kilku tysięcy wynosząca, została w służbie francuskiej pod dowództwem generała Dąbrowskiego, i wstawili się w tej służbie walecznością, prócz tego generała, Sułkowski, Kniaziewicz, Zajączek i wielu innych.

Wkrótce po upadku Polski imperatorowa Katarzyna nam, pod jej panowanie przypadłym, przysięgę wierności naznaczyła. Zjechaliśmy się podług nakażeń do powiatu naszego Prużanny, gdzie przysłany był do słuchania nas przysięgi, jako i po wszystkich powiatach w jednymże dniu przysięga na wierność nakazana, pułkownik rosyjski Żuków. Kilką godzinami przed przysięgą przyszedłem do tego pułkownika, znalazłem go najgrzeczniejszym dla wszystkich, a osobliwie dla mnie; jak on mówił, słyszał o mnie wiele dobrego. Sam mnie uczył, jak mam podczas przysięgi prawą rękę do góry wzniesioną trzymać,

jak dwa ostatnie palce u tejże ręki zakrzywić, a trzy pierwsze trzymać wzniesione do góry, potem żebym głośno słowa dyktowanej mi przysięgi wymawiał. Przyszedł czas przysięgi w cerkwi prużańskiej parochialnej. Tyłem obrócenie do wielkiego ołtarza staliśmy obywatele, przed nami do nas zwrócony stał pułkownik Żukow, dla uważania przysięgi naszej. Ja prawą rękę podług nauki do góry wzniesioną trzymałem, ale słowa przysięgi cicho w mym smutku wymawiałem. Po tym obrządku dopełnionym zaproszeni byliśmy na obiad do pułkownika, gdzie mówił mi, iż uważał, że nie głośno wymawiał słowa przysięgi. Odpowiedziałem mu, że to jest prawda, a czyniłem to umyślnie, z przyczyny, bo myślałem, że Pan Bóg śpi podczas naszej przysięgi, i żeby go nie obudzić, cicho wymawiałem przysięgę. Nietylko się o ten żart nie rozgniewał, ale nawet uśmiewając się do sytości, odpowiedział: że może Bóg i spał i podczas naszej przysięgi. Kiedym się z nim po obiedzie żegnał, puścić mnie nie chciał, oświadczając, że na jutrzejszych wyborach sędziów powiatowych miał się przyłożyć, żebym był wybrany prezesem sądów ziemskich prużańskich, z czego ledwom się mu wyprosił, chcąc żyć spokojnie, jak i dotychczas prywatnie żyję. W tymże dniu generał-gubernator litewski książę Repnin, po wypełnionej przysiędze przez obywateli, dawał bal wielki w Grodnie, na którym, chociaż sam lubił tańczyć, cały ten dzień wstrzymywał się od tańca, przejęty uczuciem, jak sam potem powiadał, upadłego narodu polskiego, z imieniem nawet swoim. Ale nasi narodowcy najwesелей ten dzień w tańcach, jak gdyby za najlepszych czasów, przepędzili. Toż samo w Wilnie w tymże dniu generał komendant tamtejszy bal dawał, i kiedy nasi krajowcy ochoczo mu tej wesołości dopomagali, jedna tylko obywatelka, piękna pani Gorecka, od tańca wstrzymała się. Przyszedł do niej generał, i widząc, że z nikim tańczyć nie chciała, prosi, ażeby

jemu przynajmniej ten honor uczyniła i z nim jeden taniec przetańczyła, ona wtenczas, zalawszy się łzami, z szlochaniem rzecze mu:

— Czegóż Wpan chcesz, ażeby na pogrzebie mojej matki ojczyzny tańczyła.

Zawstydzili się wszyscy obywatele i tańce skończyły się. Niestety to już narodu, kiedy między tańcami obywateli jedna tylko kobieta ojczyzny swojej żałowała.

Już książę Repnin, jako gubernator wojenny, mieszkając w Grodnie, rządził Litwą całą, dokąd i król nasz nieszczęśliwy z Warszawy przeprowadzony. Pojechałem do niego zaraz i po opowiedzeniu się przez szambelana, w kilka minut przyjsć mi do siebie pozwolił. Zastałem go samego; obaczywszy mię, zalany obfitemi łzami, rzecze:

— Błysnęło nam szczęście i jakże prędko zupełnie zniknęło

Cieszyłem go jak mogłem, ale myślałem, że i ty królu do tego nieszczęścia przyłożyłeś się. Puścić mnie nie chciał więcej tygodnia z Grodna, gdzie wieczory z nim smutnie przepędzaliśmy. W tym czasie i z księciem Repninem przed podskarbinę litewską Dziakońską i szefa Stryjeńskiego poznałem się, który mnie szczerze polubił i wiele tego dowodów mi potem dawał; znał już od Dziakońskiej niektóre moje wiersze, a między innemi: „Ja, co nieszczęściami słynę, umiem przetrwać złą godzinę etc.“ umiał na pamięć niektóre najtkliwsze strofy. Szef do tego Stryjeński, a mój doświadczony przyjaciel, wiele mu o mnie nagadał, że zawsze w Grodnie będąc, najlepiej od Repnina przyjmowany byłem. Króla wtenczas w Grodnie żegnając, kiedy mnie jeszcze wstrzymywać chciał, wymówiłem się potrzebą wyjazdu do gospodarstwa, w kolonii mojej zostawionego.

— Albo masz kolonię—okrzyknie mnie—daj jej imię Justyna.

A ja mu na to:

— I ta Justyna i Karpiński przy niej z głodu zdechnie bez pieniędzy.

Król zamilkł, a ja wyjechałem do domu.

Kolonia bez łożenia pieniędzy niczem byłaby, ale więcej 30 tysięcy łożonych na trzebieenie gruntów, zabudowania dworskie i wieśniacze zrobiły ją tem, czem jest teraz. I król nie wiedział, że miał kolonię, bo w mnóstwie, biorących przywileje, nie uważał król, kiedy i dla mnie przywileje podpisał. Dawano te grunta przywilejem dla dobra samychże królów na potem, że biorąc my tylko dzikie zarośla po latach 50 dzierżawy, król każdą kolonię na skarb swój odbierać miał podług przywileju, bez żadnej za wszystkie wydatki nasze nagrody; a to z większym pożytkiem przyszłych królów być miało, niżeli uprzywilejowanych natenczas kolonistów, że bez żadnego kosztu ze skarbu łożonego, osiadłe wioski, jak i moja, od 20 wieśniaków odbierać mieli.

Bywałem potem częściej w Grodnie, tak dla króla mieszkającego, jako i dla księcia Repnina, który lubiąc mię, prosił w poufności, żebym i dla niego też co napisał. Obiecywać musiałem, alem myślał, że mi ciężko będzie obietnicy dotrzymać. Po dwóch leciech, kiedy ten książę był na polowaniu w puszczy białowiejskiej, w której i ja mieszkalem, przyjechałem do niego; wtenczas kiedy mi przypomniał niedotrzymaną obietnicę moją napisania dla niego wierszów, ja mu odpowiedziałem: „Cóż mam pisać, mości książę? po upadku ojczyzny mojej jestem smutnym, a smutny pisząc nikogo zabawić nie może.“ On mi na to rzecze: „Napisz mi i smutno, bylebyś napisał.“ A wtenczas napisane odemnie wiersze, pod tytułem do księcia Mikołaja Repnina, które potem wszyscy je czytający zanadto śmiałości uznawali, a sam Repnin, kiedy je mu posłałem do Petersburga, w liście swoim do mnie to umieszcza: „iż widać to w moich wierszach, że go miałem za pra-

wdziwego przyjaciela, kiedy mu takie wiersze pod surowym rządem rosyjskim posyłałem.“

Ten opryskliwy i w zapale czasem nieumiarkowany książę był w gruncie serca poczciwym człowiekiem. Kiedy raz z wzruszenia powiadał mi o jakimś w Litwie Wołku, który memoryał mu podał na swoją matkę, jakoby ona ojca jego, a męża swego struła, tym sposobem żądając zbycia się matki przez kata, ażeby niemając nic po ojcu, jej majątek zabrać mógł, który matka jego, uchylając złego syna swego od sukcesyi, przysięgłemu małżonkowi swemu zapisać chciała, Repnin to mi powiadając, zapłakał nad tym wyrodnym synem, dodając: „Ojciec bywa naszym nieprawdziwym ojcem, ale matka zawsze matką.“

Kiedy Miaczyński, ów kiedyś poseł na sejmie sywersowskim, sławny braniem pensyi od Prus i Rosyi, a tem samem zdrajca ojczyzny swojej, przejeżdżał do Peterburga przez Grodno, chcąc się widzieć na krótko z księciem gubernatorem, stanął pocztą na dziedzińcu Horodnicy w Grodnie, gdzie mieszkał książę. Byłem wtenczas na pokojach, napelnionych gośćmi u Repnina, kiedy tamże wszedł ów pyszny zdrajca i przez księcia Cycianowa vice-gubernatora prosił, że jadąc do Petersburga, chciałby tylko bez żadnego interesu cześć winną oddać księciu Repninowi. Poszedł Cicianów do księcia u drzwi w gabinecie będącego i zaraz powiedział Miaczyńskiemu, że książę gubernator bardzo teraz zabawny *). Czekając Miaczyński na pokojach około godziny, i znowu prosi tegoż Cycianowa, ażeby mógł na moment widzieć księcia gubernatora. Poszedł zaraz Cycianów i zaraz Repnin pokazał się, a kiedy do niego z komplementem przygotowanym bieży Miaczyński, książę go uprzedzając, z zapalem rzecze: „Czego ty chcesz odemnie, ja z tobą żadnego czynu nie mam.“ Wyszedł z pokoju zawstydzony Miaczyński, a my oby-

*) Zajęty.

(Przyp. wł.)

watele tą ohydą zdrajcy pocieszeni byliśmy, że jak dawno powiadają: „Zdrada zawsze od przeciwnej strony lubiona, ale zdrajca pogardzonym bywa.“ Lubił mię także i ten pocziwy Georganin, książę Cycianów, z którym raz o upadku ojczyzny mojej rozgadawszy się, kiedy mię badał, co by było przyczyną tej ostatniej zguby naszej, odpowiedziałem mu: „Przyczyna cała, że u was w Rosyi kobieta królem, u nas w Polsce król kobietą.“

Po niejakiem czasie książę Repnin z woli swojej monarchini żądał od króla naszego autentycznej na piśmie tronu polskiego rezygnacyi. To żądanie (jak powiadano) było razem i inszych dwóch dworów, z Rosyą rozbierających do reszty Polskę. Ten krok ich ostatni zdaje się, że nie był potrzebnym w narodzie wolnym i wolno sobie obierającym króla, bo tę abdykacyę raczej naród robićby powinien, któremu zawsze, niemając króla dziedzicznego, wolno było mieć króla, albo go nie mieć.

Wkrótce potem imperatorowa, Katarzyna II-ga, ta prawdziwa Semiramis północna, umarła. Rząd za jej panowania mocny, jej samej wiadomość największa politycznych interesów Europy, stałość w utrzymaniu układów swoich rzadka, powodowanie senatem i ministrami, dla dobra kraju szczególnie będą w potomności w dziełach rosyjskich sławić tę monarchinię. Miała przyczynę, wystawiając jeden z najpiękniejszych w Europie posag Piotrowi Wielkiemu, imperatorowi, napisać pod nim, uchylwszy wiele podpisów, które jej podawano, także przez siebie samą zrobiony: „Piotrowi I Katarzyna II.“ Bo prawdziwie tyle, albo więcej, jak tamten zrobiła w Rosyi, ucywilizowaniem jak można było narodu, podbiciem tyłu krajów, jako to: Polski, Krymu, Tartary oczakowskiej, i co Piotr pochylił się był z Turczyńcem w wojnie nad Prutem, Katarzyna przez swoich generałów przeszła za Dunaj i za trzęsła tronem carogrodzkim, nawet gdyby jej po-

zwoliła była Europa, pewnieby go obalili. Cóż mówić o tyłu funduszach w Petersburgu i w państwie dobroczynnych, o jej miłości, którą sobie zjednać umiała u ludzi i wojska? O jej przytomności w poradzeniu sobie w przypadkach?

Rzecz mała, ale oświeci dobrze, jaka była jej przytomność umysłu we wszystkim. Przechodząc się raz po ogrodzie w Petersburgu z małemi wnukami swymi, Aleksandrem i Konstantym, starszy, a teraz panujący Aleksander, dziecko natenczas, napierał się u babki, ażeby przeszedł na drugą stronę rowu jakiegoś błotnisteo i zielskiem zarosłego; przekładała mu imperatorowa, że rów był tak błotnisty i nie łatwy do przejścia, iż zaś koniecznie przejść go chciał, pozwala babka, i gdy w błocie Ignąć zaczął, nazad się wracać żąda, ale Katarzyna gwałtem go przeprowadzić każe, i znowu nazad przeprowadzającym powracać. Dopiero zwalanemu wyżej pasa i płaczącemu chłopcu rzecze: „Ty na to urodziłeś się, ażeby kiedyś rządził narodem, roztrząsaj tedy wszystko, co robić masz, a raz postanowiwszy, z ostatnim azardem wykonywaj, albo rady dobrze radzących słuchaj.“ Podobna była prócz innych przytomność jej kiedy senat już potwierdzić miał komuś dawniejsze jakieś pismo, które wiele zysku z cudzą szkodą dawało składającemu go przed sądem, ale które było w porozumieniu za zmyślane. Katarzyna kazała sobie ten papier podać i przeciwko okna go rozwinawszy, znalazła (jak często w papierach to robili) rok, którego był ten papier robiony wyrażony, a rok daleko późniejszy od daty skryptu wspomnionego.

Po śmierci Katarzyny wstąpił na tron syn jej, Paweł, najbardziej lubiący sprawiedliwość, ale razem w najwyższym stopniu zapalający się. Za jego krótkiego panowania żołnierz od dawnej swawoli wstrzymany, kradzież skarbu poskromiona i bojaźń jedna wszystkie stany państwa utrzymywała.

Książę Repnin od imperatora Pawła wysłany

był posłem do króla pruskiego do Berlina, ażeby go namawiał do ligi z Moskwą przeciwko Francuzom. Ten książę, równie dumny, jak bywał za Katarzyny, która trzęsła Europą, nie mogąc długo nakłonić króla, rzekł mu nakoniec niecierpliw: „Albo z nami królu, albo przeciw nam!“ Co tak obraziło króla pruskiego, że w głos przy inszych ministrach powiedział: „Jestem udziałnym królem i nikt mnie prawa pisać nie będzie, pamiętaj książę, że to Berlin nie Warszawa, ani Teszyn, żebyś z takimi tonami gadał.“

Doniósł o tem król imperatorowi, że dla tonów Repnina, co tylko był posłem prostym, tembardziej jeszcze swojej neutralności nie odstąpi.

Tenże książę, bawiać w Berlinie, gdzie natenczas i posłowie rzeczywistej francuskiej, na których czele był Syés, znajdowali się, którzy przepisany dla swoich posłów sposobem po starorzymsku w paludimentach prezentowali się, ni przed kim czapki wolności, chyba przed samym królem, na pokojach przytomnym, nie zdejmując. Obrażony tym ich postępkim dumny Repnin, Syésowi publicznie powiedział, że ten strój jego był prawdziwie teatralnym. Odwołany Repnin do Petersburga, popadł w niełaskę Pawła, odebrana mu gubernia litewska i prywatnie w domu swoim życia potem dokonał.

Ku końcowi rządów Repnina w Litwii król nasz, za rozkazem Pawła z Grodna przyprowadzony do Petersburga, gdzie wystawnie kosztem imperatorskim żyjąc, był tak nierozumny, że do cudzej już Warszawy po mąkę pszenną marymonką kilka bryk posłał z Petersburga, jak gdyby się uragał żywiącym Rossyanom, że mąki dobrej nie mają. Ale nie jadł już z tej mąki, bo kiedy mąka do Grodna przyszła, on życia nieszczęśliwego dokonał w Petersburgu i Paweł imperator pogrzeb mu najwspanialszy wyprawiał. Leżał na bogatym katafalku z koroną na głowie w ogromnej sali, gdzie trupa przez dwa dni

odwiedzał Paweł, chodząc do sali, w której leżał, z mnogą świtą. Najpierwej wszedłszy, przy drzwiach nisko trupowi uklonił się, bliżej katafalku przyszedłszy, kłaniał się jeszcze niżej, a przy samym trupie, ledwie ziemi, kłaniając się, czołem nie dotykał, co wszyscy, przy nim będący, robić także musieli, a to w celu (jak mi potem generał rosyjski Kamiński, przytomny tej scenie, powiadał), że jeżeli trupowi królowi takie uszanowanie sam imperator czynił, jakże żywych monarchów ludzie szanować mają?

Na miejsce Repnina gubernatorem cywilnym grodzieńskim był Dymitr Koszelów, gubernator przeszły tobołski, wślawiony pochwałami za Pawła, na Syberyi wówczas będąc, a bardziej jeszcze głośny najłagodniejszym swym rządem w gubernii grodzieńskiej. Ze słodyczą wspomnieć, z jakim ten człowiek był przywiązaniem dla Polaków. Po Litwie, po Wołyniu szukał Koszelewskich, ażeby on Koszelow do nich należeć mógł i najmilsze mu zawsze było bawienie z nami, Polakami. Wiedzano o tem w Petersburgu i to było przyczyną, że go z grodzieńskiej na tambowską w starej Rosyi przeniesiono gubernią. On mnie nazywał swoim bratczykiem, a ja temu cnotliwemu człowiekowi, oddając książkę mego Platona, drukowanego natenczas w Grodnie, oddałem mu razem i wiersze osobne, jak wart był na pochwałę jego drukowane. Jemuż, tak cnotliwemu gubernatorowi Litwy, podałem był na piśmie projekt zbierania dobrowolnych składek w każdym powiecie, z których zebrana suma lokowana być miała na pewnych dobrach, a od niej coroczny procent miał być corocznie oddawany na posag dwojgu najuboższemu, a razem mającym od powiatu zaświadczenie najcnotliwszym nowożeńcom, nie wyłączając od tej czynności dzieci nawet najuboższych wieśniaków, ażeby tym sposobem zachęcać lud ubogi do życia cnotliwego; ja sam sto dukatów ofiarowałem na tę składkę i ofiarując się kwestować w mym powiecie, spo-

dziwiałem się do 2,000 dukatów sumę przyzbierać. Przyjął ten projekt Kōszelów z największym ukontentowaniem, ale go wypełnić nie miał czasu, bo w ćwierć roku odebrano mu tutejszą gubernię i wyjechał z Litwy.

Na końcu życia Katarzyny zaczął słynąć dziełami wojennymi Napoleon Bonapartę, potem cesarz Francuzów. Ten prócz inszych dzieł dawniejszych podczas anarchii republikańskiej, dyrektoryatu francuskiego, wysłany był do Egiptu, który to kraj wkrótce zawojowawszy, przeniósł się potem do Azji i tam dzielnie Turkom opierając się, dowiedziawszy się o nieszczęściach bezrządnej wtenczas Francyi, z największym niebezpieczeństwem swoim, otoczony zewsząd nieprzyjawnymi flotami Anglii, przebył morza i szczęśliwie na małej galerze stanął w porcie francuskim Frejus. Wkrótce potem pierwszym konsulem obrany, rzadką przewagą z kilkudziesiąt tysiącami nowo zebranego żołnierza przedarł się z tem wojskiem i armatami przez śniegiem od wieków zasypane góry alpejskie i niespodziewany stanął przeciwko Melasowi, generałowi, komenderującemu wojskami austriackimi, we Włoszech. Bitwa pod Marengo, którą zupełnie wygrali Francuzi, stanowiła o losie Europy i mocarstwa upokorzone, do traktatu w Amiens przystąpiły.

Ale Anglia, chociaż do tego traktatu pisała się, niespokojna z przemocy w Europie Francuzów, o nowej burzy skrycie rozmyśla, a potem pieniędzmi swemi głośną robi koalicję, cesarza niemieckiego i Rosyą ogromnemi na zapłacenie ich wojska, któreby tylko dać mogli, opatrując sumami. Do tej koalicji król pruski przystąpić nie chciał i powiadają, że strasząc Anglików, prędzejby się złączył z Francuzami, niżeli z koalicją. Anglia, bojąc się tego, tyle mu dała pieniędzy za neutralność, ile tamtym dwom mocarstwom na utrzymanie wojsk ich.

Tymczasem Francuzi, sprzykrzywszy sobie 15-letni republikański nierząd, Napoleona Bonapartego cesarzem swoim obierają; sprowadzony z Rzymu papież, sam go w Paryżu koronował, w którym dniu całym pochmurnym w czasie wyrzeczenia słów przysięgi w kościele przez Napoleona, słońce się pokazało i znowu zaraz chmura go skryła. Lud z tego zdarzenia pomyślność narodowi wróżył, a więcej jeszcze, kiedy balon w dzień koronacji z wypisem tej uroczystości na powietrze wypuszczony, burzą porwany, nazajutrz (jak się potem pokazało) niedaleko Rzymu znaleziony, sądziło powszechnie pospólstwo francuskie, że sam Bóg o ich szczęśliwości stolicy chrześcijaństwa Rzymowi donosił.

Wkrótce potem Napoleon i król włoskim w Medyolanie koronowany, na wojnę przeciwko cesarzowi austriackiemu, złączonemu z rosyjskim, wyciągnął, i zabrawszy Ulm, a potem Wiedeń, stolicę cesarzów, stanął pod Austerlitz, a po dawnemu Szlaków nazwanem w Morawii, gdzie jeden cesarz, ta szabla Boża Bonaparte, dwóch przeciwko sobie przywodzących osobiście cesarzów pokonał. Austriacki pokorą ujął zwycięzcę, że mało co straciwszy, pokój otrzymał; rosyjski do domu z resztą niedobitków powrócił.

Dopiero król pruski, zaufany w dawnej chwale wojsk swoich, złączywszy się z Rosją, angielskimi pieniędzmi wsparty, koalicją Niemiec północnych robi, czarny manifest po gazetach europejskich przeciwko Napoleonowi ogłasza, i wkrótce zaczawszy wojnę z Francuzami, którym cesarz ich przywodził, decydującą batalią pod Jeną upada. Kraj mu cały opanowawszy i wszedłszy w kordon jego, od Polaków odebrany, narodowców naszych Polaków do zbierania się przeciwko Rosji Napoleon rozgrzewa, czyniąc im nadzieję przywrócenia zgubionej ich ojczyzny. Kilkadziesiąt tysięcy naszych, złączonych z Francuzami, walczyli trzy ćwierci roku przeciwko

Rosji, i chociaż ostatnią decydującą batalię wygrał Napoleon, przecież traktat z Rosją w Tylży zrobiony, część jeszcze dawnego kordonu pruskiego do Rosji przyłączył, a Polacy przy reszcie dawnego kordonu pruskiego, Księstwem Warszawskim nazwani, pod panowanie króla saskiego dostali się.

Od upadku Polski w r. 1795, spokojnie siedząc w kolonii mojej, która z ostępu, dawniej Kraśnik nazywanego, dzisiaj się Karpinem zowie, uprawiałem rolę zapomniany od króla i panów, a samemu tylko w poprawieniu losu mpmo, przemysłowi mojemu zostawiony. Mogłem mieszkać gdzie w mieście jakim i żyć z procentu 2 000 dukatów, które miałem natenczas, ale znając cokolwiek świata wielkiego, że ledwie na nim dziesiąta część ludzi znajduje się, z którymby niecierpliwemu żyć można było, żeby się z niemiłymi mi ustawicznie nie zdybywać, wolałem osiaść w lesie, gdzie porobiwszy około domu mego ogrody silne, ocalałem się od wilków i niedźwiedzi; w mieście zaś mieszkając, jakiż sposób odgrodzenia się od złego człowieka, żeby mię nie nadszedł? Przypadać do tego należy, że kiedy mojej ojczyzny w zgromadzeniach między ludźmi nie zobaczę, cóż mię tam rozerwać i zabawić może? Ta myśl ze mną do stołu siada, z tą spać się kładę. Mam dom dosyć wygodny, i nikomu pałaców nie zazdroszczę, dwie potrawy przy chlebie smacznym na obiad i dwie na wieczerzę, oto już cała uczta moja. Przy wielkim gościńcu mieszkając, miewam często i gości, ale jakże ich wiele jest, którychbym rad i nigdy nie miał. Jeden importun *), że często do miasta powiatowego jeździł, a droga mu koło mnie przypadła, nigdy nie opuścił, a żeby mię kilka godzin gadaniem bez związku żadnego nie nudził. Ani u sąsiadów moich będąc, więcej nie żądam, nad ulubieńsze mi kaszę i pierogi. Opodał trochę odemnie, jesteś przy-

*) Natrętny.

(Przyp. wł.)

jacielu Stryjeński i coś jeszcze jest, co mię czasem do domu twojego odstręcza, a ty cnotliwy Badeni, w inszym kordonie mieszkający i więcej stu milami odemnie oddalony, jakże się przyjaźnią swoją pocieszyć mam! Tu w powiatach okolicznych jakże już wiele nabiegałem się, a przyjaciela znaleźć nie mogę. Miałem go niby, kiedy on był nieszczęśliwym po upadku ojczyzny, bawiłem go w smutku, ratowałem pieniędzmi i cieszyłem ubóstwo jego. Trochę potem zapomniany zrobił się dla mnie pysznym i znowu nieszczęśliwy do mojej się uciekł przyjaźni, ale raz odrzucone i pogardzone serce moje przez niego już się ku niemu nawrócić nie chciało, i byłem stały nie dbać o niego potem. Inszy magnat niby z powodu przyjaźni dla mnie ofiarował mi 3,000 dukatów, bylebym przy nim mieszkał, podziękowałem za dar tak piękny, nie podejmując się mieszkania przy nim, chcąc być wolnym od śmierci, zwłaszcza kiedy mi na kawałku chleba i wygodzie w domu moim nie zbywało. „Ale (powiedziałem) z daru tak pięknego, który jegomość ofiarować chciałeś, widzę to, że mię lubisz, otóż przez wdzięczność bez żadnej pretensyi, zwłaszcza niedaleko od pana mieszkając, kilka razy na rok w dom pana przyjadę i po kilka niedziel bawić będę.“ Przyjął magnat ukontentowany przyrzeczenie moje, i zaraz wtenczas u niego trzy niedziele bawić obiecałem. Po kilku dniach mieszkania w jego domu, o coś posprzeczaaliśmy się z sobą i widząc go bez przyczyny upartym, rzeknę: ja mam te i te przyczyny, na dowód tego co mówię, a pan daruj mi, żadnej nie masz. On wtenczas rozgniewany: „A wpan widzę lubisz się sprzeczać.“ Ja mu zaś na to: „Tak jest, mój panie, sprzeczam się, bom pieniędzy nie wziął od jegomości, które, gdybym był przyjął, jakaś wdzięczność kazałaby mi zawsze powtarzać, tak jest, panie dobrodzieju.“

Inszy magnat, otoczony równymi jak sam ma-

zem już umarł i pochowany. Żałował mię zaraz bardzo, ale dowiedziawszy się, że to ja dla niego tylko umarł, już mnie, na szczęście moje, nie odwiedza.

Żeby umartwienią, które zwyczajnie wydarza się w gospodarstwie, uniknąć, od kilku lat oddałem rząd cały w kolonii i dochody z niej roczne wnukowi mojemu po rodzonej siostrze, Franciszkowi Kozierodzkiemu, a on z tych dochodów żywić mię, dwóch ludzi moich i trzy konie powinien, resztę potrzeb ułatwiał z procentu, który rocznie odbieram od 4,000 czerwonych złotych.

Dawniej, kiedy sam jeszcze rządziłem, on miał klucz od śpichlerza, w którym gorzalka w kufach chowana; pokazało się po przemierzeniu, sprzedając kupcom, że w pół roku bycia jej pod kluczem jego niestało gorzalki podług percepty garnicy dwieście kilkadziesiąt. Ja w pierwszym impecie zapalczywy, że czasem aż chorowałem, o czym on wiedział, rzuciłem się do kija na niego, a on klękawszy, rzecze: „Przez moje niedbalstwo, że klucz czeladzi dawał do śpichlerza, gorzalka ta pewnie skradziona, bij mię jegomość, a nie gniewaj się, bo gniew zdrowiu dziadunia szkodzi. Opuściłem ręce i bić go nie mogłem, kiedy tak serce jego do serca mego przemówiło.“

Chciałem go żenić, żeby weselej z kobietami w domu moim było, ale kiedy już narzeczona, przyszła żona jego, zadyktowała mu, aby zaraz karetą dla niej, sześć koni i liberya była galonowana, porzucił fircyczkę, chcąc w domu gospodarnej, nie zaś trwoniącej majątek żony, jaką potem pojął, gospodarną i pocziwą kobietę, z której piękne ma dzieci. Wyjeżdża on corocznie po procent do księżnej krajczynej Sapieżyny na Wołyń, ponieważ ztamtąd mil kilkanaście tylko do ojca jego, w kordonie austriackim mieszkającego, kazałem mu, ażeby siostrę swoją od ojca do mnie przywiózł, żeby (ponieważ już była 18-letnia, jak mi mówił brat jej) i do domu moim rządziła, i tenże dom, prawdziwie klasztorny, bez ko-

biet, rozweselała. Stało się, jakom żądał, i panna Katarzyna, jadąc do mnie od ojca, wstąpiła z bratem w dom księżnej krajczyny Sapieżyny na Wołyniu, w czasie balu u tejże pani; fircyków wołyńskich mnóstwo i panien tamtejszych zgromadzenie, bawilo się najwesелей, a moja Kasia, blisko księżnej siedząc, pończoszki robiła. Sama księżna napisała mi to, że mówiła jej, aby się oraz z drugimi pannami bawiła, a ona jej odpowie: jakaż dla mnie zabawa, kiedy tu nikogo nie znam, nawet pisała mi księżna, iż oka nawet na bawiącą się młodzież nie podniosła. Uważał to w kompanii będący młodzian, Walenty Polanowski, starosta ostrzki, majątny obywatel tamtejszy, i widząc pannę przystojną, bo między pięknymi prawdziwie rachować ją potrzeba było, a do tego patrząc na nią tak skromną, rozkochał się w niej, który tyle już partyj przez bojaźń dostania złej żony odrzucił. Bawiła u księżnej więcej tygodnia wnuczka moja i miłość do niej Polanowskiego wzmogła się, wreszcie przyjechała z bratem do mnie, z listem księżnej, o wszystkim mi donoszącym. Znalazłcm Kasię prawdziwie piękną, ale co pierwsza, cnotliwa, gospodarowała mi w domu najlepiej, o Polanowskim zaś zawsze myślałem, że jak się zajął prędko ten ogień, tak i zgaśnie prędko. Aliści po 7-miu niedzielach bawienia w domu moim tej gospodarnej dziewczyny, przyjechało do mnie szczęście jej, Polanowski, z usilnemi za nim prośbami księżnej i matki jego, ażeby mu tego małżeństwa nie odmawiał. Cóż miałem robić, kiedy to dla mojej Kasi tak pomyślnem było, a nadewszystko, znalazłszy Polanowskiego grzecznym, cnotliwym, edukacyjnym, i jak teraz majątku więcej dwóch milionów mającym. W tygodniu ślub im w moim pokoju dany i najszczęśliwsiemi dzisiaj są małżonkami. Zdarzenie to zastanawia mnie nad losem ludzkim na świecie, inszy biega przez całe życie, i zdybać, choć umyślnie szuka, szczęścia swojego nie mógł, a tej sama fortuna szuka.

Polanowski najgrzeczniejszym jest teraz dla mnie, pisuje często, przysyła albo ciekawe książki francuskie, albo polskie druki i pisma, jak świeżo z Wołynia przysłał mi proces między Szczęsnym Potockim i generałem Złotnickim, gdzie ci dwaj zdrajcy ojczyzny zadają sobie w aktach publicznych, jako jeden drugiego na zgubę ojczyznę Polski, i na uciemięczenie obywatelów natenczas podzegał.

Już umarł Szczęsny, tym procesem znękany i mimo bogactw jego, pod gołem niebem leży, że kilkanaście tysięcy czerwonych złotych na kościół w tem miejscu, gdzie grób jego wyznaczono, sukcesorowie w karty przegrali. Wdowie po nim podchlebny Trembecki wiersze napisał, że połowa świata nad nią się zadziwia, a druga połowa jej zazdrości: przecież ona znana między nami tylko, że była kiedyś piękna.

Umarł niedawno na Wołyniu i drugi zdrajca ojczyzny, Miączyński, marszałek gubernii wołyńskiej, ale ten, ruszony sumieniem, przed samym zgonem pioruny z obłoków ściągał, ażeby go ubiły, za zdrady ojczyźnie swojej wyrządzone, a przytomnych przed śmiercią jego obywatelów prosił, ażeby na niego plując, nogami go deptali, czyby tak nie zbyt się zgryzoty, którą go zguba narodu niszczy.

Siedząc po większej części w domu, że po kompaniach obywatelskich nieznosni mi się zrobili fircyki, czyli zepsuta młodzież terazniejsza, która, nie lubiąc czytania książek i nie mając wiadomości rzeczy żadnych, wszystkoby decydować chciała, a nic gruntownie nie powie. Siedząc, jak mówię, w domu, napisałem najulubieńszą mi książkę: „Rozmowy Platona z uczniami swoimi,” i tę wydrukowaną imperatorowi Alexandrowi przypisałem, któremu, nie mogłaby żądać dogodniejszego narodowi monarchy. Przysłana mi od niego tabakierka kosztowna, pamiątką będzie, jak był łaskawym na mnie. Książka ta uczy ludzi religii, jaką naturalnym rozumem wystawić

sobie można, uczy razem i obyczajów, to myślałem, że może kiedyś obejrzą się ludzie i przypomną sobie cnotę, o której dzisiaj zapominają. Druga część tego Platona dotychczas nie wyszła, że ponieważ ona traktować miała o rządzie, ta materya, w terażniejszych okolicznościach, śliską zdała mi się i wołałem nic nie pisać, aniżeli pisać fałszywie. Wszelako zebrane myśli i moje i z inszych autorów w przydatku do tej historii ludzi ze mną żyjących, którą teraz piszę, będą wypisane, gdzie i reszta myśli moich, od Platona już wydrukowanych pozostałych, umieszczone będą, gdzie razem położę i insze pisma moje, które w druku jeszcze nie były. Gdyby był król albo magnaci, tyle mi się oświadczający, o poprawieniu losu mego myśleli, byłbym mógł zapewnić, nierównie więcej dzieł moich zostawić, ale głodnym będąc, wziąłem się raczej do roli, co mi teraz starość wygodniejszą zrobiła. Chciałem pisać poemat, pod tytułem: „Bohater Straszny,” jako jest już książka z włoskiego dawniej przetłumaczona, gdzie w moim dziele ten niby Don Kiszot miał wojować z Bogami niebieskimi, półbogami ziemskimi, bogami wód i piekielnymi, wszystko to w wesołym sposobie wyrażone, dzieciom zabawką, a razem nauką byłoby mitologii. Chciałem opisać wierszem terażniejszych państw Europy, co także młodzieży dla nauczania się łatwiejszego geografii byłoby użytecznem. Tyle prócz tego notatów na różne tragedye i komedye, jako zabierających mi czas do gospodarstwa potrzebniejszy, które mi i wyżywiać może, popaliłem. Zostały tylko rozmowy Platona we francuskim języku przez kapitana Sempini przetłumaczone, i manuskrypt pod tytułem: „Dzieciom dla ich zabawki, historii ciekawszych dawnego świata zebranie,” który ten manuskrypt dla dzieci już jest w druku w Wilnie.

Co się tyczy emigranta Francuza Sempiniego, następujące zdarzenie zrobiło mi go najprzychylniejszym. Słyszałem o nim, że z inszymi niesześliwymi

emigrantami pod wodzą księcia Kondeusza, bawił na Wołyniu około Dubna. Zapewniony o jego statku i talentach, pisałem do niego nieznajomy do nieznajomego, ażeby przyjechał do Litwy, w okolice moje, a wystarabym się mu sposobu jakiego życia. Był Sempini kapitanem w wojsku francuskim, a znalazłem go kiedy na mój list do mnie przyjechał, mającego uczciwą edukację. W sąsiedztwie swoim, w domu pułkowników Engelhartów, uczył synów języka i geografii, z pensją kilkadziesiąt dukatów; widząc, że to małem było dla niego poratowaniem, sprowadziłem aż z Mozyrskiego synów oboźnego litewskiego Prozora, a z inszemi z sąsiedztwa mego dziećmi pensya jego do 300 dukatów corocznie przychodziła.

Bawił mnie dom Engelhartów, gdzie ten pocciwy Francuz z dziećmi swojemi bawił, i jak w wieku moim terażniejszym z dziećmi się bawić dla mnie najmilej, aby ich czego nauczyć, tak i oni ze mnie pożytek, a ja z nich rozrywkę miałem. Wdzięczny mi Sempini napisał piosnkę francuską na pochwałę moją, w której i swoją dla mnie wdzięczność wyraża. Tę pieśń śpiewały z nim dzieci jak przyjeżdżałem w dom ich, i chociaż potem przeniósł się w dom inszy, ja i tam o nim nie zapomniałem, albo bawiąc, albo przynajmniej do uczniów jego pisując małe listy w materyach moralnych, ażeby mi w języku francuskim odpisywali, bez dokładania się guwernera, tylko jak sami myślą. Sempini się od kilku lat oddalił na miejsce zyskowniejsze, ja moją domową tęsknotę, często przerywam, jeżdżąc do domu tej cnotliwej obywatelki, wojskiej Laskowskiej, gdzie córka jej z inszemi kilką cnotliwemi panienkami pod guwernantką zdatną edukowała się. Tam mi najmielsza zabawa była z dobrimi temi dziewczętami, zadawałem pytania u nich będąc z tego, czego się uczyły, a oddalony pisując także do nich listy w materyach oby-

czajów. Prócz tego emigranta, sprzyjał mi się był, chociaż na krótki czas, z drugim: Comte de la Ferrone, bawiąc kilka niedziel w domu księżny krajczyzny Sapieżyny na Wołyniu, który takim osobliwym zdarzeniem znalazł się w domu księżny. Księżna krajczyna, młodą będąc mężatką, bawiła w Paryżu i miała znajomość z panem de la Ferrone, natenczas pułkownikiem. Potrzebna pieniędzy, jako nieznajoma, pożyczyć ich tam nie mogła. Pułkownik de la Ferrone zaręczył za nią w banku, pożyczono zaraz 2,000 dukatów i w terminie wyznaczonym z pieniędzy z Polski dla niej przybyłych dług zapłacony, wkrótce do Polski powróciła. Po trzydziestu kilku latach, kiedy księżna w dobrach swoich wołyńskich za Dubnem bawiła, dowiedziała się, że jakiś generał de la Ferrone jest w Dubnie z księciem de Condé, pisze do niego list, dowiadując się, czy nie ten sam jest, który ją ratował kredytem swoim w Paryżu. Kiedy odpisał, że ten sam, posyła po niego karetę z prośbą, ażeby do niej przyjechał; zrobił tak jak żądała; przyjechawszy, poznali się, ofiarowała mu w domu swoim wygody wszystkie, prócz których jeszcze 100 dukatów corocznie na potrzeby jego dawała, a tak on u niej będący bez sposobu innego, nieszczęśliwy emigrant, który niegdyś do 300,000 franków z dóbr swoich liczył, do swojej śmierci osiadł, która po kilku latach nastąpiła. Jakież to zdarzenia teraz na świecie zdarzają się; toby się był spodziewał, że ten dawniej bogaty pan we Francji, bo do 40,000 franków intraty posiadający, będzie kiedyś kawałka chleba żądnym i w domu cudzym na kilkaset mil od swego kraju odległym, za dobry swój uczynek, żywionym do śmierci będzie. Ulubiwszy ja tego starca, u księżnej bawiącego, kiedy raz doskonała jej muzyka grała tkliwie marsz emigrantów francuskich, ja, bliżej orkiestry stojący, rozrzedziłem się nad stanem pocziwego a nieszczęśliwego tego emigranta, a razem rozrzedziony i naszymi nie-

szczęściami, żeśmy ojczyznę utracili, przybliżywszy się do Ferrone, z uczuciem największym rzeknął mi do ucha schylony na ramiona jego: „Ty nieszczęśliwy odemnie jesteś, bo ja chociaż straciłem ojczyznę moją, ale przynajmniej między braćmi moimi żyję—ale ty daleki od rodziny i ojczyzny na cudzym kawałku chleba śmierci czekasz.“ Porwie mnie za szyję Francuz i ścisnąć zacząwszy, krzyknie rozrzedziony: „Masz przyczynę tak mówić.“ Goście przytomni rozrywać nas zaczęli, rozumiejąc, żeśmy się pokłócili, a nas żal wspólny łączył.

Ale porzućmy cudze smutki, dosyć mając i swoich. Kiedy w r. 1807 o kilkanaście tylko mil odemnie, były zawzięte i długie walki Francuzów z Rosyanami, gdzie od kilku miesięcy po kilkadziesiąt tysięcy trupów w zimowej porze nieopogrzebionych pod niebem na kupach leżało. W tem człowieczeństwa nieszczęściu, wspomniawszy na tyle świeżo srogą wojnę zabitych, takem był sobie obrzydził mięso, że go jeść nie mogłem. A widząc często koło karczmy mojej idących o jednej ręce, albo różnemi sposobami skaleczonych, chleba kawałka żebrzących żołnierzy biednych rosyjskich, którym urzędnicy magazynowi żywności nawet w ich kalecstwie nie dostarczali, nieraz z największym wzruszeniem serca pomyślałem: O kiedyż zstąpi na ziemię bóstwo to, dobroczynny człowiek, mężny i litośny razem, kiedyż poznaćwszy granice, a w zdarzeniu krzywdy jakiej jednego od drugiego sąd deputowanych Europy naznaczy, którego wyroku jeśliby ktoś słuchać nie chciał, wtenczas wszyscy europejscy samowładni przeciwko niemu walczyć mają? Wtenczas to ten mąż znamienity, do tych czas po lasach tylko i ustroniach pokój kryjący się sprowadziłby do miast i wiosek naszych, gdzie wesoły mieszkawiec kontent, wyrobiony przez siebie chleb pożywałby, aniby mu go głodny, a czasem tylko zuchwały żołnierz z rąk nie wydzierał. Jakże nas w tej mierze zawstydzają

te dzieci Bramy, niewinni Indyanie, którym zwierzęcia nawet, a już dopiero człowieka nie godzi się zabijać. My ich zowieśmy barbarzyńcami, ty, Boże, rozsądź, któryś na ziemi posadził ludzi, ażeby mnożyli się, rośli i kochali się, a oni się wadzą i zabijają, kto z nas barbarzyńiec?

Ja okropnością wojen ustawicznych zmordowany, tym fałszem ludzi, którzy mnie otaczają, że z nimi żyć muszę, odstręczony od świata, nie mogąc mieć rozrywki z czytania dla słabości oczu, ani z pisanego czego dla niedostatku z wiekiem myśli i wyrazów, które kiedyś w głowie mojej jak w zapaśnej komorze zaraz znajdowałem, a teraz ten mój magazyn zupełnie pusty, czekam spokojny śmierci, ani jej wzywając, ani jej się obawiając, śmierci, która mało bardzo szczęścia, a wiele nieszczęść w życiu mojem dokończy. Już ona ciebie mi, najlepszego serca Wincenty Matuszewiczu, wydarła; on majetny chciał żyć ze mną w domu moim do śmierci, że żyjąc na wielkim świecie, tęsknił do człowieka, jak mi to pochylnie mówił. Już Elżbieta Branicka, siostra nieboszczyka króla, 80-letnia pani, oddawna łaskawa na mnie, i której dom lubilem, napisawszy list do mnie sześciu dniami przed śmiercią swoją, ażebym do niej przyjechał, zgasła. Już w tymże tygodniu wojska Laskowska, sąsiadka moja, skonała, której serce najlepsze znane dla wszystkich, a dla mnie w szczególności dom jej był najmilszym, że tam często jeździłem, dla bawienia się z edukującymi się razem z córką jej kilką szlacheckimi pannami, do których tak jak do uczniów Sempiniego listy obyczajne pisywałem. Te trzy śmierci, w kilku niedzielach zdarzone, skwaśniły bardziej życie moje, o które prócz tego mniej dbałem, straciwszy po traktacie w Tyłży nadzieję tak pożądaną i, jak się zdawało, tak bliską widzenia ojczyzny mojej zmartwychwstałej.

Znowu zabłysnęła nadzieja większa, kiedy przez Bonapartego i Polaków z nim wojujących, księż-

two Warszawskie wzięte od Prus, Prusy przez Francuzów zgnębione ze wszystkim, Austria pod Austerlic upokorzona, o czem dzieje wieku tego obszerniej będą opisywać.

Co się tyczy Polski, Bonaparte pamiętny, że Polacy córkę elektora saskiego na sejmie zrobili królową polską, ojca jej zrobił księciem warszawskim i razem królem saskim, i wtenczas Napoleon zatrząsł Europą całą, który z ojca ubogiego szlachcica w Korysycy cesarzem francuskim koronowany, rozwiódłszy się potem z pierwszą żoną, cesarza austriackiego córkę poślubił i z nią syna rzeźwego, jak i on, spłodził.

Gdyby był ten wielki Napoleon natenczas przestał, całą Europę upokorzywszy, między upokorzonych królów wieczny pokój wprowadził, jakżeby go potomne wieki uwielbiały! Ale on, zapędziwszy się po odebraniu Smoleńska, aż do stolicy dawnej Rosyanów Moskwy, odebrał ją wprawdzie i spalił, ale sam potem dla głodu w wojsku swoim i dla mrozów niezmiernych połowę wojska utraciwszy, ledwie z resztą uciekł i już potem nie powstał. Nakoniec i z Francji wypędzony, na wyspie Elbie osadzony, a ztamtąd, gdy jeszcze wypadłszy do Francji, tłumy narodu tego do siebie pościagał, znowu przymuszony uciekać przez Europę przeciw niemu powstała, oddawszy się Anglikom, przez nich na wyspę świętej Heleny zawieziony, pilnie strzeżony, spokojnie siedział i tam umarł.

Co do mnie, spodziewając się umrzeć niezabawem, już testament napisałem, czyniąc podług woli mojej zupełne rozporządzenie, a chcąc doprowadzić stałe postanowienie, uważając siebie coraz bardziej cierpiącym i doświadczającym od lat 20-stu czarnej melancholii, która coraz się bardziej powiększa, przedsięwziąłem kupić wieś dziedziczną, abym, usunąwszy się od zgłębku wielkiego świata, z miłą dla mnie wnuka, mego Franciszka Kozierowskiego, familią

przepędził ostatek dni życia mego. Ale już obrzydziłem sobie świat i ten wiersz często powtarzam: „O mundus immundus, a vita invita, liber a me, libera me.“ W starości mojej terażniejszej przychodzi mi na myśl, i też melancholię powiększającą, zdrowości moje młodszego wieku; także w życiu mojem byłem trochę do pychy skłonny, ogadujący drugich, w pierwszym zapędzie gniewu nieumiarkowany, aż do chorowania, dlatego unikałem okoliczności i ku latom podeszłym, gospodarstwo domowe na wnuka mego, Franciszka Kozierowskiego, zupełnie zdałem. Byłem skłonny do kobiet, ale ostrożny, żem nigdy nie chorował, ani rozpustny, żem zdrowie nad rozkosz cenił. Byłem chroniący się od możliwości wydatków niepotrzebnych, a szanującym, do zadziwienia innych, rzeczy nabyte, tak mam dotychczas zwierciadło z szufladami do golenia się, które całe służy mi od 44, a zegarek od 49 lat, tylko jak stary sługa pomału idąc opóźniający się trochę. I taką oszczędnością przyszedłem do 130,000 i do kolonii Kraśnika, moim kosztem erygowanej.

Do kościołów nie często kwapiłem się, ale widuję Cię, Boże mój, na słońcu wschodzącym siedzącego i oglądającego światy niepoliczone. — Gry hazardowej i pijaństwa nie lubiłem. — Byłem trochę chępliwy, ale w posiedzeniach w żartach nieupokarzający drugiego, pierwsze mi miłość własna wtrącała, a drugiego miłość bliźniego zakazywała. Na niesprawiedliwości ludzkie oburzałem się, chociażby nie mnie były wyrządzone. Na nędzę ludzką, osobliwie biednych, tkliwy, i tę tkliwość za zasługę sobie nie poczytuję, bo serce takie wzięłem od natury, że z płaczącym nieszczęśliwym łatwo mi płakać przychodzi.

W roku 1812, podczas nieszczęśliwych rozruchów wojny, zniszczony w mojej kolonii, nie wszystko utraciłem, bo 160 dukatów wrzucone w studnię ocalały, wkrótce wpadli kozacy, zabierając odzienie

i bieliznę moją. A z tych jeden przystąpił do mego kantorka i rzecze: „Otwórz, bo siekierą rozbiję, i daj pieniędzy.“ Dożyłem tam będących 60 dukatów zlokowanych w tabakierce mi danej od monarchy Aleksandra I, wysypałem je na stół i z czuciem rzekłem do kozaka: „Nie zabieraj, na Boga proszę, biednemu starcowi tych pieniędzy.“ — On, odrachowawszy sobie 20 dukatów, resztę mnie oddał. Tę jego dobroczynność uwielbiam.

Wkrótce potem Franciszek Kozierowski, wnuk mój po siostrze, gospodarując przy mnie, ożenił się z Anną z Tolkaczów wdową Zdzitowiecką, przystojną i gospodarną. To ożywiło mój dom, a chroniąc się kłopotów, ustąpiłem prawa mego 50-letniego z całym dochodem do kolonii Kraśnika temuż wnukowi. Naostatek uskuteczniłem moją chęć kupienia jakiej wioski dziedzictwem, jakoż i kupiłem w powiecie wołkowyskim, wioskę Charowszczyznę od WJPana Wincentego Orzechowskiego, sędziego granicznego tegoż powiatu, za którą z poślinami do skarbu monarszego należnemi sto tysięcy złotych zapłaciłem. Po śmierci zaś mojej wnuk, Franciszek Kozierowski, którego doświadczyłem od dzieciństwa przywiązania i we wszystkim dla siebie powolności, tejsze wsi dziedzicem będzie, uskuteczniając jednak zawsze wolę i rozporządzenie moje, w ostatnim testamencie moim uczynione. Sprowadziłem się do tej nowo kupionej wioski od lat trzech i tu spokojnie mieszkam, gdzie ze mną Kozierowski z żoną, z dziećmi i z całym gospodarstwem sprowadził się. Zabudowanie tu w Charowszczyźnie mam wygodne, blisko Łysków miasteczko, gdzie raz tylko przez rok wyjeżdżam i to na spowiedź wielkanocną, a dla słabości zdrowia nigdzie więcej, choć mam blisko sąsiadów wiele, którzy mnie kochają. O dwie mile odemnie mieszka starosta Sieheń, który od lat 40 jest moim przyjacielem, czasem u mnie bywa, ale choć go prawdziwie kocham, bywać u niego nie mo-

gę dla słabości zdrowia, w której ledwie mogę po pokoju przechodzić się, więcej dnia na leżeniu i trochę siedzeniu przepędzając.

Piszę ja ten rękopism w roku 1822, zaś 81 życia mego, i będąc tak już na siłach słabym, żegnam się z wami najpierwej krewni moi Franciszku Kozierowski z żoną i sześciorgiem dziećmi twojemi; żegnam się też z wami, najdawniejsi, bo więcej od lat 40 przyjaciele moi: Karolu Prozorze, obożny litewski, i Ignacy Sieheniu, starosto krzemeńczucki; jakże mi miło będzie z wami, jako z ludźmi poczciwymi i na tamtym świecie obaczyć się! Ale ożaczę ja i ciebie wkrótce, cnotliwy i kiedyś tak groźny dla mnie, ojciec mój! Nie wszystko ja to, nie wszystko wypełniałem, w czym ty mnie w młodości mojej napominałeś, ale przynajmniej od owego nożyka, w dzieciństwie od parobka skrycie wziętego, nikomu, jak sobie przypominam, krzywdy nie zrobiłem. Szedłem ile możności prawdą na świecie, jakoś mnie konając napominał, i chociaż ta droga wiodła mnie czasem do umartwienia, ale też ta sama prawda wyznana, jakieś mi to przepowiedział, słodziła potem smutki. Ty pewnie u Boga naszego dobrego jesteś położony, powiedz za dziecięciem twojem, żem był ułomny, ale przynajmniej starał się, aby zbrodniarzem nie był.

P O N I E C.



1975